

304.006

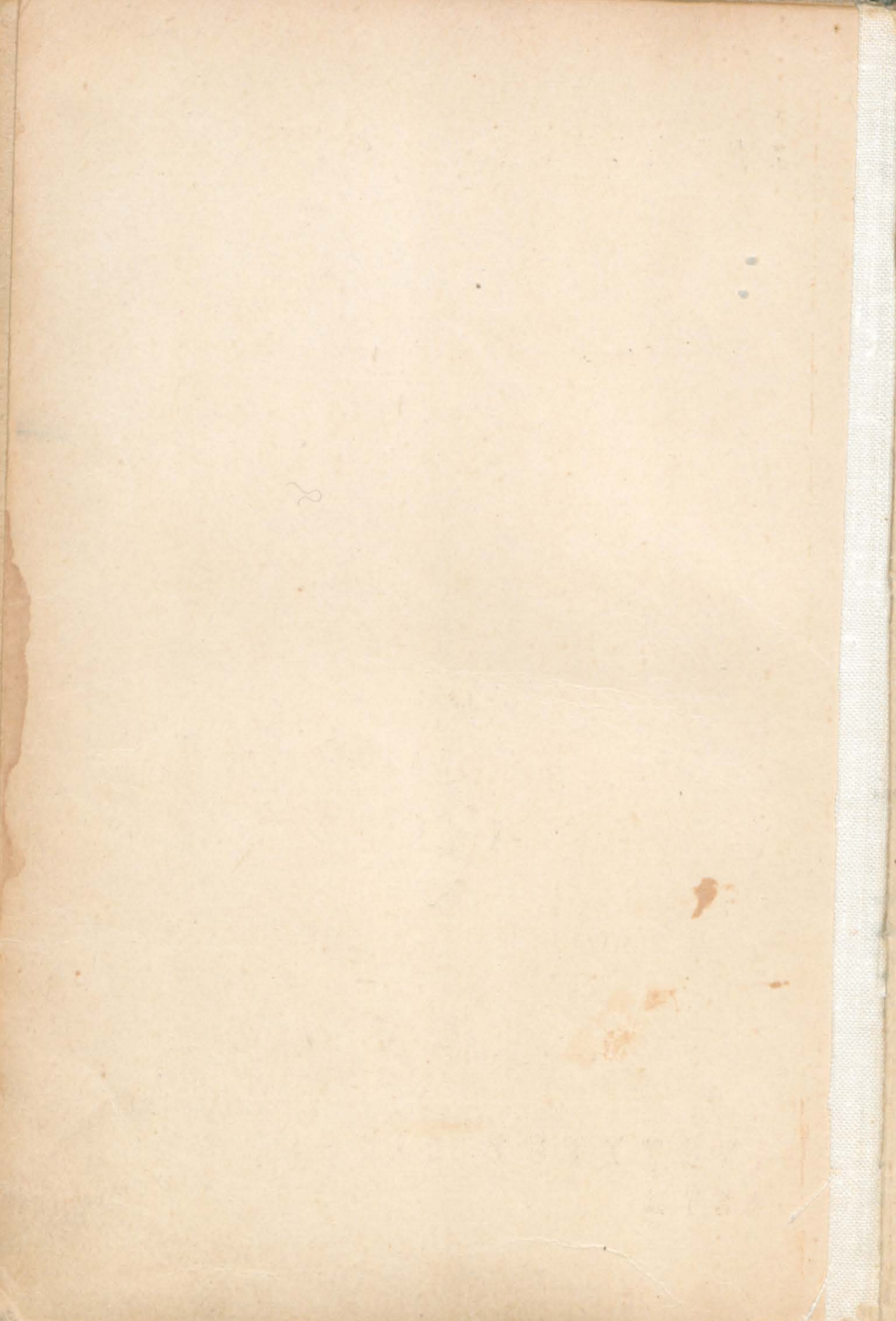
SERGIUSZ PIASECKI

**NIKT NIE DA NAM
ZBAWIENIA...**



**INSTYTUT LITERACKI
RZYM**

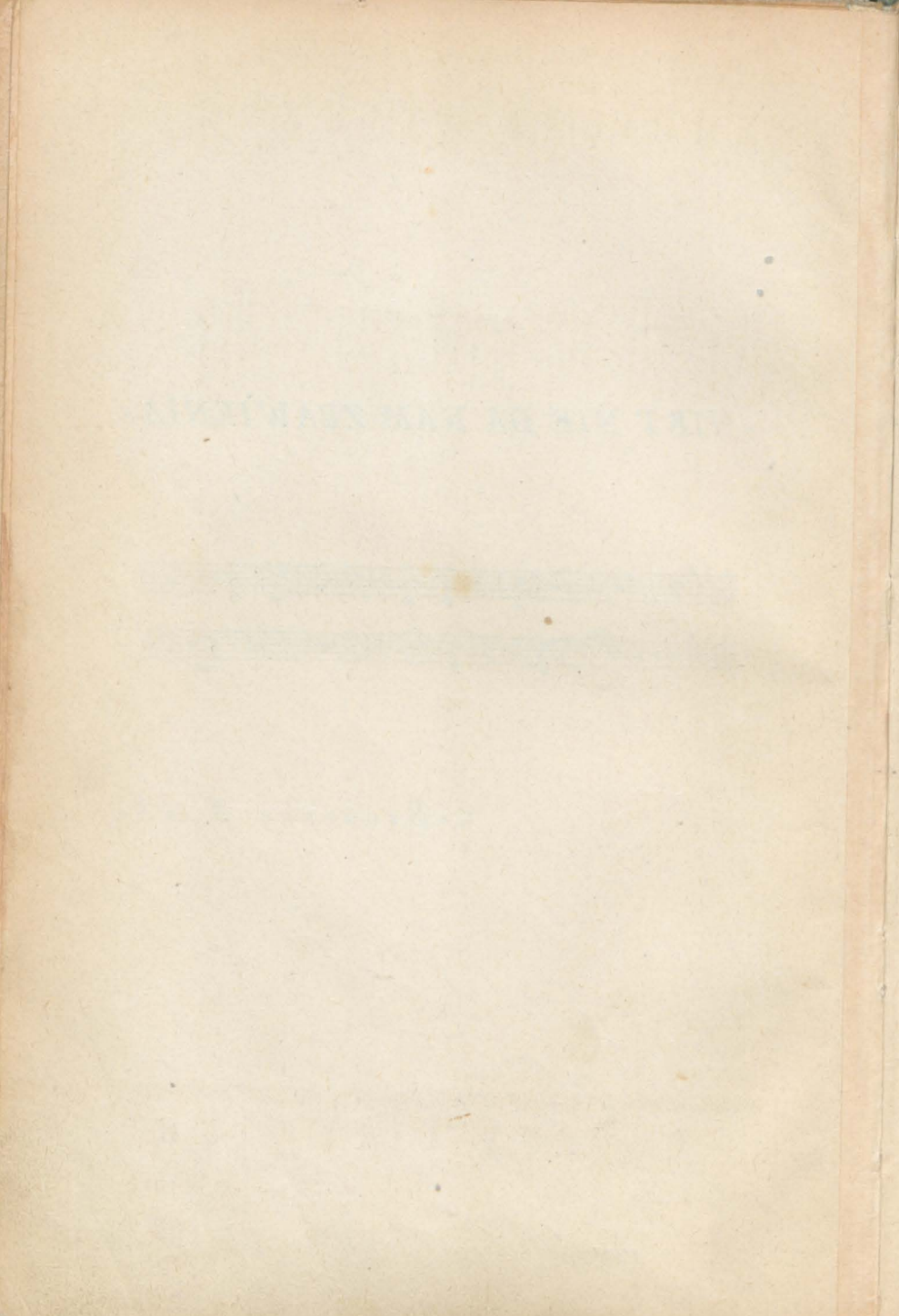
1947



» NIKT NIE DA NAM ZBAWIENIA «



» *Siostrze X* 13 «



S E R G I U S Z P I A S E C K I

NIRT NIE DA NAM ZBAWIENIA...



I N S T Y T U T L I T E R A C K I
R Z Y M 1 9 4 7

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018603864



T. 301.006.

EGZ. ARCHIWALNY

PRINTED IN ITALY

O. G. I. - VIA CESENA 14 - TELEFONO 767166 - ROMA

1947 D. 132 / 1

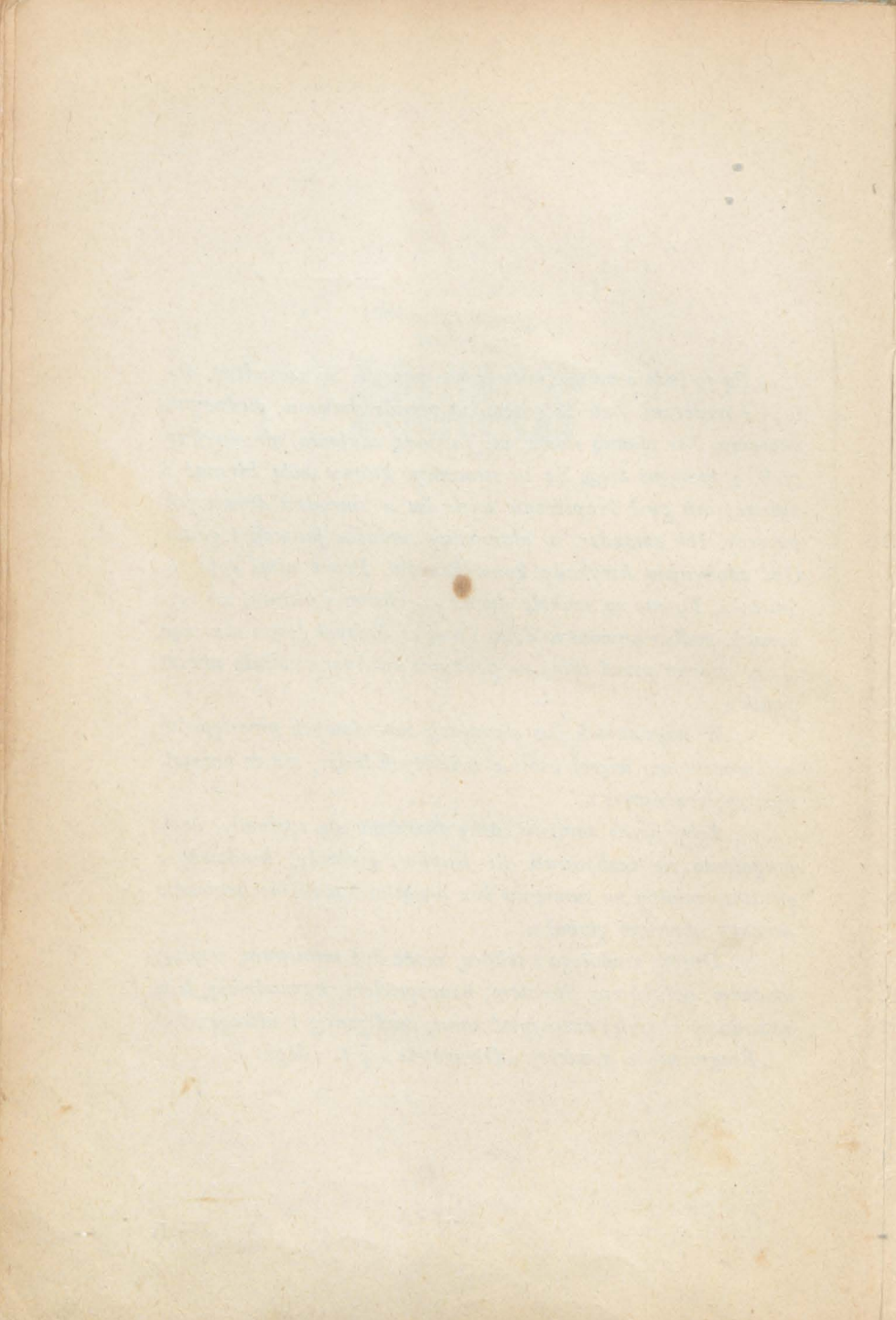
« Są to ludzie pełni buntu, siły i energii. Są szczodrzy, dobrzy i serdeczni. Zawsze gotowi są pomóc słabemu, biednemu, choremu. Nie złamią słowa, nie zawiodą zaufania, nie okradną tych, z którymi żyją. Są to straceńcy, którzy wolą błysnąć i zginąć, niż gnić bezpiecznie wiele lat w smrodku domowych pieleszy. Ich sztandar, to płomienny sztandar fantazji i gestu. Oni zdobywają barykady konwenansów. Przed nimi coła się śmierć... To nie są szakale ducha — chciwi i okrutni na wyżynach, podli i uniżeni w dół, To są ci, których lżą i niszczą — ze strachu przed nimi — podziwiał cuchnący obłudą mieszczuch ».

« ...W więzieniach i w szeregach zawodowych przestępców jest procentowo więcej istotnie uczciwych ludzi, niż w normalnym społeczeństwie ».

« ...Żeby myśli zabijały, żeby marzenia się spełniały, żeby pragnienia się realizowały ile trupów, grabieży, kradzieży i gwałtów: miałby na sumieniu bez wyjątku każdy mechanicznie uczciwy obywatel globu! ».

« ...Dureń, niedołęga i tchórz, może być ministrem, artystą, wodzem, politykiem, literatem, nauczycielem, kanzodzieją, lecz zawodowy złodziej musi mieć spryt, inteligencję i odwagę ».

Fragmenty z powieści « Obywatela » p.t. « Męła ».



I.

SWOBODA „SWOBODY” I WOLNOŚĆ JASIA

Czesiek Swoboda był „szczęściarzem”. Dolinę uprawiał łatwo, pewnie i trafnie. Brał na ślepo grube „kusze” i od trzech lat ani razu do kicza nie wpadł. Nawet większego szochru nie złapał. Kupował frajerom „skóry” nie tylko z „oczka”, czy „wierchówki”, lecz nawet z „pechu”. A „bimbrów” i „cebul” tyle do „chazy” naściagał, że mógłby sklep zegarmistrzowski założyć. Największy „portuniak” u niego „padał”. A był przecież drugorzędnym szymraczem. Nie tylko Kulomiotowi, lecz nawet Toście Sroce w technice „chodzenia po dolinie” nie dorównywał. Po prostu miał „glik” nadzwyczajny. Ostatnio tak się rozzuchwiał, że pracował bez „tucera” i „ścianki”.

Z „ksiutą” też mu się powiodło. Kochankę miał ładną, zgrabną, miłą. Była nią „chipisznica” Sabinka Mała. Albo po prostu Mała, w odróżnieniu od Sabiny Dużej. Miała „szyksa” też „glik” duży. Chodziła i na „mojkę” i na „gut morgen” od dwóch lat i ani razu jeszcze się nie wyspała.

Związek ich trwał prawie rok. Żyli na równych prawach i nie byli skrępowani sobą. Czesiek z nią nawet o socjalizmie nie gadał, bo Sabina albo

gwizdzie, albo język pokaże. Od razu mu kiedyś powiedziała, że dla niej to: puc, kant i blaga, i że ma to wszystko tam, gdzie kura jajko. Czesiek spróbował się obrazić:

— I mnie też?

— Ciebie pierwszego.

— Co — o?

Ale Mała stargała mu włosy, pocałowała i już była przy lustrze. Gwizdzie pudruje się i piersi ogląda.

— Ugryzłeś, diable! Drugi raz w mordę zajadę.

Jak z taką o komunizmie gadać? Żadna agitacja nie bierze. Jedynie to miał jej Czesiek za złe.

Dziś rano Czesiek wstał w doskonałym humorze. Miasto wczoraj zajęli bolszewicy i blatny poszedł ich spotkać. Na Placu Katedralnym od razu zmontowano trybunę i rozpoczęto mityng. Swoboda pchał się naprzód, aby lepiej słyszeć, lecz nie dał rady. Ciżba ludzka była jakby sprasowana dokoła trybuny, więc Swoboda z dała chłonał miłe mu słówka: wolność, równość, braterstwo, krzywdy proletariatu, burżuazja, eksploatacja, ziemia dla chłopca, fabryka dla robotnika, precz z karą śmierci!

Powiewały czerwone sztandary. Rósł entuzjazm tłumu. Leciały dźwięki „Internacjonau” i tonęły w burzliwych wybuchach ludzkich głosów.

— „Nie będę kradł!” — zdecydował Swoboda.

Postanowił to szczerze i stanowczo.

„Od jutra pójdę szukać pracy. Powinni mnie przyjąć do Komitetu. A Małą też urządzę. Weźmiemy ślub i będziemy żyć porządnie”.

Czesiek wrócił do domu uroczysty, poważny. Chciał zapalić papierosa, lecz nie znalazł w kie-

szeni ani srebrnej papierośnicy, ani zapalek. Wy-
ciągnęli mu w tłumie. Po raz pierwszy w życiu
kieszonkowiec został okradziony i to w takim
świętym dla niego dniu. Odczuł przykrość, ale
się tym nie przejął. Kupił paczkę papierosów i
marzył o przyszłości, wypełniając pokój dymem
tytoniowym. Był inteligentny i sprytny. Braki w
wykształceniu zastępowała mu wiedza życia. Miał
wielki zapał i ślełą wiarę w socjalizm. Wierzył w
tą religię wszystkich pokrzywdzonych i dla niej
chętnie by oddał wszystko co miał... z życiem
włącznie.

Gdy Mała wróciła wieczorem do domu, Czesiek
zaczął snuć głośno swe marzenia i opowiadać jej
o promiennej przyszłości: że otrzyma stanowisko
i będzie walczyć o sprawę proletariatu.

— A co będziemy zjeść? — spytała dziewczyna
i wydeła wargi.

— To co i inni komuniści. Razem żyć będzie-
my, razem walczyć o zwycięstwo socjalizmu.

Mała świsnęła.

— Oho! Ty tak sobie to myślisz! A ja ci zaraz
coś pokażę. Ja nie chodzę z rozdziawioną japą,
jak ty. Przygruchałam sobie właśnie takiego ko-
misarza. Zaraz mu oko... bajer — śrubę. Pod włos
go wzięłam i jazda na hamizę. Społam żłoba. Po-
tem na spacerek wzięłam. Za miasto. Tam jesz-
cześmy pociągnęli. Zaczął do mnie się zabierać.
Ja mu gadam, że prawiczka jestem. Jeśli chce, to
po ślubie. A on mnie dymy puszcza. Jakie milio-
ny ma! Mówi: blit u mnie i szkiełka na kila. Całą
złotem i brylantami zasypię...

— No i co?

Mała się roześmiała.

— Widzisz: ciekawe tobie. Ale ja tych psów
znam. Upołam go; a jak „kierny” zasnął, „zmy-

lam'' na glanc! Może i teraz jeszcze kima w szopie koło przejazdu... Zobacz co mu „kupiłam”.

Mała rzuciła na stół dwa złote zegarki, złotą papierošnicę, grubo wypchany portfel i starošwiecką portmonetę.

— Zobacz, co ma w tej skórze.

Wyjęła z portfela gruby plik dolarowych banknotów. Potem sporą ilość carskich pięćsetek i kilka arkuszy kierenek.

— Taki z niego i komunista — odezwał się Czesiek, oszołomiony trochę widokiem tego bogactwa.

— Dureń jesteś! — odezwała się Mała.

— Sama durna. Komunista bogactw nie zbiera. Co ma, daje na partię.

— Ot-to-to-to-to! — zatrajkotała Sabinka. — To chyba ty taki jesteś. Patrz dalej!

Wyjęła z portfela plik dokumentów i wydstała z niego czerwony, partyjny bilet.

— Co, nie komunista? — triumfowała Sabina.

— A zobacz: co tu jest?

Wyjęła z koperty kilka pornograficznych fotografii. Rzuciła je na stół. Potem otworzyła portmonetę i zadzwoniła złotymi monetami. Prócz tego był tam pierścień z dużym brylantem i kilka proszków kokainy.

Czesiek był tym zaskoczony, lecz nie dał za wygraną. Znalazł dość kontrargumentów. Ale Sabinę to wcale nie interesowało. Była uszczęśliwiona dobrą „mojką”. Więc, gdy Swoboda powiedział: — to wszystko trzeba mu oddać — odezwała się zdumiona:

— Co?... Komu?... Tamtemu szpagatowi! masalce? Fige z makiem!... Ty już hyzia dostałeś!

Rozpoczęła się kłótnia. Czeškowi trudno było

się wyrzec tak uroczyście powziętego zamiaru. Był konsekwentny.

— Zwróćmy wszystko. Ja znajdę sposób... Dość mam złodziejskiego losu... Trzeba z tym zrobić koniec.

— To idź ode mnie do cholery... Ja zarobiłam, a nie ty!...

Kłótnię przerwała noc i wspólne łóżko. Sprężyste ciało kobiety było silniejsze od wszystkich ideowych przesłanek. Pierzchły jak pył, i kochankowie usnęli zmęczeni pieścizotami.

Nazajutrz Czesiek nie wspominał o wczorajszym projekcie zwrotu zdobyczy swej kochanki. Lecz zamiaru swego — rozpoczęcia nowego życia nie wyrzekł się. Było jego marzeniem, a to jest najwięcej warte w życiu.

Swoboda starannie się ogolił, wdział lepszy garnitur i wyruszył na miasto. Było jeszcze wczesnie, więc nie szukał żadnego Komitetu, a spacerkiem szedł ulicą Zacharzewską. Jeźdźnią i chodnikami szli żołnierze czerwonej armii. Byli brudni, prawie w łachmanach, niejednolicie ubrani. Lecz Czesiek patrzył na nich z zachwytem, jako na bohaterów walki o wolność uciemżonych.

Udał się na dworzec. Tam były tłumy. Na placu płonęły ogniska, a dokoła nich gromadzili się wojskowi. Gotowali wodę w menażkach. Pili herbatę. Jedli. Niektórzy spali.

Czesiek przysiadł się do jednej grupki. Poczęstował żołnierzy papierosami. Życzliwie do nich się uśmiechając zaczął rozmowę:

— Jak to dobrze, towarzysze, że przyszlście!

— Czemuż to? — spytał jeden z żołnierzy.

— Dokuczylili nam Niemcy. Dość mieliśmy tych tyranów.

Nie na to nie odpowiedziano, więc Swoboda mówił dalej:

— A dokąd teraz, towarzysze, pójdziecie?

Jeden z żołnierzy obejrzał go podejrzliwie.

— A ciebie co to obchodzi?

— Ja tak sobie... jako towarzysz...

— Żaden ty nam towarzysz. Nawet mówić po rosyjsku nie umiesz dobrze.

Rzeczywiście akcent Swobody był okropny i kaleczył straszliwie rosyjskie słowa.

— Ja was z serca, z duszy witam — tłumaczył Czesiek.

— Idź ty stąd lepiej. Różna swołocz tu łązi. Może szpieg jesteś?

I Czesiek, trochę obrażony, nieco rozgoryczony, poszedł dalej. Znalazł się na dworcu, który był zapełniony falującym w różnych kierunkach tłumem. Stamtąd przedostał się na peron.

Od strony Borysowa nadszedł pociąg. Towarowe wagony były pełne uzbrojonych czerwonoarmiejców. Zaczęli się wyładowywać. Jeden z żołnierzy niósł sporo rzeczy. Miał ich pełne ręce. Czesiek zauważył, że żołnierz przeciskając się w tłumie zgubił brezentową torbę. Coprędzej podniósł ją i chciał oddać, lecz rozdzielił ich tłum. Czesiek zaczął się przedzierać za krasnoarmiejcem. Zawołał kilka razy:

— Towarzyszu, zaczekajcie!

Tłum wirował jak woda w potoku. Czesiek zgubił z oczu krasnoarmiejca, lecz szedł dalej w tamtym kierunku, a torbę podniósł w górę, żeby właściciel zobaczył ją i poznał.

W pewnym momencie Swoboda poczuł, że szarpnięto go z tyłu za kołnierz. Odwrócił głowę w tył. Wówczas otrzymał cios pięścią w twarz. Rozległ się krzyk:

— Towarzysze, złodziej! Brać go!

Cześkowi wyrwano z rąk torbę, którą sam od-
dawał. Zobaczył w okół siebie złe, szare twarze.

— Ja znalazłem... Chciałem oddać — tłuma-
czył Czesiek.

— Czemużes nie oddał?

— Uciekałeś złodzieju!

— Co z nim gadać... Bij go!

I Swobodę zaczęto bić.

— Towarzysze!... Towarzysze!...

Grad ciosów pięściami, nogami, kolanami, oba-
lił go na ziemię. Zrozumiał, że zginie. Próbował
jeszcze się wymknąć między nogami otaczających
go ludzi. Lecz było to niemożliwe i jeszcze więcej
rozjuszyło żołnierzy. Wówczas „udał jeża”. Le-
żał bez ruchu, znosząc straszliwe ciosy, aby po-
myśleli, że skonał. Lecz i to się nie przydało na
nic. Uderzenie ciężkiego buta w skroń pozbawiło
go przytomności. Więć masakrowano dalej wiot-
kie, zdeformowane ciało Swobody. Niedługo po-
tem na peronie leżała czarna, krwawa miazga, o
którą z przekleństwami potykali się przechodzący
żołnierze.

Tak się skończył sen złodzieja Swobody o po-
rządnym życiu i kochanym socjaliźmie.

W dwa tygodnie po zajęciu Mińska przez bol-
szewików rozpoczęła pracę Komisja Rewolucyj-
nego Trybunału*). Miała za zadanie „rozładowa-
nie” więzienia. Wielu więźniów, siedzących za
drobne sprawy, zwolniono bez badania. Niektó-
rych wzywano dla przesłuchania. Tych zatrzymy-
wano lub zwalniano, zależnie od decyzji Komisji.
Natomiast zatrzymano wszystkich więźniów o-

*) Równoznaczna Sądowi Okręgowemu.



skarżonych o poważne sprawy. Recydywistów, nawet siedzących za drobne sprawy, też nie zwolniono.

Pewnego dnia wywołano Jasia do kancelarii. Tam już zebrano grupkę kilkunastu więźniów. Pod silną eskortą poprowadzono ich do gmachu Rewtrybunału, w pobliżu Placu Katedralnego.

Więźniów wprowadzono do dużej, pustej sali. Tu czekali na załatwienie swych spraw. Wzywano ich na badanie pojedynczo. Jasia wywołano przedostatniego. Wprowadzono go do pokoju, w którym, przy trzech stołach, pracowało kilku ludzi. Przy największym stole, naprzeciw drzwi, siedziało dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Była bardzo młoda, lecz brzydka.

— Jan Nacewicz? — spytał prezes Komisji.

— Tak.

Zaczęto przeglądać jego akta z Ekspozytury Śledczej. Zadawano mu wiele pytań. Jaś udawał naiwnego młodzieniaszka, który siedzi niewinnie i w niczym się nie orientuje. Jednocześnie sprytnie przedstawiał swoją sprawę. Oskarżono go o kradzież maszyny do robienia tutek i obciążono oskarżeniem tym, że uciekł z aresztu. Właśnie ten punkt był najgorszy. Natomiast ratowała go ta okoliczność, że nie był nigdy karany sądownie.

— Nie mogłem ukraść maszyny — mówił Jaś, — bo przecież trzeba by wozu i kilku ludzi żeby ją zabrać.

— Mogliście mieć nieujawnionych współników — powiedział prezes.

— Ależ ona wcale nie była mi potrzebna — „naiwnie” tłumaczył Jaś. A jeślibym ją ukradł, to bym nie zwracał.

— Tak... Ale chcieliście wziąć nagrodę za jej zwrot... Poza tym jeśli nie poczuwaliście się do

winy, to dlaczego uciekliście z aresztu?

— Bo chciałem jeść i było mi smutno. „Dziecinnie” tłumaczył się Jaś. — I nie miałem za co siedzieć...

— Ale Ekspozytura Śledcza wystawiła wam fatalną opinię. Poza tym aresztowano was w spe-luncie złodziejskiej, w towarzystwie zawodowych włamywaczy.

— Przyszędłem tam przypadkowo... Szuka-łem mieszkania.

— Przecież macie mieszkanie.

— Chciałem jeden pokój. Mieszkanie dla mnie za duże i za drogie.

— To wygląda na wykrety — zaopiniował członek Komisji.

Prezes przeglądał załączony w kopercie depo-zyt Jasia. Był tam portfel z dokumentami, zegar-ek, srebrna papierośnica, trochę pieniędzy. Prze-glądano jego dokumenty. Jasiowi przyszedł do głowy pewien pomysł, który zaraz zrealizował. Chciał tym podkreślić swoją naiwność i uczciwość. Wskazując palcem na srebrną papierośnicę, po-wiedział:

— Nie rozumiem dlaczego w moim depozycie jest papierośnica?

— Jak to nie rozumiecie?

— Bo żadnej papierośnicy nie miałem. W ogó-le nie palę, więc nie kupowałem jej.

— Ale tu figuruje w spisie odebranych wam przy rewizji rzeczy — rzekła kobieta.

— Pewnie coś poplątali. Nie mogę się przy-znać do cudzej papierośnicy. Ostatecznie się zgadzam, niech będzie moja. Ale twierdzę, że nigdy jej nie miałem.

— Więc nie jest wasza?

— Nie.

Prezes przez chwilę się zastanawiał, potem rzekł do eskorty:

— Wyprowadzić go i dać tu następnego. Wymienił jakieś nazwisko.

A gdy Jasia wyprowadzono, powiedział do swego zastępcy:

— Tego trzeba zwolnić. Widać, że niewinnie się wplątał w jakąś głupią historię. Nie umie nawet kłamać. Na przykład ta papierośnica....

— Słusznie — zgodził się zastępca.

— Wypisać nakaz zwolnienia dla Nacewicza — rzekł prezes do kobiety.

Późno wieczorem odprowadzono więźniów do kancelarii więzienia. Tam ich zrewidowano i osadzono po celach. Jaś nie wiedział jaki będzie wynik dzisiejszego badania go przez Komisję. Lecz opowiedział swoim chłopakom wszystko szczegółowo, prawie wszyscy wywnioskowali, że go zwolnią. Zaczęto szykować dla niego grypsy na wolność. Nazajutrz otrzymał grypsy nawet z innych cel. Chłopaki najchętniej dawali je opuszczającym więzienie blatnym. Frajerom bali się polecać załatwienie poważniejszych spraw i wskazywać adresy.

Baran przysłał z siódemki gryps do pasera, w którym polecał oddać Jasiowi należne mu za „towar” pieniądze, a Jasia prosił o pomoc Paulince, jeśli będzie trzeba. Olek dotychczas nie otrzymał od niej żadnej wiadomości. Był prawie jedynym blatnym w kiczu, któremu kochanka nie dała znaku życia. Było mu to przykre, bo nie mógł, żyjąc w komunie, do sitwy z innymi złodziejami, nie do niej dać. A wiedzieli przecież, że zostawił na wolności „maruchę”. Mimo to nie prosił o nie Pawki, a kazał Jasiowi dopomóc jej.

Jaś, gdy otrzymał polecenie od swego mistrza,

tylko zaklął: „Ot, opętała go na amen!” Wiedział, że Pawka ma sklep, że Olek zostawił jej masę wartościowych rzeczy i był szczerze oburzony, że Paulinka nie dopomogła Olkowi w więzieniu.

Blatni sprytnie ukryli grypsy w ubraniu Jasia i czekali na jego zwolnienie. Jaś otrzymał nawet przedawniony gryps Ignacego Kulikowskiego, który się zastrzelił w korytarzu więzienia, po nieudanej ucieczce. Gryps był do siostry Kulikowskiego, Mili. Dotyczył rozrachunków pieniężnych z chłopakami i paserami.

Dopiero po obiedzie wywołano Jasia z celi „na zwolnienie”. W kancelarii zebrano trzech więźniów. Z całej wczorajszej partii, liczącej prawie dwudziestu ludzi — tylko tylu obdarzono wolnością. Poprowadzono ich teraz, pod eskortą jednego dozorca, do Ekspozytury Śledczej. Tam wypełniono formularze inwigilacyjne, zrobiono ich fotografie, z numerami na piersiach, do albumów śledczych, wzięto odciski palców i, po zarejestrowaniu, zwolniono. Jaś był ostatni. Zwrócono mu depozyt. Wszystko, prócz papierośnicy. O niej nawet nie wspomniano.

Chłopiec wyszedł na ulicę. Przez chwilę stał na chodniku i oddychał „wolnością”. Wieczór był ciemny, zimny. Przechodniów mało. Jaś się czuł jak pijany. Oszłomiło go poczucie wolności, możliwość pójścia w dowolnym kierunku... Zastanawiał się: co robić?

Z początku zamierzał iść do truszczoży Cypy na Niżni Rynek. Lecz pomyślał, że tam może nikogo nie zastać. A trzeba było uporządkować grypsy, które były zaszyte w ubraniu. Do domu iść nie chciał, bo nie orientował się, co tam w tym okresie zaszło. Drugi miesiąc nie miał żadnej wiadomości od Marusi Łobowej. „Pewnie stała się

wielką komisarką". Na Komarówkę było daleko. A tak się chciało jeść!

Przypomniała mu się Milka. Miał nawet do niej gryps od zmarłego brata. Pomyślał, że mieszka sama i było tam najbliżej. Jaś wsadził ręce w kieszenie i, drżąc z zimna, bo nie miał palta, pośpiesznie ruszył naprzód.

Milę zastał w domu. Była zdumiona jego przyjściem. A jednocześnie ucieszyła się nim bardzo. O śmierci brata wiedziała już. Jasia lubiła, jako wesołego i dobrego kolegę Ignacego. Jaś zaczął opowiadać jej o próbie ogólnej ucieczki z więzienia, o śmierci jej brata, o swoim zwolnieniu. W pewnej chwili zapytał dziewczynę — jak sobie radzi?

— Dobrze — odparła Mila. — Wypiekam bułki i sprzedaję na dworcu. Zarabiam dużo.

Jaś zaczął wypruwać z ubrania grypsy. Było ich kilkanaście. Odnalazł kartkę Kulikowskiego i oddał dziewczynie. Z trudnością odczytała drobno napisaną ołówkiem treść. Kulikowskiemu należało się sporo pieniędzy od paserów i kolegów. Jaś ofiarował się dopomóc Milce do ściągnięcia ich. Naradzali się nad tym. W pewnej chwili dziewczyna powiedziała:

— My gadamy, a ty pewnie jesteś głodny?

— Tak. Chce mi się jeść. Od 12-tej, po więziennej lurce, nie w ustach nie miałem.

— Dobrze. Zaraz zrobię kolację. Ale może się przebierzesz. Pewnie „blondynek” nabrałeś w więzieniu.

— Nie, żywego srebra nie mam. Uchroniłem się. Nasza cela była wyjątkowo czysta. Ale umyłbym się chętnie.

— Zaraz będzie wszystko. Nie ma Ignaca, to ja tobą się zajmę.

— Jaś trochę się krępował, — nie chciał spr-

wiać jej fatygi, lecz gdy to powiedział Milka się oburzyła.

— To mi tylko przyjemne. Nie nie gadaj, bo się rozłoszcę.

Wnet przygotowała sagan wody. Zapaliła pod płytą. Potem z rzeczy brata wydestała bieliznę i ubranie. Następnie zwróciła się do Jasia:

— Ja teraz pójdę, kupię coś do jedzenia, a ty, jak woda się zagrzeje, myj się i przebierz. Bardzo się cieszę, że przyszedłeś.

I wyszła.

Mieszkanko Mili było małe. Jeden pokoik i kuchenka. Ale czysto utrzymane i niezależne. Jaś czuł się tu dobrze. Jednym z powodów, dla którego tu przyszedł, właściwie głównym powodem, była myśl o Milce, jako o kobiecie. Podobała mu się zawsze. Po przeszło dwumiesięcznym celibacie w więzieniu, sama myśl o kobiecie przyspieszała mu tętno serca. Wiedział, że Łobowej nie ma. Z ostatnią paczką od niej otrzymał kartkę papieru: „Muszę jechać do Moskwy. Postaram się wrócić prędko”. To było zaraz po zajęciu miasta przez bolszewików. Od tego czasu wiadomości od niej nie miał.

Gdy woda się zagrzała, Jaś umył się i przebrał. Mila nie wracała długo. Chłopiec nawet zaniepokoił się. Żałował, że puścił ją samą, bo mogła w nocy narazić się na przykrą przygodę. Wreszcie posłyszał jej kroki pod domem. Weszła zarumieniona, z burzą poplątanych włosów na głowie.

— Cóżes tak długo?

— Koniecznie chciałam znaleźć wódki. Ty tyle czasu nie piłeś. Trzeba zakropić twoją wolność.

— Ty mnie więcej interesujesz jak wódka — zdobył się na szczere wynurzenie Jaś.

— Chyba dlatego i przyszedłeś.

— Nie tylko dlatego...

— Rozumiem... Każdy z was mniejszy, albo większy drań... Nie warto gadać... Innych gonie jak psów, ale ciebie lubię... I dobrze, że nie bujasz... Pomagaj. Będzie prędzej żarcie.

Mila z widoczną przyjemnością szykowała kolację. Była to odmiana w monotonii jej życia. Poza tym i ona miała ochotę wyżyć się ze zgrabnym, miłym chłopcem. I jej brakowało pieśczoł mężczyzny. Była swobodna psychicznie i wiedziała, że z Jasiem swobody tej nie straci. Był dla niej dobrym, pewnym towarzyszem. Jednak nie liczyła na niego jako na kochanka, czy męża. Znając go od dawna orientowała się, że chłopakowi wiatr w głowie hula.

Pierwszą noc na wolności Jaś spędził tak, jak i wymarzyć sobie nie mógł. Było to jego najostrejsze przeżycie erotyczne. Może dlatego, że nie krępował ich ani wstyd, ani strach przed skutkami, ani fałsz, ani wyrachowanie. Byli hojni, swobodni i uczciwi... a to prawie się nie zdarza w „normalnym” życiu.

II.

PAWIE PIÓRA.

Miły umierał z głodu. Z głodu i z pragnienia. Gdy Barana aresztowano, karmiła go Marusia Łobowa. Karmiła z litości, chociaż ani Jaś, ani Olek nie prosili jej o to. Potem, gdy bolszewicy zajęli miasto, Marusia otrzymała list od męża z Moskwy. List był pilny, sprawa ważna i kobieta musiała natychmiast wyjechać. Zdążyła tylko kupić sporo wiktuałów dla Jasia i zanieść je do więzienia. Załączyła kartkę do chłopca, a list zostawiła w jego mieszkaniu, od którego klucz oddała Paulince. Swoje mieszkanie zamknęła i klucz wzięła ze sobą.

W pośpiechu i nawale spraw nie przyszło jej do głowy poprosić kogokolwiek o zaopiekowanie się psem, chociaż wiedziała od Jasia, że Paulinka psa nienawidzi i karmić go nie będzie.

Paulinka została sama w domku, w którym mieszkało kiedyś sześć osób. Trochę bała się nocami. Ale drzwi miały dobre zamki, a okna zabezpieczały okiennice. Więc zamykała się z nadejściem wieczora, a rano, pachnąca ostrymi perfumami, szła do sklepu. Odprowadzały ją i spotykały lśniące z głodu i nienawiści oczy Milego.

Pies nocami wypełzał na całą długość łańcucha z budy i węszył za pożywieniem. Znał każdy centymetr dostępnego mu terenu i nie tam do jedzenia nie było. Jednak wciąż szukał. Gdy spadł śnieg, Miły mógł ugasić nim straszliwe pragnienie, które najwięcej mu dokuczało i przyprawiało o gorączkę. Lecz potem jeszcze więcej się chciało jeść.

Miły nie rozumiał dlaczego nie przychodzi Baran. Tęsknił za nim strasznie. Pewnej nocy zaczął wyć. Obudził Paulinkę. Kobieta kleła, przewracając się z boku na bok i nie mogła usnąć. Była przesadna. Ogarnął ją strach. „Psy wyją, gdy w domu ma ktoś umrzeć”. A w całym domu była tylko ona. Strach ten zwyciężył nienawiść do psa. „Może wyje z głodu?” — uspakajała siebie Paulinka. A pies płakał, skarżył się Naturze na podłość ludzi, którzy potrafią odebrać zwierzęciu swobodę i skazać na męki głodowe, na powolne konanie. I wył, wył, wył...

Paulinka nie wytrzymała. Wstała z łóżka. Chciała oblać psa wodą. Lecz pomyślała: „Będzie jeszcze więcej wył”. Ze złością otworzyła kuchenną szafkę. Zobaczyła na dolnej półce ogromny bochenek wiejskiego chleba. Kupiła go kiedyś od chłopca, przypuszczając, że po zajęciu miasta przez bolszewików nie będzie chleba. Lecz na razie nie brakowało w mieście nawet bułek. Aby tylko były pieniądze. Więc chleb zeszedł się tak, że trudno było go ukrajać, a z jednego boku zaczął już pleśnieć. Paulinka wzięła chleb, odemknęła drzwi i rzuciła ciężki bochenek w ciemność, w kierunku budy Miłego. Pies zaczął głucho warczeć i krótko zaszczekał. Paulinka wróciła do pokoju i weszła pod ciepłą kołdrę. Wycie psa ustało.

Miły dłuższy czas nie ruszał chleba. Dręczył

go głód, nęciło jedzenie, lecz odstręczał zapach znienawidzonej Paulinki. Czuł go subtelnym węchem. Obawiał się podstępu. Jednak po kilku godzinach głód zwyciężył. Pies zaczął łapczywie ogryzać twardą skórę chleba.

Ten bochenek chleba przedłużył mu życie.

Gdy Paulinka rano poszła do sklepu nie zobaczyła chleba. Miły to czego nie zjadł, zdołał wciągnąć do budy.

Paulince, po aresztowaniu Barana, nawet do głowy nie przyszło dopomóc mu w więzieniu. Miała jeszcze pretensje, że nie zabezpieczył jej naliczycie na zimę, że sama musiała kupować opał, że nie była postawiona kapusta, nie kupiono w czas kartofli. Mówiła o tym Lidii Bali:

— Taki sam podlec jak i wszyscy mężczyźni. Złote góry mi obiecał, a co z tego? Wiem, że kupował złoto. Widziałam złote dziesiątki. A nawet nie powiedział gdzie schował. Muszę sama pracować. Taki drań!

I coraz więcej się zapalała. Nawet, w poczuciu krzywdy, łzy jej zaczęły z oczu padać. Lidia skwapliwie jej przytakiwała, bo od początku pożycia z Baranem Paulinka była jej najlepszą klientką. Uszyła wiele sukien, mnóstwo drogiej bielizny, i dużo na tym zarobiła.

Władek Zajac w milczeniu słuchał tej rozmowy. Wreszcie nie wytrzymał. Jąkając się rzekł:

— Tfe... ga-ga-dzina!

Splunął i wyszedł.

I to jej nie pohamowało. Była nalana poczuciem sprawionej jej przez Barana krzywdy. I musiała ją wychlustywać gdzie tylko mogła. Zapomniała jak przedtem, nawet zimą, chodziła bez pończoch, w nędznym paletku, w cerowanych niemi bucikach. Ojciec skąpił na wydatki, a Toluś nigdy

jej nie nie dał. Jedynie matka, z wielkim trudem, od czasu do czasu, kupowała dorosłej już dziewczynie cokolwiek z ubrania lub obuwia.

Sklep Paulinki, położony w dobrym punkcie na Zacharzewskiej, prosperował doskonale. Był, co prawda, daleko od centrum miasta, lecz i tu Pawka miała dość kupujących, szczególnie żołnierzy. Więc zarobki były duże. Pawcia handlowała teraz owocami, bułkami, kiełbasą, papierosami. To najlepiej szło. Jednocześnie nadarzały się jej okazje wymienne. Proponowano jej za produkty różne rzeczy, czasem bardzo wartościowe. Pawcia sprytnie, niby niechęnie, kupowała je za bezcen. Nie liczyła się z tym, że było oczywiste, iż pochodziły z rabunków lub kradzieży. Tylko wojskowych rzeczy nie brała, obawiając się przykrości.

Gdy nadeszły chłody Pawka kupiła — też na wymianę — olbrzymi, miedziany samowar i zaczęła handlować herbatą i przekąskami. Urządziła kilka stolików i ruch w jej interesie był wielki. A wieczorami, po zamknięciu sklepu, Pawka wracała do domu. Zamykała mieszkanie i potem liczyła pieniądze. Kapitał jej wciąż się zwiększał. Zyski były duże, lecz Pawcia nie rozszerzała przedsiębiorstwa; wystarczało jej, jako źródło dochodów, choć wyglądało na nędzny sklepik. Pawcia co tydzień kupowała złote monety i chowała je. Miała już około 500 rubli w złocie. Mimo to, gdy wspomniała czasem o Baranie, to natychmiast przychodziły jej na myśl tamte 20 rubli w złocie, które Baran jej kiedyś pokazał. Nie obrażała sobie nawet, że pod budą Miłego leży duży skarb, o którym Baran jej nawet nie wspominał. Skarbu tego pilnował Miły. On tylko o nim wiedział. Leżał na złocie swego pana i umierał z

głodu. Gdyby nawet mógł mówić, też by nikomu nie zdradził tajemnicy.

Jaś od rana zaczął roznosić adresatom grypsy z więzienia. Wielu z nich nawet nie czytał, chociaż prawa więzienne i złodziejskie nie zabraniają tego. Mila na pożegnanie nakarmiła go dobrym śniadaniem i powiedziała:

— Jak zechcesz, przychodź do mnie. Tu spokojnie. Ale tylko wieczorem, albo wcześniej rano. W dzień targuję na dworcu.

Jaś podjął się załatwić jej kilka spraw rozrachunkowych z paserami i blatnymi, których Ignacy nie uporządkował. Dziewczyźnie samej trudno było to zrobić z wielu względów, a Jaś znał wszystkie chody w blatnym świecie. Chętnie to obiecał, chcąc czymkolwiek wywdzięczyć się Milce.

W truszczobie Cypy Jaś zastał Filipa Łysego. Siedział w towarzystwie małomównego, groteskowego Glisty i popijał małymi kieliszkami wódkę. Gdy zobaczył niespodziewanie, Jasia szczególnie szeroko ziewnął i wstał.

— O ty tu... Wyrwałeś się z kicza i tak dalej...

— Wyrwałem się... Gryps dla ciebie mam...

— No, no... dawaj!...

Filip rozprostował zgnieciony gryps i z trudnością odczytał zatarte, koślawe litery:

W hotelu Europa w numerze 13 wspólnik zatyrył blit z roboty z Moskwy. Nie wiem gdzie. Zróbcie chipiisz. Jak znajdziecie weźcie sobie, a z mojej doli dajcie pomoc do kicza. Wspólnik nakitował na tyfus w Smoleńsku.

Dostałem gryps. Tu leżę na lipę: Antoni Solow. Zrób koniecznie. Może wykupicie mnie?

Dopomóż druhu. Dusiek.

Pamiętasz Sucharewkę? Pamiętasz Archangielsk i „roty”. Bądź blatnym! Pomóż swemu chłopakowi.

Filip ledwie mógł odczytać gryps. Pomagał mu Jaś. A potem nie od razu przypomniał sobie Duska. Podpis był nieczytelny. Złodziej przeszedł tyle miast i więzień. Przeżył tyle przygód. Znał tysiące złodziejów, więc nie mógł od razu się zorientować kto pisze. Dopiero po dłuższym zastanowieniu przypomniał sobie kolegę, z Moskwy, z którym melinował się na Sucharewce i wyrobił kilka interesów. Później spotkali się w aresztanckich rotach.

— Wiem już — zapalił się Filip. — Toż złoty chłopak. Ot, robiliśmy interesy! Śpiewajęco i tak dalej... Trzeba szukać; to nie puc!... Blit musi być! I mnie się przyda i jego może wyratuję. Chcesz należeć? — zwrócił się do Jasia. — Ty z kicza dopiero. Może odkujesz się i tak dalej.

Jaś chętnie się zgodził. Umówili się spotkać nazajutrz rano znów u Cypy i omówić robotę. Dziś obaj byli zajęci. Filip czekał na nadawczynię, Chinkę a Jaś chciał roznieść prędeży grypsy, odwiedzić matkę i obejrzeć swoje mieszkanie. Filip dał mu adres Kazika Moreckiego i jeszcze dwóch chłopaków. Resztę grypsów radził przesłać przez Obywatela, którego obiecał ściągnąć tu jutro. Wnet się pożegnali.

Jaś załatwił ważniejsze sprawy i poszedł do matki. Ulica Kamienna była tak cicha, jak ementarz, do którego przylegała. Matkę chłopiec zastał w domu. Siostry nie było. Czule się przywitani.

Jaś był zadowolony, że z jego powodu nie niepokojono staruszki. Nie robiono rewizji, nie wzywano jej na policję.

— Jasiu, kochany — mówiła matka. — Ty źle żyjesz. Jeszcze zginiesz. Sprowadź się tutaj. Porzuć tamtych kolegów. Będziemy jakoś sobie radzić...

Teraz jeszcze nie mogę, mamusiu. Trzeba wszystko porządnie skończyć. Żeby nie tamci moi koledzy, to nie mielibyśmy nic. Czy mamusia zapomniała już jak głodowaliśmy.

— Ja wolę być głodna, ale mieć spokój.

— Nikt mamusi z mego powodu, nie turbuje. Dlatego z wami nie mieszkam. W ogóle, mamu, nie mówmy o tym. Nie warto! To już taki mój los. Ale proszę być spokojną. Ja wnet wszystko to rzucę. Mnie dużo nie trzeba. Mam domek. Mam do spółki z wujem restaurację. To wystarczy. Ale chcę wszystko załatwić z chłopakami. Żeby nie oni nie bym nie miał.

Trzasnęła furtka. Do mieszkania weszła Hela. Jaś ledwie ją poznał. Dziewczyna miała dopiero siedemnasty rok, a wyglądała jak dorosła kobieta. Była zalotna. Bardzo lubiła się stroić. Wyglądała pięknie. Smukła, zgrabna, giętka, porywała oczy mężczyzn harmonią ruchów i piękną budową ciała, którą się wyczuwało w każdym jej ruchu. Była śmiała i pewna siebie, lecz matka bała się, że niedoświadczona dziewczyna wpadnie w jakąś głupią miłośćkę i złamie sobie życie. Próbowiła pouczyć córkę. Lecz to ją tylko irytowało. Więc dała spokój.

— Czemu nie przywitasz się z bratem — rzekła matka. — Nie widzieliście się tyle czasu!

— No i cóż z tego? — Niech on się przywita — odparła Hela.

— Jak ty mówisz do matki — upomniał siostrę Jaś.

— Tak jak mi się podoba!

Jaś poczuł, że krew uderzyła mu do twarzy. Porwała go złość na siostrę, która wszystko co miała zawdzięczać mogła jedynie matce, a potem dopiero jemu. Wstał z miejsca.

— Hela! Zastanów się co mówisz.

— Idź ty do cholery razem z mamą! — Splunęła i wyszła do sionki.

Jaś bez słowa wybiegł za nią. Uderzył silnie siostrę. Tamta z zaciśniętymi zębami, jak pantera, skoczyła ku niemu. Starła się bić jak najmocniej, drapać, gryźć. Była silna, wytrzymała i zwinna. Walczyli bez słów, zacięcie, jak najwięksi wrogowie. Jaś nie liczył się z niczym. Rowścieczyła go krzywda matki. Po pięciu minutach zostawił siostrę na ziemi w sieni. Była cała w sińcach. Z nosa broczyła jej krew. Leżała na wznak w podartej sukience i bieliźnie, prawie goła i ciężko dysząc drapała paznokciami ziemię. W czasie walki nie powiedziała ani słowa i teraz również milczała.

Jaś wrócił do pokoju. Matka płakała przy stole. Nie powiedziała poprzednio synowi i krzywdach, które cierpiała od córki. Myślała, że jeśli Jaś zamieszka razem, to Hela będzie lepsza. Zobaczyła teraz, że to niemożliwe. Że w domu byłoby piekło.

— Ja jej dam radę... Będę bił dopóki nie nauczę szacunku dla ciebie...

Matka płakała.

Jaś przez pewien czas siedział ponuro przy stole. Potem wstał, wymył ręce i twarz, uporządkował ubranie i pożegnał matkę.

— Może jeść chcesz? Może potrzebujesz czegoś?

— Nie; nie nie trzeba...

Chłopiec wyszedł do sieni. Siostry już tam nie

było. Wstąpił do kuchni. Hela stała goła przy dużej miednicy i zmywała z twarzy i rąk krew. Brat zbliżył się do niej. Wyprostowała się i patrzyła na niego ostrym, czujnym wzrokiem. Jasia porывała chęć zbicia jej jeszcze dotkliwiej, lecz powstrzymała go niespodziewanie myśl, że... jest goła. Powiedział stanowczo, twardo:

— Albo wyniesiesz się stąd, albo przeprosisz matkę... Następnym razem pomówimy lepiej niż dziś... Ja ci nerwy uporządkuję!

Zapadał wieczor. Chłopiec był głodny. Szedł prędko w kierunku Złotej Górki. Było mu zimno. Miał na sobie bieliznę i ubranie, które mu dała Milka po zmarłym bracie. Swoje zostawił u niej; chciała bieliznę wyprać, a ubranie wyczyścić i wyprasować, bo było zaniedbane i brudne po dłuższym pobycie w więzieniu i areszcie. Lecz palta nie miał. W dzień nie było mu zbyt chłodno, lecz teraz cały drżał z zimna.

Ulice były prawie puste. Dopiero na Zacharzewskiej ruch był nieco większy. Jaś wszedł pod numer 157. Domki stały ciemne. Pracownia Barana była zamknięta. Obszedł domek dokoła. Pusto.

„Albo Paulina gdzieś wyszła, albo zmieniła mieszkanie”.

Nie wiedział co robić. Chciał koniecznie dostać się do swego mieszkanka, albo do mieszkania Łobowej, żeby wziąć palto. Przypomniawszy sobie montera Wiktora Umieńskiego, z którym grał na gitarze i mandolinie. Mieszkał w drugim domku. Poszedł tam. Lecz i jego mieszkanko było zamknięte. Znow obszedł pierwszy domek. W pewnym momencie drogę mu zagrodziła psia buda.

„A gdzie Miły?”.

Jaś kucnął przy budzie. Posłyszał w głębi głucho warczenie psa. Lecz Miły się nie ruszał. Nie

miał sił na obronę. Ale po chwili węchem poczuł, że to Jaś. Skojarzył jego zapach z Baranem. Chłopiec często go karmił. Często razem z Baranem odwiedzał psa. Miły spróbował wypełznąć z budy. Brakowało sił.

Chłopiec wsadził rękę do środka. Poczuł pod dłonią zmierzwioną sierść i kości. Zrozumiał wszystko. Wydostał psa na zewnątrz. Był lekki. Nie opierał się wcale.

— Ot, podła swołocz! — zaklął Jaś.

Rozluźnił psu obrozę. Zdjął ją z głowy zwierzęcia. Otulił Miłego marynarką i przyciskając go do siebie wyszedł na ulicę. Na razie sam nie wiedział gdzie pójdzie.

Pawka królowała w swym sklepiku na Złotej Górcie. Klientów było pełno. Wzięła do pomocy dziewczynę, bo sama nie nadążała nastawiać samowar, obsługiwać gości i sprzedawać. Dostawiła jeszcze dwa stoliki. Zarabiała bardzo dużo, lecz wciąż się skarżyła. Opowiadała o jakichś stratach. Narzekała na duże wydatki, drogi lokal, podatki; służącej skąpiła jedzenia. Natomiast gości czarowała jak mogła i słowami, i uśmiechami, i ruchami.

Od czasu do czasu do sklepiku przychodziła jej siostra, Stasia. Miała już 15 lat. Była blade i chuda z niedożywienia. Po śmierci matki ona i Julek byli zupełnie zaniedbani, bo Churdzicz się rozpił i o dzieci nie dbał wcale.

Stasia zawsze była głodna. Skarżyła się siostrze na ciężkie życie.

— I mnie nią lekko — mówiła Pawcia. — Całe dnie muszę pracować w tej budzie. Nie ma kiedy odpocząć. Praca i praca!

— Ja pomogę chętnie — mówiła Stasia. — Ju-

lek też. Czy co kupić, przynieść. Mogę gościom podawać, naczynia zmyć.

Lecz Paulinka wołała wziąć do „interesu” obcą kobietę, aby krewni się nie orientowali w jej zarobkach.

Zwykle dowołała siostrze wyschnięte kawałki chleba, skrawki kielbasy. Zawijała to w papier, wręczała Stasi i mówiła:

— Teraz wynoś się. Nie przeszkadzaj pracować.

Od czasu do czasu do sklepiku jej wstępował Filip Łysy. Wytwornie się kłaniał, kupował papierosy, lub coś do jedzenia i, po krótkiej pogawędce, uroczysty, majestatyczny, żegnał się i szedł dalej. Zwykle odwiedzał ją, gdy szedł ze swojej dzielnicy, za jakąś blatną sprawą, na Komarówkę. O żadnych interesach z nią nie gadał, bo Baran go dawniej uprzedził, że żyje z frajerką.

Wśród klientów Pawki było sporo takich, którzy starali się zdobyć względy ładnej sklepniczki. Wielu z nich miało apetyt nie tyle na kobietę, ile na jej przypuszczalne bogactwo. Lecz Pawcia była przebiegła i ostrożna, więc mimo to, że dość gorący temperament ponosił ją, nie angażowała się z nikim za daleko. Poza tym lekcja, którą jej dał „kochany Toluś”, też nie minęła bez śladu.

Od pewnego czasu sklepik jej zaczął odwiedzać wysoki, smukły brunet w wojskowym ubraniu. Miał ciemne oczy, czarne brwi i śniadą cerę. „Człowiek Wschodu”. Godzinami siedział w sklepiku przy szklance herbaty i obmacywał Pawkę ognistym spojrzeniem. Niezbyt dobrze mówił po rosyjsku, a polskiego wcale nie znał. Więc z trudnością prawił jej komplementy i nieudolnie żartował. Gdy Pawcia dowiedziała się, że jest oficerem i pełni funkcje naczelnika Ochrony Kolejowej, za-

częła się nim interesować, lecz udawała obojętność.

Z biegiem czasu „komrot” Grzegorz — tak jej się przedstawił — zaczął spędzać u Pawki cały wolny czas. Zdarzało się, że odprowadzał ją do mieszkania, lecz Pawcia nigdy nie pozwalała mu wejść do środka. Mówiła, że ma męża i że mieszka z rodziną, więc nie może go zaprosić do siebie. Zgodziła się kilka razy pójść z nim w niedzielę do restauracji i do kina. Na tym zwykle się kończyło. Widocznie komrota to znudziło, bo pewnego dnia poszedł na Zacharzewską ulicę pod 157 numer. Tam, udając że szuka mieszkania, dowiedział się od Luby Pożarskiej, że Pawka mieszka teraz sama, bo jej narzeczony, szewc, gdzieś od kilku miesięcy zaginął. A może rzucił ją. Wystawiła Pawce najgorszą opinię. To nie tylko nie zniechęciło komrota, lecz jeszcze więcej zainteresował się Pawką. Postanowił działać energiczniej. Pomogła mu sama Pawka. Zdarzyło się to nazajutrz po rozmowie Grzegorza z Pożarską. Pawka poprosiła komrota, żeby zastrzelił psa, który jej strasznie dokuczył. „Nie daje spać, wyje po nocach, dużo żre”.

— Dla ciebie i sto psów zastrzele... Czego bym nie zrobił dla takiej „krasawicy”!

I wieczorem, po zamknięciu budy, poszli razem pod rączkę w kierunku mieszkania Paulinki. Było późno. Ulica prawie pusta. Hulał wiatr. Zaczął padać śnieg. Komrot mocno przyciskał ramię Paulinki.

Na dziedzińcu Paulinka pokazała mu z ganku budę Miłego i powiedziała:

— Ty nie strzelaj, póki ja nie wejdę do mieszkania. Strasznie się boję!

Komrot bohaterskim gestem wyjął z futerału przy pasie rewolwer. Pawcia wbiegła do mieszka-

nia. Grzegorz ruszył ku budzie. Lecz szedł powoli. Bał się, że pies go ugryzie. W budzie było cicho. Grzegorz powoli się pochylił i zaświecił latarkę. Buda była pusta. Przed nią leżał łańcuch i obroża.

„Pewnie wymyśliła tego psa, żeby mnie tu zaprosić. Chytra kobieta”!

Tak wywnioskował komrot i ruszył ku drzwiom mieszkania Paulinki. Dziewczyna pośpiesznie wyszła mu naprzeciw i zatrzasnęła drzwi.

— Czemu nie zastrzeliłeś go?

— Tam żadnej sobaki nie ma.

— Jak nie ma?

Pawcia zbliżyła się ostrożnie do budy. Grzegorz świecił jej latarką. Dziewczyna stwierdziła, że istotnie psa nie ma.

— Pewnie zdarł obrozę i uciekł — wywnioskowała. — Tym lepiej. Nie trzeba będzie padła po zastrzeleniu sprzątać. Sam gdzieś zdechnie. Dziękuję ci. Do widzenia.

Komrot podał jej rękę, lecz zamiast odejść, ruszył ku drzwiom. Paulinka zagrodziła mu drogę.

— Mówiłam ci, że nie można.

— Wojskowemu wszystko można.

I Grzegorz, mimo oporu Pawki, wszedł do mieszkania. Stwierdził, że Pawka mieszka sama i został u niej. Razem spali. Rano Pawka obudziła się wcześniej. Jej nowy kochanek jeszcze spał. Pawcia była niezadowolona. Przypuszczała, że tak okazały i ładny mężczyzna da jej wiele emocji. Tymczasem zawiodła się jako kobieta. Komrot był tak łatwo-zapalny, że tylko mając sam przyjemność, Pawci jej dać nie umiał.

Pawcia rozdrażniona, niezadowolona, odemknęła drzwi i okiennice. Zaczęła sprzątać mieszkanie. Niechętnie spoglądała na łóżko, gdzie głośno chrapał Grzegorz. Spod kołdry sterczały brud-

ne, porośnięte gęsto czarnymi, długimi włosami nogi, o zdeformowanych, cuchnących stopach. Ich fetor wypełniał cały pokój.

Pawcia zaczęła się myć w drugim pokoju. Czuli się cała brudna od pieaszot Grzegorza. Była obrażona i zawiedziona. Posłyszała z następnego pokoju:

— Ty! Pawka!

— Czego tam?

— Zrób coś zjeść!

— Nic u mnie nie ma.

— Bo ja sam poszukam!

— Nie ma co szukać. Jeść dostaniesz w sklepie.

— Taka pani! W karakułach chodzi, a w domu nie ma co jeść. Gdzie ty pieniądze chowasz?

— To ciebie nic nie obchodzi. Wstawaj prędko, bo trzeba iść sklep otworzyć.

— To idź. Ja potem przyjdę.

— Nie, nie... Chodźmy razem. Ja muszę mieć klucze od mieszkania... No, prędey...

W tym momencie ode drzwi rozległo się:

— Dzień dobry!

Jaś wstał wczesnie. Przypuszczał, że jeśli Paulinka nie zmieniła mieszkania, to o tej porze zastanie ją w domu. Zastał drzwi do pracowni Barana wpółotwarte. Więc wszedł i stojąc w progu zdziwionym spojrzeniem oglądał pokój, Paulinkę i Grzegorza.

Paulinka przeraziła się. Dostała wypieków.

— Ach, to ty!... Bardzo przepraszam!... To znajomy do mnie przyjechał... Przepraszam za nieporządek... Nie miał gdzie nocować...

— To mnie nie obchodzi — powiedział Jaś. — Marusia Łobowa pisała mi, że klucz od mego mieszkania u pani. Właśnie dlatego przyszedłem.

— W tej chwili... Gdzież ja go mam?

Paulinka zaczęła biegać po pokojach. Z przerażenia zapomniała gdzie schowała klucze od mieszkania Jasia i Łobowej. Wreszcie znalazła Jaś tymczasem wyszedł na podwórze, aby nie asystować przy ubieraniu się Grzegorza. Zrozumiał od razu sytuację i było mu przykro, że Paulinka zdradza Barana. Wiedział, że to już drugi raz. Poczul do niej wstręt, tym większy, że ten nowy kochanek wydał mu się ogromnie niesympatyczny.

Paulinka wyniosła mu klucze. Przemile się uśmiechała.

— Mam ci dużo do powiedzenia! Koniecznie musimy się zobaczyć wieczorem. Czy będziesz w domu? Ach, jak ja się cieszę, że ciebie widzę! Jak ja się cieszę! Może ci coś potrzeba?... Mogę odemknąć sklep, a potem przyjść. Mam pomocnicę... Dobrze?

— Nie mi nie trzeba... Zaraz uporządkuję ubranie, wezmę palto i idę na miasto.

— To zobaczymy się wieczorem. Tyle mam do opowiedzenia!

Jaś wziął od Paulinki klucze i poszedł odmykać sionki, z których prowadziły drzwi do jego mieszkania i mieszkania Łobowej.

Komrot ubrał się i zły, nadęty, wyszedł w towarzystwie Paulinki na ulicę.

— To jeszcze jeden twój kochanek? — spytał wyniośle.

— To kolega męża. Gospodarz mieszkania. Jak opowie mężowi co widział, to ja zginęłam. I to wszystko przez ciebie!. Wlazłeś do mnie nachalnie.

— No, no!... Ty nie bardzo głos podnoś. Ja potrafię i w mordę dać!

— Idź do cholery! Też kawaler się znalazł.

Pawcia, wyprzedzając komrota, prawie pobiegła chodnikiem. Straciła już dwie godziny targu. Poza tym wpadła z nim w głupią historię, bo obawiała się, że Jaś opowie wszystko Baranowi, gdy tamten odzyska wolność, albo napisze mu do więzienia.

Pospiesznie odemknęła sklepik. Służąca od dawna czekała u drzwi. Wkrótce potem zjawił się Grzegorz. Musiała dać mu śniadanie, chociaż wiedziała, że nie zapłaci. Rzeczywiście nie zapłacił, a nawet wziął sam z szafki dwie paczki papierosów. Pawka śledziła go złym spojrzeniem.

— Pożycz mi 500 rubli — rzekł Grzegorz. — Jak otrzymam pensję, to ci zwrócę.

— Nie nie mam. Nie targowałam jeszcze przez ciebie.

— W takim razie zaczekam póki nie utargujesz.

Grzegorz usiadł przy stoliku i palił papierosa. Pawcia trzęsącymi się ze złości rękami wydostała z szuflady 500 rubli z wczorajszego targu i rzuciła je przez ladę komrotowi.

— Masz. Udław się! Tylko idź stąd precz!

Grzegorz obwiał ją maślanymi oczami, spojrzenie których poprzednio tak słodko laskotało ją i zabrał pieniądze. Powiedział:

— Dziękuję. Do zobaczenia!

— Na święty nigdy!

Rzuciła mu w ślad Paulinka.

Dzień dziś był fatalny. Klientów mało. Naczynia się tłukły. I wszystko tak się powikłało. Więc gdy po południu przyszła do sklepu Stasia, Pawcia wypędziła ją precz. Nie dała nawet kawałka chleba.

— Poszła wont! Ja nie będę na żebraków pra-

cować! Dość mam was wszystkich!

Stasia głodna poszła płacząc do domu, gdzie buszował pijany ojciec. Drugi dzień nie nie jadła.

Jaś odemknął swoje mieszkanko i zaczął je oglądać. Powietrze było stęchłe. Pootwierał okna. W kuchni brakowało garnków, niektórych naczyń, dwóch wiader. Przypuszczał, że wzięła je Pawka, która miała klucze od mieszkania. Złodzieje zabrałyby lepsze rzeczy. Nie było mu szkoda rzeczy, które zresztą były prawie bezwartościowe, lecz było mu przykro, że Pawcia nachalnie gospodarzyła nimi i nawet nie o tym nie wspominała.

Jaś poznał dwie walizki i kosz do bielizny Łobowej. Na stole znaleźli kartkę i list z Moskwy na swoje imię. Kartka była lakoniczna:

„Muszę wyjechać do Moskwy. Rzeczy twoje są w koszu. Klucze wszystkie u Pauliny Churdziczówny. Moje drobiazgi są w walizkach. Droższe rzeczy zabieram ze sobą. Mieszkanie opłaciłam za trzy miesiące. Z Moskwy napiszę.

Marusia.

Natomiast list był obszerniejszy.

Kochany Chłopcze!

Jestem w Moskwie. Kiedy wrócę — nie wiem. Postaram się jak najprędzej. Może jestem ci potrzebna dopóki siedzisz w więzieniu. Bo potem, niestety, doskonale beze mnie się obejdziesz. Przepraszam, że tak piszę, ale jestem trochę zła i na ludzi, i na siebie. Spotkało mnie wiele przykrości, o których nie chcę pisać. Opowiem gdy wrócę.

Nie wyjechałabym z Mińska za nic, dopóki ci jestem potrzebna, ale nie chcę być od nikogo zależna materialnie. To mnie męczyło i upokarzało. Chcę żebyś mnie szanował, bo kochać nie możesz. Dlatego muszę być samodzielną. Gdy załatwię wszystko w Moskwie, to natychmiast wrócę.

Wuj Żardoń powiedział mi (uroczyście obiecał), że będzie się tobą opiekował. Inaczej bym nie wyjechała. W Urzędzie Sledczym zapewnili mnie, że twoja sprawa jest błaha i że na pewno będziesz zwolniony. Może teraz, gdy piszę ten list, jesteś już w domu.

Kochany Jasiu! Jest mi ogromnie smutno i ciężko. Życie podle, ludzie podli. Ty mi dałeś trochę szczęścia. Wydaje mi się wciąż, że jesteś moim dzieckiem. I tak o tobie myślę i tak do Ciebie tęsknię. Tylko się nie obrażaj. Ty tego nie rozumiesz?

Całuję Ciebie i ręce ściskam, i życzę więcej szczęścia niż nawet sobie.

Marusia.

Z tego listu Jaś się zorientował, że Łobowa załatwia w Moskwie jakieś ważne sprawy, o których nie chce pisać. Zrobiło mu się smutno. Przyzwyczaił się do swej kochanki i zaczął cenić ją i szanować, mimo to, że naprawdę jej nie kochał. Dzielili ich przecież wszystko, a łączyło jedynie wzajemne zaufanie. Więc miłość Łobowej nie znalazła oddźwięku w sercu chłopca, który nie dojrzał jeszcze do prawdziwej miłości.

Jaś wyjął z kosza swe rzeczy i zaczął je porządkować. Nic mu nie zginęło. Wszystko było w dobrym stanie. Jaś szczególnie się ucieszył, gdy

odnalazł paltó. Po sprzątnięciu mieszkania poszedł do Kazika Moreckiego, który mieszkał na Ślepiąńskiej ulicy. Po ucieczce znalazł tam melinę. Zapuścił wąsy, zmienił paszport i mieszkał u biednej mieszczańskiej rodziny, jako sublokator. Duża izba, którą wynajął, miała osobne wejście z sionek i to było bardzo wygodne. U niego Jaś wczoraj nocował i u niego ulokował psa. Opowiedział Kazikowi o losie Miłego. O tym, jak Baran go wyratował. Jak go maltretowała Paulinka. Kazik miał dobre serce i oburzył się na znęcanie się nad zwierzęciem.

— Ja bym taką łachudrę samą na łańcuch posadził i jeść nie dał. A pewnie Bogu się modli i spowiadać się chodzi. Takie one są.

Teraz Miły miał dobrych opiekunów. Niestety złodziei.

Paulinka dzisiaj wcześniej zamknęła sklep. Dzień był fatalny od samego rana. Zarobiła mało. A jeśli potrafić to co dała Grzegorzowi i koszt stłuczonych naczyń, to właściwie nie zarobiła, pierwszy raz od wielu miesięcy. Najwięcej niepokoiło ją to, że Jaś zastał u niej rano komrota w sytuacji, która nie budziła żadnych wątpliwości. Bała się ogromnie, że powiadomi o tym Barana. Obawiała się nie tyle utraty go jako kochanka, lecz jako źródła dużego dochodu. Zorientowała się teraz jak trudno zarobić na życie, a tym więcej na tyle drogich rzeczy, które jej Baran kupił w ciągu pół roku.

Gdy przyszła do mieszkania przekonała się, że Jaś jeszcze nie przyszedł. „Może nie wróci?” — myślała niespokojnie. Pawka postanowiła prosić go, aby zachował w tajemnicy to co widział. Robiła porządki u siebie w mieszkaniu i nadśluchiwała.

Jaś wrócił dość późno, po kolacji u Kazika. Paulinka przypuszczała, że wstąpi do niej lecz chłopiec poszedł do siebie. „A może jeszcze przyjdzie?”. Lecz nie przyszedł i po godzinie. Wówczas Paulinka poszła do niego. Zapukała. Jaś był już w łóżku. Otworzył jej bez pytania nawet. Dziewczyna od razu się zorientowała, że jest zły. Przemile się uśmiechnęła.

— Może ci coś trzeba?

Jaś obrzucił ją spojrzeniem.

— Wiadra mi potrzebne. Gdzieś poginęły. Nie ma nawet w czym wody przynieść. Nie ma czajnika, nie ma naczyń, nie ma szczotki do zamiatania.

— Ja wzięłam do siebie. Myślałam, że tobie niepotrzebne. Mogę zaraz oddać. Nie ma o co się gniewać. Wielkie to skarby!

— To nie są skarby, a rzeczy bez których nie można się obejść. Potrzebowałam ich od rana... Dlaczego nie oddałaś? Nawet umyć się nie mogłem, ani wody ugotować. W mieszkaniu zimno. Chciałem napalić. W składziku nie ma ani siekiry, ani piły.

— Mówię przecież, że ci wszystko oddam. I swoje jeszcze dam. Zaraz ci wszystko przyniosę.

Pawcia zła wyszła z mieszkania Jasia. Ale złość jej wnet pierzchła. „Powie wszystko Olkowi”. Pawka prędko pozbierała naczynia, wiadra, szczotkę. Potem wzięła do wiader sporo swego drzewa. Wróciła do mieszkania Jasia i zaczęła rozpalać w piecu. Chłopiec ze zdumieniem patrzył na nią.

— Daj spokój z piecem. Jutro sam napalę. Spać mogę dzisiaj i w zimnym pokoju.

— Nie — powiedziała Pawka stanowczo: — jeśli z mojej winy marzniesz, to ja ci napalę. Zaraz jeszcze drzewa przyniosę.

Pawka poszła do siebie. Tam pośpiesznie się rozebrała, obtarła ciało wodą kolońską, upudrowała twarz, włożyła najładniejszą koszulkę. Narzuciła na siebie palto i w kaloszach na bosych nogach wróciła do mieszkania Jasia. Przyniosła jeszcze kilka polan drzewa i wsadziła je do pieca.

— Widzisz, jak ja o ciebie dbam. Szkoda mi ciebie. A ty jak ściana. Ja taka przecież nieszczęśliwa.

Pawcia przymknęła pierwsze drzwiczki u pieca. Potem pośpiesznie zrzuciła z siebie palto, podszła do łóżka Jasia i włożyła pod koc. Przycisnęła się do niego. Chłopiec był tym zaskoczony. Milczał. Leżeli cicho obok siebie. Było to dość głupie i dla Jasia i dla Paulinki. Tak biegły minuty. Jaś ani się poruszył. W pierwszej chwili chciał wyskoczyć z łóżka, ubrać się i wyjść. Potem zachciało mu się śmiać. Zrozumiał, że Paulinka chce przekupić go swym ciałem. Zrobić go, przez zdradę kolegi, współnikiem tamtej zdrady. Oddychał aromatem wody kolońskiej, pudru i leżał, patrząc na tańczące po ścianie czerwone plamy ognia, padające przez wycięcia w drzwiczkach pieca. Ciepło od ciała Paulinki było mu przyjemne. Czuł, że mógłby tak usnąć. Ani przez chwilę nie powstała mu w głowie myśl skorzystania z tak wygodnej sposobności.

Paulinka zaczęła się denerwować. Dłuższego celibatu nie zaspokoila wczorajsza noc. Przeciwnie, tylko rozdrażniła ją i wyprowadziła z równowagi, nie dając ukojenia. Obecna możliwość wyzycia się naprawdę, podnieciła doświadczoną dziewczynę fizycznie i psychicznie. Wyczuła, że Jaś stosuje opór. Zsunęła z siebie koszulkę, wzięła dłoń Jasia i zaczęła prowadzić ją po swoim ciele. Lecz gdy puszczała ją, dłoń leżała nieruchomo.

Jaś twardo postanowił sobie, że, mimo wszystko, Paulinki nie weźmie. „Pójdę jutro do Milki”. Czuł, że kobieta coraz więcej się zapala. Że już chodzi jej nie o „łapówkę” i zjednanie sobie milczenia Jasia, a o zaspokojenie fizyczne i podrażnionej ambicji. Poczuł, że Paulinka drży. Skórę miała gorącą i spoconą. Zaczęła go całować w usta. Wówczas Jaś powiedział spokojnie:

— Nie lubię pocałunków. Wstrętna mi cudza ślina.

— Co ty mówisz?!

— To mówię, że jeśli chcesz, abym nic nie powiedział Olkowi, to idź sobie. Dość mi tej komedii.

— To nie komedia... Ja naprawdę!...

— Tym gorzej. Ja mam swoją dziewczynę... A kolegi oszukiwać nie mogę. U nas tak się nie robi. Jaś usiadł na łóżku i zrzucił z siebie koc.

— Wstrętny jesteś!

— Tym lepiej... Proszę iść, bo ja pójdę...

— Dobrze... Zaraz idę... Ale naprawdę nie powiesz Olkowi?

— Nie powiem nic... I nie tyle dla ciebie, ile dla niego... Dość ma piekła na ziemi... Ty mu nawet jedzenia do więzienia nie posłałaś. To mogłaś łatwo zrobić.

— Przecież wam tam dają!

— Nie rób z siebie głupszej niż jesteś.

Pawka zdenerwowana się ubierała. Rozsadzała ją wściekłość na tego smarkacza, który nią pogardził, a teraz przemawia z taką wyższością. Jakby chętnie go uderzyła. Była teraz pewna, że Jaś jej nie wsypie przed Baranem. Gdy włożyła palto powiedziała pogardliwie:

— Mądrzysz się, a jesteś dureń!

— A ty brudna świnia!

I tak mile się pożegnali, po spędzeniu godziny razem w łóżku. Jaś zamknął za Paulinką drzwi. Poprawił drzewo w piecu i położył się do łóżka. Przez pewien czas myślał jeszcze o Paulince. W pewnej chwili powiedział cicho: „Ta i diabła ze skóry odrze!”. Był dumny z siebie, że nie uległ pokusie.

Usnął.

Wniosek Jasia był fałszywy. Pawcia potrafiła tylko Barana, zaślepionego swą miłością dla niej, ze skóry obdzierać. Z innymi, wrodzony egoizm i podłość marnej mieszcзки, mało pomagały. Toluś ją skubał ile mógł. Wyzyskał jako kobietę, a potem kopnął. Teraz zaczął obdzierać ją z pawich piór Grzegorz.

Nazajutrz zjawił się w sklepie i poprosił znów o 500 rubli.

— Idź do diabła! Nie dam! — stanowczo powiedziała Paulinka.

— Zgubiłem tamte pieniądze — twierdził komrot. — Koniecznie mi są potrzebne. Oddam ci jak otrzymam pensję.

Rozsiadł się w sklepie i czekał. Wreszcie Paulinka, dygocąc ze złości, dała mu pieniądze.

— Żeby to było ostatni raz! Proszę więcej do sklepu nie przychodzić!

Grzegorz tylko się uśmiechał. Tego nie łatwo było wyprowadzić z równowagi.

A nazajutrz Pawka poczuła się chora. Zamknęła sklep i poszła do lekarza, który stwierdził u niej chorobę weneryczną. Dziewczyna była przeżona.

— Tego jeszcze brakowało!

Pawka konała ze złości i rozpaczki. Kuracja zapowiadała się długa i kosztowna. Trzeba było zachować dietę. A ofiarodawca tego prezentu po

paru dniach znów się zjawił w sklepie. Po następną porcję pawich piór. O pieszczoty jej jakoś się nie dopominał. Pieniądze więcej go interesowały.

Gdy Pawcia zobaczyła maślane, zabójcze dla kobiet, oczy komrota, to ze złości straciła mowę. Grzegorz grzecznie się przywitał z nią i usiadł przy którymś z wolnych stolików.

— Poproszę o herbatę i bułki! — powiedział słodko komrot do usługującej gościom dziewczyny.

Pawcia odzyskała mowę:

— Proszę zapłacić z góry, wtedy otrzymacie wszystko!

— A czemuż to taka niełaska, moja kochana Paulinko!

— Nie ma tu kochanych Paulinek! Skończyły się! Proszę zwrócić pożyczone 1000 rubli, wtedy będziemy rozmawiać. Szubrawcze!

— Co! — Grzegorz uniósł w górę brwi. — Ja za takie słowa mogę i po pysku dać!

— Ty mnie po pysku? Draniu jeden! Wont ze sklepu! Zaraziłeś mnie chorobą weneryczną! Bydlaku! Precz stąd!

Grzegorz dostał wypieków. Podszedł do lady i grzmotnął w nią pięścią.

— Jestem oficerem i nie pozwolę sobie takich rzeczy gadać!

— A ja mogę! Drań jesteś nie oficer! Takich strzelać trzeba jak psów!

— Ja ci zaraz postrzelam! Ja ci dam psów!

Wtem w „rozmowę” wtrącił się trzeci głos:

— Pardon... Bez krzyku... Teraz, towarzyszu, oficer musi się liczyć ze słowami. To nie carskie czasy.

— A obywatel kto taki jest ?

— Zaraz pokażę kto jestem i tak dalej...

Filip Łysy, ziewając, wyciągnął portfel i wyjął z niego zaświadczenie, że jest delegatem Centralnego Komitetu w Moskwie, skierowanym służbowo do Mińska w sprawach poufnych. Wszystkie władze wojskowe i cywilne miały, pod surową odpowiedzialnością, podróż jego i pełnienie funkcji służbowych ułatwiać. Zaświadczenie to dopiero dzisiaj Filip otrzymał w truszczoie Cypy. Było zrobione według wzoru, wykradzonego jakimś wysokiemu czerwonemu dygnitarzowi, wraz z portfelem, przez Kulomiota i Toškę Srokę. Potrzebne było Filipowi dla zamieszkania w hotelu „Europa”. Szedł w tej sprawie do Panicza (Jasia) na Złotą Górkę i, jak zwykle, wstąpił po papierosy do kochanki Barana. Słyszał całą rozmowę i w lot się zorientował w sytuacji. Uważał, że musi mimo wszystko, ująć się za Paulinką. Poza tym nie mógł oprzeć się pokusie popisania się przed obecnymi w sklepie ludźmi swą „władzą”.

Komrot przeczytał zaświadczenie i struchlał. Zrozumiał, że wpadł poważnie. Był bezczelny, lecz, jak zwykle tacy ludzie, tchórz. Zgubił się zupełnie.

— Przepraszam, towarzyszu... To nieporozumienie... Ja jestem dla tej kobiety grzeczny. To ona...

— A kto pięścią walił, krzyczał, groził i tak dalej... Co?

Filip mrużył oczy i oglądał od stóp do głowy Grzegorza. Tamten coś bełkotał.

— Proszę podać nazwisko, przydział służbowy i tak dalej...

— Towarzyszu, wybaczcie... Byłem zdenerwowany... Mam żonę i dzieciaków...

— Jeszcze gorzej — skonstatował Filip.

— Towarzyszu... błagam...

— Nie mam kiedy tobą się zająć. Ale pamiętaj: następnym razem i tak dalej...

Filip wyrznął go w twarz z lewa, z prawa i wskazał drzwi:

— Wont!

Grzegorz momentalnie znikł. W sklepiku wszyscy milczeli. Paulinka z zachwytem patrzyła na Filipa. Z oczu jej leciały łzy.

Filip grzecznie jej się uklonił.

— Przepraszam bardzo, że wtrąciłem się w tę sprawę i tak dalej. Do widzenia.

Majestatycznie wyszedł ze sklepu, w którym zapanowała cisza. Ktoś ją przerwał słowami:

— Takich komunistów żeby więcej... Zrobiliby porządek!...

III.

„EUROPA I AZJA”.

Na początku 1919 roku „Europa” była pogrążona w chaosie. Obsługa nie mogła sobie dać rady. Mimo to dbano o pozory i chociaż symbolicznie starano się zachować jej prestiż, tak że płytki obserwator mógłby sądzić, że wszystko jest w porządku. Natomiast wystarczyło trochę uważniej jej się przyjrzeć, aby dostrzec, że chyli się ku ruinie. Korytarze były zaśmiecone. Pokoje zaniedbane. Bielizna na łózkach brudna. Ręczniki w ogóle znikły. Kanalizacja się psuła. Wodę wymierzano wiadrami. Ubikacje pozabijano gwoździami, aby — mimo drukowanych i pisanych upomnień, że są nieczynne — nie stwarzać lokatorom pokusy do korzystania z nich.

Pewnego dnia przed fronton hotelu podjechała dorożka. Wsiadł z niej wysoki, dobrze ubrany mężczyzna. Zapłacił dorożkarzowi i z niedużą walizeczką w ręce, a teczką pod pachą, wszedł do westibulu. Skierował się do pokoju Zarządu. Tam postawił walizeczkę na krzesło i powiedział dyżurnemu:

— Ja za chwilę. Zwróćcie uwagę na bagaż.

Wyszedł do hallu i obszedł dolny korytarz.

Znalazł Nr 13, mieszczący się na I-szym piętrze w końcu korytarza. Spojrzał przez „psichę” do środka pokoju. Klucz tkwił w niej od wewnątrz. Na drzwiach była kartka. Przeczytał ją:

Aleksander Siemionowicz
S T A R C O W .

Przyjezdny cicho zaklął i poszedł do pokoju Zarządu. Tam pokazał dyżurnemu zaświadczenie Centralnego Komitetu, ze skierowaniem do Mińska w sprawach służbowych. Dyżurny zorientował się, że to gruba ryba. Przejęty szacunkiem pośpiesznie wpisał do specjalnej księgi przyjezdnych, którą co noc kontrolowała Cze-Ka, dane personalne wysokiej osobistości. Wkrótce w księdze figurował nowy lokator hotelu. W rubryce: nazwisko, figurowało — zgodnie z dokumentami: Azja Iwan Andrejewicz i jeszcze sporo danych. Nazwisko, Azja, sprytnemu urzędnikowi, pracującemu tu z ramienia Cze-Ki, w celu obserwacji gości i obsługi hotelu, wydało się dziwne. Powtórzył przed wpisaniem:

— Azja?

— Tak jak napisano... — wyniośle rzekł Filip.

— Przepraszam — rzekł zmieszany urzędnik. „Tego trzeba się wystrzegać”.

Filip ziewał.

Po wpisaniu nowego lokatora do księgi, dyżurny wziął rozkład hotelu.

— Proszę o wygodny pokój na piętrze — rzekł Azja. — Nie chcę wysoko chodzić. Może być Nr. 13. Lubię tę liczbę.

— Numer 13 na razie zajęty.

— A nie można lokatora gdzie indziej i tak dalej!...

Filip zrobił wymowny ruch dłonią.

— Trudno — zżymał się urzędnik. — Po-
wiem, towarzyszu, poufnie, bo widzę z kim mam
do czynienia. Lokatorem jest zastępca prezesa
Czerezwyczajnej Komisji. Mieszka z żoną. Ale za
parę dni zwolnią pokój. Wówczas natychmiast
was tam przeniosę. Narazie dam najlepszy pokój,
jaki jest wolny: Nr 34.

— No, dobrze... Ale proszę pamiętać i tak
dalej.

— Tak jest! Natychmiast!

Dyżurny usłużnie zacierał ręce. Te „i tak da-
lej” wysokiej osóbkki szczególnie go peszyły. Były
po prostu groźne. Sam zaniósł walizkę do poko-
ju i kazał służbie porządnie go sprzątnąć.

Hotel Europa był przeznaczony przez Wydział
Mieszkaniowy Gorispolkomu*) dla przejezdnych
wojskowych wyższych szarż i elity biurokratycz-
nej. Filip wygnał z pokoju brudnego posługacza.
Kazał sprzątnąć później. Umył ręce. Zostawił
walizkę i z teczką pod pachą poszedł na miasto.

Najniespodziewaniej w świecie zobaczył w hal-
lu, idącego mu naprzeciw Barana, który, o ile mu
było wiadomo, siedział w więzieniu. Wzruszony
poszedł mu naprzeciw.

— Olek i ty tu?

Baran stanął i uważnie, zdumionymi oczami
patrzył w twarz Filipa.

— Nie przypominam sobie — rzekł chmurząc
czoło.

Filip zorientował się, że było to tylko duże po-
dobieństwo. Wyprostował się i wdział maskę obo-
jętności.

*) Zarząd Miejski.

— Pa-ardon! Łudzące podobieństwo... Miałem w Moskwie znajomego partyjnika, który się nazywał Aleksander i tak dalej...

— Jestem też z Moskwy i też partyjny. Nazywam się Aleksander Starcow. Doktor praw.

— Tamten ma nazwisko Golcow... Przepraszam, że zabrałem trochę czasu i tak dalej.

Filip uklonił się Starcowowi i skierował się ku wyjściu. Na placu jeszcze myślał o tak dziwnym podobieństwie. To go zaniepokoiło nawet. Nie mógł wiedzieć, że Aleksander Starcow jest bratem Aleksandra Barana z jednego ojca, lecz z innej matki.

W westybulu kręcił się dyżurny. Starcow zawołał go i, wskazując oddalającego się Filipa, spytał:

— Co to za jeden?

Dyżurny usłużnie objaśnił zastępcę prezesa Cze-Ki:

— Delegat Centralnego Komitetu z Moskwy. Dziś przyjechał w sprawach poufnych. Jest bardzo dziwny.

— Dlaczego? — zainteresował się Starcow.

— Rozkazuje jak u siebie w domu. No i w ogóle... Widocznie przyjechał robić tu porządki...

Starcow nachmurzył się. Skinął głową wyprostowanemu służbiście dyżurnemu i poszedł pod Nr 13. Mimo to, że się czuł w porządku, był nieco zaniepokojony. Raczej rozdrażniony.

Zona, okutana w duży wełniany szal siedziała w głębokim fotelu i czytała. Przy wejściu męża odrzuciła książkę.

— Jest mieszkanie? — spytała od razu.

Mąż milczał. Zdejmował palto i lokował je na wieszaku. Otrzeptał ze śniegu czarną, karakułową czapkę.

— Jest mieszkanie? — powtórzyła żona. — To już niemożliwe! Tu woda zamarza. Wiesz, że mam słabe zdrowie. Ciebie całymi dniami nie ma. Tobie dobrze. A ja?... Nawet rozpakować się nie można.

— Mieszkanie meblują. Rozumiesz? Robię co mogę! Jeszcze kilka dni trzeba tu побыć.

— Ładna historia! Mam tu zachorować?

— Zrozum, że robię co mogę! Ale na wszystko trzeba czasu...

— Na wszystko, tylko nie dla mnie.

— Nie bądź wstrętną mieszczką. Przestań się czepiać, bo pójdę stąd.

— Możesz iść! Pojadę z powrotem do mamy. Zbrzydła mi ta poniewierka!

— Teraz takie czasy. Trzeba przetrwać.

— Zrobiliście sami „takie czasy”. Wszystkich was mam potąd! — pokazała dłonią mu szyję.

Starcow wyjmował z szuflady biurka jakieś papiery i milczał. Widocznie nie chciał wchodzić w dyskusję z rozdrażnioną małżonką.

Aleksander Starcow był synem słynnego w Rosji prawnika, Piotra Starcowa. Pobieżną sylwetkę jego zarysowałem we wstępie do powieści „Jabłuszko”. Figurował tam, w romansie z Andzią Baran, jako „Ryszard”. Później „Ryszard” — Piotr objął znaczne stanowisko za czasów caratu, w Ministerstwie Sprawiedliwości. Miał żonę Polkę, której na imię było Halina. „Złota Halszka”. Był stuprocentowo carsławny i prawosławny. W tych „ideałach” wychowywał również legalnego swego jedynaka, Aleksandra. O nielegalnym Aleksandrze, nic nie wiedział. O Andzi, przelotnej swej kochance, która uratowała mu życie w lupanarze, prędko i łatwo zapomniał.

Aleksander Starcow rósł w luksusie, otoczony wszechstronną opieką. Mając dziesięć lat mówił biegle po francusku, uczył się gry na fortepianie. Potem oddano go do gimnazjum, gdzie się uczyły dzieci zamożnych rodziców i arystokracji rosyjskiej.

W tym uprzywilejowanym zakładzie naukowym, jak zwykle w Rosji, w starszych klasach, był modny socjalizm. Wynikał z tradycji rosyjskiej szlachty, gdyż właśnie na wyższych sferach narodu opierały się idee wolnościowe.

Na uniwersytecie Aleksander Starcow stał się członkiem partii socjalistycznej. A po rozłamanie w partii przeszedł z obozu Plechanowa do obozu Lenina. Brał udział w rewolucji 1905 roku. Był na zesłaniu.

Z wyglądu przypominał bardzo Aleksandra Barana. Mieli nawet dużo wspólnych cech psychicznych. Obaj byli małomówni i zamknięci w sobie. Lubili porządek. Przypuszczam, że wygląd fizyczny i zasadnicze elementy psychiki, odziedziczyli po kimś z przodków z męskiej linii, bo matki obu były Polkami, a braci cechował, złagodzony przez pokolenia, typ mongolski: nieco skośne oczy, wystające kości policzkowe, śniada cera, ciemne włosy.

Naturalnie Aleksander Starcow przewyższał brata wiedzą i intelektem. Natomiast w Baranie życie wyrobiło niedostępny dla intelektualisty Starcowa zmysł obserwacji i szybkość decyzji.

Baran uważał siebie za Polaka; Starcow — za Rosjanina, lecz nie był wiernym sługą cara, a jego wrogiem. Ojciec ich obu, dziwnym zbiegiem okoliczności, ożenił się z Polką i syna nieślubnego miał też z Polką. Syn jego legalny ożenił się również z Polką, śpiewaczką, Elżbietą Buchow-

ską. Była ona o 15 lat młodsza od męża. Cechowała ją duża uroda, wielka zarozumiałość i pęd do luksusu.

Starcow w partii nie zajął wysokiego stanowiska. Był zbyt uceziwy, nie umiał przypochlebiać się i politykować. Był zawsze spychany na drugi plan przez sprytnych, chociaż mniej wartościowych, wazeliniarzy. Po rewolucji październikowej 1917 roku nie zajął znacznego stanowiska w administracji. A na początku 1919 roku Dzierżyński wysłał go do Mińska, jako zastępcę prezesa Czerezwyczajnej Komisji, bo prezesem był zasłużony, pewny lecz nieinteligentny, robotnik kolejowy Micin.

Starcow miał specjalne instrukcje, dotyczące walki z kontrrewolucją, spekulacją, szpiegostwem i bandytyzmem. Miał zorganizować, według zleceń Dzierżyńskiego, specjalny sąd „Kolegię Trzech”, dla prędkiego likwidowania na terenie mińszczyzny wrogów proletariatu. Właśnie dziś odbyła się w tej sprawie kilkugodzinna narada. Udział w niej wziął komendant miasta Kriwoszejn — protegowany Zinowjewa. Przeszłość jego była ciemna. Złodzieje mińscy twierdzili stanowczo, że to smoleński blatny. Niektórzy zaprzeczali temu i mówili, że był zwykłym smoleńskim łobuzem i „kotem”^{*)}. To samo oświadczyła aferzystka Sabina Duża, która знаła świat przestępczy miasta Smoleńska. Jeśli wziąć pod uwagę ten wściekły sadyzm, z jakim Kriwoszejn w tamtych latach tępił przestępców i w ogóle wszystkich, którzy dostali się w łapy Cze-Ki, to może było to zgodne z prawdą.

^{*)} Kot — alfons. Alfonsi są traktowani przez złodziei pogardliwie i w więzieniach szykanowani.

„Jabluszkó” zadzierzyście się toczyło po całej Rosji i nie pomagały żadne represje, żadne zakazy. Było nieuchwytnie, nieśmiertelne. Zlikwidowane w jednym miejscu, wyrastało w dziesięciu innych. Nucono je w więzieniach, w lochach Czeki, w szeregach armii, na wsi i w mieście.

Nazajutrz Starcow przy spotkaniu z Kriwoszeinem powiedział, że w „Europie” się zatrzymał delegat z centru. Chociaż Starcow pogardzał mało inteligentym karierowiczem, który nie miał żadnych skrupułów, jednak uważał za potrzebne uprzedzić go o tym. Kriwoszein był mu potrzebny, bo jako komendant miasta mógł mu ułatwić zainstalowanie się w Mińsku i początki trudnej misji. Obecnie zależało mu na szybkim uzyskaniu mieszkania. Ponieważ wszędzie był bałagan, jedynie komendant miasta mógł prędko i porządnie sprawę załatwić. Mimo to, że nie lubił obłudy, musiał „politykować” z bezczelnym i przebiegłym komendantem. Udawał koleżeńskość i zyczliwość.

— A w jakim celu przyjechał — zaniepokoił się Kriwoszein.

— Nie wiem... Nie rozmawiałem... Przypuszczam, że ma jakąś poufną misję.

Komendant się zastanawiał. Miał sporo grzechów różnej kategorii na swym komunistycznym sumieniu. Podziękował Starcowowi za informację i wnet go pożegnał. Sprawę mieszkania obiecał załatwić osobiście, jak tylko będzie miał wolny czas. I wkrótce uczynił to.

Kriwoszein natychmiast zatelefonował do hotelu „Europa”. Poprosił do telefonu dyżurnego. Rozmowa z nim jeszcze więcej go zaniepokoiła. Wywnioskował z niej, że delegat z centru mieszka incognito, interesuje się władzami miasta, porządkami w mieście i hotelu, jest tajemniczy i wyniosły.

Komendant już poważnie się przestraszył. „Były jakieś donosy”! „Kto mógł mnie oszczezać? Może prezes Gorispolkomu Rodin?... Nie lubi mnie drań!”.

W pewnej chwili przyszła mu do głowy myśl, która aż podrzuciła go z krzesła. Przypomniał sobie, że nazajutrz jest druga rocznica lutowej rewolucji. Postanowił wykorzystać tę okazję za pretekst do zaproszenia do siebie na kolację delegata C. K. Azji. W ten sposób mógłby się zorientować w sytuacji.

Niedługo potem do hotelu „Europa” podjechało luksusowe auto komendanta miasta. Kriwoszejn w dyżurce sprawdził personalia „delegata”. Zapamiętał sobie jego imię i imię ojca: Iwan Andrejewicz. Nazwisko Azja było szczególnie niepokojące. Wyczuwał w nim maskę, pod którą ukrywa się groźna tajemnica. Kriwoszejn poważnie się zde nerwował. Wysłał pod jakimś pretekstem z pokoju dyżurnego. Wyjął z kieszeni cynkową, płaską flaszeczkę, z rozcieńczonym wodą spirytusem. Dwoma haustami pociągnął połowę jej zawartości. Potem zapalił papierosa, aby zabić odór alkoholu.

Wyszedł do hallu.

— Towarzysz Azja jest u siebie? — spytał dyżurnego.

— Tak.

— Który numer?

— Trzydzieści cztery.

Kriwoszejn energicznym krokiem skierował się na górę. Zatrzymał się przed drzwiami pokoju Filipa. Po chwili zapukał. Połyszał z wewnątrz głośnie:

— Właź!

Otworzył drzwi i zobaczył przed sobą wysoką, elegancką postać Filipa, który był w palcie i czap-

ce, z teką w ręce, gdyż zamierzał wyjść na miasto. Filip uważnie, jakby ironicznie, patrzył w twarz komendantowi, którego spojrzenie to speszyło. Jednak alkohol dodał mu animuszu. Słodko uśmiechając się powiedział:

— Przepraszam, że niepokoję, ale uważam za obowiązek... W ogóle chciałem dowiedzieć się, jak zdrowie po tak ciężkiej podróży...

— Obywatel jest doktorem? — przerwał mu Filip.

— Nie... wcale nie doktor...

— To chyba grabarz... Więc jeśli grabarz, to jeszcze za wcześnie. Proszę zaczekać.

Kriwoszejn poczuł, że się poci. „Z tym od razu wpadłem!”.

Zrozpaczony prawie powiedział:

— Jestem właśnie komendantem miasta Mińska, Kriwoszejn...

— Kri-wo-szejn... Uhum... — pociągnął Filip, uważnie obserwując twarz komendanta.

— Właśnie ja osobiście... Jako głowa miasta uważam za obowiązek wszystko ułatwić co tylko potrzeba... Mam wszelkie informacje... Nawet bardzo poufne... Chętnie służę... W każdej chwili... Dopiero dzisiaj dowiedziałem się o przyjeździe i już jestem tu!

Filip po raz pierwszy w życiu poczuł się zdziwiony. Nawet pomyślał: czy to nie wariat?

A komendant zrobił mu oko na znak gotowości do wszelkich usług. To ubawiło Filipa. Więc przybrał jeszcze poważniejszą minę, ziewnął i spytał:

— Dużo dziś golnęliście?

„Wszystko dostrzeże! To drań!”.

— Tylko troszeczkę... Zimno cholerne... Przepraszam bardzo.

— Uhum...

A komendant rozkładał się na atomy:

— Co tylko towarzyszu potrzebuje... Natychmiast... Może mieszkanie niewygodne?... Stołować się można u mnie...

— Uhum...

— ...Jeśli potrzeba dopomóc w robocie...

— Już mam pomocnika i tak dalej...

Filip myślał o Jasiu.

„Żle” — wywnioskował Kriwoszejn... Ale w tym momencie, najniespodziewaniej w świecie, Kriwoszejn poczuł, że wysoki dygnitarz klepie go po policzku. Zachłystnął się aż z radości. A z góry majestatu płynął łaskawy głos:

— No, no... staraj się draniu... Zobaczymy i tak dalej...

Filip nie nie rozumiał. Przypuszczał, że płaczą go z kimś innym. Lecz był stary wyga. Trzydzieści lat złodziejskiego życia dały mu kolosalną pewność siebie. Więc nie tracił głowy nawet w najniebezpieczniejszych sytuacjach. A ta wydała mu się jedynie komiczna i głupia. Nie miał jeszcze zupełnej pewności, czy to rzeczywiście komendant miasta.

„Sam z siebie robi balona”!

Zeszli razem na dół. Komendant niósł usłużnie tekę, w której były narzędzia włamywacza. Trzeba było je oddać dzisiaj Kazikowi Moreckiemu, który w dzień po mieście nie chodził. Filip właśnie w tym celu zamierzał iść na Złotą Górkę.

— Mam do was wielką prośbę, towarzyszu — rzekł do Filipa komendant w hallu.

— Uhum...

— Na jutro dla uczczenia rocznicy lutowej rewolucji, zaprosiłem do siebie „na skromną kolację” kilku znajomych. Wszystkie moi ludzie... Pro-

sze bardzo nie odmówić i uświetnić swoją obecnością... Byłbym ogromnie szczęśliwy...

— Uhum...

— Będę różne przekąski, kawior... Wódka... jeszcze carska...

— Uhum... kawior do luftu! Może być koniak

— powiedział Filip.

— Owszem, będzie. Ile chcąc... — ucieszył się Kriwoszejn.

— A towarzystwo wolę damskie i tak dalej...

Filip ziewnął.

— A jakże, a jakże... Ja też: i — tak — dalej... Cha-cha-cha-cha!

Kriwoszejn promieniał. Ublagał Filipa, aby korzystał, kiedy tylko chce, z jego auta. Podał numer telefonu garażu.

— Będzie wyłącznie do waszej dyspozycji. Ja mam jeszcze jedno.

Filip łaskawie się zgodził. Wsiadł do auta i rozparł się na siedzeniu. Komendant zatrzasnął za nim drzwiczki. Mocno uściął podaną mu łaskawie dłoń złodzieja. Proponował, że będzie mu towarzyszyć, lecz Filip powiedział:

— Nie lubię, jak w moje interesy nos wsadzają i tak dalej.

— Rozumiem, rozumiem... I tak dalej... — komendant zrobił oko.

Auto ruszyło. Filip od czasu do czasu rzucił szoferowi — Chińczykowi: prosto! w lewo! w prawo! Tamten mało co więcej rozumiał, lecz auto prowadził doskonale. A Filip dumnie spoglądał na idących ulicami ludzi. Obok sklepu Paulinki kazał szoferowi stanąć. Wstąpił.

— Moje uszanowanie! Poproszę o dwa dziesiątki najlepszych papierosów.

Pawcia, która zobaczyła swego zbawcę wysia-

dającego z pięknego auta, płonęła z zachwytu, Natychmiast dała mu papierosy.

— Może jeszcze coś trzeba?

— Wystarczy.

Paulinka nie chciała wziąć pieniędzy za papierosy.

— Pan mnie uratował od temtego drania...

— Zrobiłem to z obowiązku honorowego dla ślicznej kobiety i tak dalej...

Pawcia dostała wypieków. A Filip elegancko jej się uklonił i wrócił do auta. Dał szoferowi papierosa i sam zapalił. Aby dłużej prezentować siebie i samochód oczom zdumionej kobiety.

Potem pojechali na Komarówkę. Filip kazał szoferowi czekać na niego w Ślepiańskim zaułku, a sam poszedł do Kazika. Oddał mu narzędzia i umówił się z Paniczem, że nazajutrz przyjdzie do niego do Hotelu „Europa”, pod numer 34, o godzinie 7-ej wieczór. Kazik zaproponował wódkę. Filip chętnie się zgodził. Był w doskonałym humorze. W pewnej chwili przypomniał sobie, że czeka na niego szofer. Wziął kawał chleba, kielbasę, naładował do dużego kubka sporo wódki i zaniósł szoferowi. Tamten ogromnie był zadowolony z tego poczęstunku. Dziękował, płacząc rosyjskie i chińskie wyrazy.

— Skąd masz auto? — pytał Filipa Kazik.

— Pożyczyłem od komendanta.

— Kriwoszeina?

— Tak.

— Ot, to drań!... Przecież łatwym był kiedyś... W Smoleńsku po farcie chodził... Znam jego współnika... Opowiada, że w Smoleńsku moc chłopaków przez niego zginęło... Znał łatwych, znał wszystkie meliny. No i sywał wszystkich.

— A mnie będzie buty czyścił i tak dalej, jak zechcę — pysznił się Filip.

— Uważaj!

Filip ziewnął.

— Nie dref... Lepszych jak on w butelkę nabi-
jałem!

Pożegnali się.

Dużo musiałbym pisać, gdybym chciał opowie-
dzieć dalszy ciąg przygód Filipa w tym dniu. Mo-
głaby o tym opowiedzieć właścicielka lupanaru na
Nowokrasnej, Brocha i cztery jej dziewczynki,
które spotkała niezwykła przyjemność. Pijane „w
deskę” jeździły nocą w negliżu ulicami. Filip po-
pędzał szofera. Tamten nie żałował benzyny. Gna-
li z końcą w koniec miasta jak wicher. W pewnym
miejscu się zatrzymali. Filip stał w aucie i śpie-
wał na całe gardło:

Nikto nie dast nam izbawlenia:

Nie Bog, nie car i nie gieroj!

Dabjomsia my oswobożdjenja

Swoieju sobstwiennoj rukoj *)

Piosenka ta zwabiła dwóch milicjantów. Zbli-
żyli się do dziwnego towarzystwa. Lecz wnet drap-
nęli. Jeden z nich poznał auto groźnego kome-
danta.

Daleko po północy komendanckie auto odwiozło
delegata Azję do hotelu „Europa”. Szofer, zach-
wycony swym nowym, hojnym panem, pojechał do

1) Druga strofa Internacjonau: « Nikt nie da nam zba-
wienia: ni Bóg, ni car, ni bohater! Osiągniemy wybawienie
swoją własną ręką! ».

garażu. A Filip podśpiewując „Internacjonal” dumnie przeszedł hall, udając się na górę.

Dyżurny kłaniał mu się z uszanowaniem.

Duży salon w mieszkaniu komendanta zamieniono na jadalnię. Było to zbędne, bo gości zaproszono mało, lecz Kriwoszejn uważał, że tak będzie szykowniej. Jekatierina Pawłowna, kochanka komendanta, pełniąca rolę gospodyni przyjęcia, wywiązała się ze zlecenia swego tyrana jak mogła najlepiej. Była to niedobita burżujka, którą uratowała wyjątkowa uroda. Pochodziła z Ukrainy. Majątek jej męża zabrano, jego zamordowano, a ona poszła w jasyr jakiegoś czerwonego oficera. Potem — z rąk do rąk — dostała się do Smoleńska. Tam — od ostatniego kochanka — wygrał ją w karty, w „oczko”, Kriwoszejn. Przywiózł ją do Mińska.

Kriwoszejn maltretował miłą i łagodną kobietę. Żyła w ciągłym strachu, niepewna dnia ani nocy. Szczególnie bała się go, gdy był pijany. Kriwoszejn właściwie miał jej już dość. Znalazł sobie kilka innych kochanek. Katarzyna dawno byłaby odstąpiona któremuś z jego kolegów, lecz trzymał ją przez snobizm. Imponowały mu jej dobre maniere, znajomość języków, piękna postawa.

Pod wieczór Kriwoszejn wpadł do domu. Zobaczył w salonie pięknie zastawiony stół, przygotowane do kolacji zimne przekąski i alkohol. Był zadowolony. Zawołał kochankę. Położył jej łaskawie rękę na ramieniu.

— Uważaj, Katia! Zaprosiłem dziś na kolację delegata z Moskwy. To bardzo „wysoka” figura! Staraj się go wziąć w ręce. Żeby był zadowolony. Rozumiesz? Żadnych tam burżujskich ceregieli.

Sama mu się podwalaj. Dobrze się spiszesz, to ci będę wdzięczny. Jak nie, to pamiętaj!

I zaciśniętą pięścią, którą podsunał jej pod nos, zaakcentował swoje żądania.

— Cóż ja mogę? Nie siądę mu przecież na kolana, albo nie rzucę się na szyję.

— Pójdiesz z nim spać. Ja to skombinuję. Tylko żeby nie było żadnych fochów. I nie robić grobowych min. Musisz być z nim wesoła, zalotna... Wabić go... Rozumiesz?

— Nie umiem tego. Nie jestem prostytutką.

— Jesteś sto razy gorsza niż prostytutka. Pamiętaj to sobie. Jesteś burżujka. Jesteś zafajdana inteligentka. I nosa nie zadzieraj mi, bo cię na zawsze uspokoję.

— Rób co chcesz. Ja już nie wiem, nic nie rozumiem.

— To zrozumiesz!... Ubierz się jak najpiękniej. Pójdź do fryzjera... Perfumy tam masz... Jeśli mnie doprowadzisz, to będzie z tobą koniec. Na ciebie liczę inaczej inną bym wziął. Jest takich szmat dość...

Komendant wyszedł.

Katarzyna została sama. Była w rozpacz. Czuliła się jak dziewczynka zgubiona w ciemnym, straszonym lesie. To co się z nią działo od początku rewolucji, wydawało się jej niemożliwe. Widziała tak wiele potwornych rzeczy, przeżyła tyle upokorzeń, a jednak nie mogła dotąd z tym się pogodzić. Po co to? Za co? Była od dzieciństwa dla wszystkich dobra, życzliwa. Męża miała, który ją ubóstwiał, Nikomu nic złego nie zrobiła. A tu nagle zaczęto gwałcić ją fizycznie i moralnie. Traktować jak narzędzie przyjemności. Kpić z jej słabości, dobroci, wstydlivości. Otepiała już trochę. Zdumionymi oczami, przerażonego dziecka, śledziła z nie-

pokojem tych ludzi, którzy ją otaczali.

W pewnym okresie czasu starała się dostosić do stylu otoczenia. Próbowwała być wesoła, trochę ordynarna, lecz to jej się nie udawało. Było sztuczne i śmieszne. Jedynie wówczas gdy musiała pić, pod wpływem alkoholu robiła się mniej sztywna i bojaźliwa. Lecz zawsze odchorowywała każdą większą libację.

Tymczasem w hotelu „Europa”, w numerze 34, odbywała się narada Filipa Łysego z Jasiem. Właśnie Jaś miał zrewidować pokój 13, wykorzystując tę okoliczność, że Starcow z żoną byli zaproszeni również na kolację do komendanta.

— Masz najmniej 3 godziny czasu i tak dalej... Jeśli wracali wcześniej, to wyprzedzę ich i dam ci cynk. Kapujesz?

Omówiono sprawę dokładnie. Jaś zbadał korytarze hotelu. Było tam mnóstwo różnych ludzi: wojskowych i cywilów, wiec nie zwracano na niego uwagi. Umówili się, że w razie „szochru” Jaś powie, że ma sprawę do delegata Azji.

Za kwadrans siódma Filip pożegnał Jasia:

— Za pół godziny możesz zacząć chypisz. Zobaczysz oknem jak my odjedziemy i tak dalej. Ja zaczekam na komendanta na dole.

Wkrótce potem przed fronton „Europy” zjechało auto komendanta. W hallu spotkał Kriwoszeina Filip. Nie chciał, aby dygnitarz wszedł do pokoju, w którym był Panicz.

Kriwoszein mocno ścisnął niedbale podaną mu rękę Filipa.

— Przepraszam, że zmusiłem do czekania...

— Lubię punktualność — rzekł Filip.

— Ja też... Jeszcze jedna minutka. Zabierzemy tylko prezesa Czeki i jego żonę. Przepiękna kobieta. A co za głos! Mołdaweński słowik!

Wkrótce do hallu zeszli Starcow z żoną. Nie lubili komendanta, ale musieli przyjąć jego zaproszenie, aby nie stwarzać wrogich stosunków. W hallu Kriwoszeim przedstawił im delegata Azję. Już opowiedział o nim Starcowym mnóstwo rewelacji wysnutych z wyobraźni i przypuszczeń. Ogólna charakterystyka była taka: ideowiec, surowy, mądry, sprytny, nieprzekupny, lecz lubi kobiety i wódeczkę..

Jekatierina Pawłowna, w myśl instrukcji Kriwoszeina, popartych ruchem pięści, ładnie się ubrała. Była rzeczywiście piękna. Błada, owalną twarz jej zdobiły wspaniałe oczy, czarne brwi i rzęsy, oraz pasowe — bez szminki — ślicznie uformowane wargi. A uśmiech olśniewał rzędami pięknych zębów. Jak mogła najuprzejmiej przywitała gości.

Filip Łysy był zdumiony jej urodą. Wydała mu się bajeczną istotą. Po prostu oczu nie mógł od niej oderwać, tak, że kobieta, widząc jego zachwycone spojrzenia, dostała wypieków. To zrobiło ją jeszcze bardziej uroczą.

Goście usiedli do stołu. Kriwoszeim starał się jak najprędzej podnieść humor biesiadników. Wygłosił uroczyście toast:

— Zdrowie Lenina i Trockiego, wodzów rosyjskiej rewolucji!

A z ukosa obserwował wrażenie na twarzy delegata. Lecz nie zauważył prócz wyraźnego zainteresowania się sąsiadką z prawa.

„Bierze go” pomyślał z satysfakcją i życzliwiej spoglądał na swą kochankę.

Toast spełniono. Nastąpiło kilka innych toastów i nieco naprężona atmosfera złagodniała.

Prócz znanych nam już gości zaproszony był również prezes Czerezwyczajnej Komisji: Sidor

Micin — były kolejarz — nieprzyjemny z wyglądu i ponury typ. Przyszedł ze swą żoną cywilną, która miała około 17 lat, a wyglądała jak dziecko. Była przeszło trzy razy młodsza od męża. Dalej — prezes Gorispolkomu, Żyd, bardzo inteligentny, nerwowy, szczupły. Nazwisko miał: Rodin, widocznie przybrane. Przyszedł ze swoją osobistą sekretarką, ideową komunistką, Olgą Ramską, niemłoda już, brzydka, szczupłą kobietą, która niewyżyty, gorący temperament, wyladowywała w histerycznie pojmowanej pracy ideowej.

Prawie wszyscy dość prędko się urzęli, bo toasty były „państwowo-twórcze” i rewolucyjne, więc nie można było ich lekceważyć. Najlepiej się trzymali komendant i Filip. Obydwaj mieli kolo-salną wprawę w używaniu alkoholu.

Żyd Rodin niezadowolony był z przyjęcia. Przyszedł tu jakby z obowiązku, gdyż miało to być uczczenie rocznicy lutowej rewolucji. Wiedział, że Kriwoszejn wściekle go nienawidzi i czuł się tu źle. A Kriwoszejn umyślnie go zaprosił, prawie że urzędowym listem, aby zaprezentować mu swego „wysokiego” gościa. Był to jeszcze jeden sposób dokuczenia pogardzanemu Żydowi. Jeśli złodziejom obce jest uczucie antysemityzmu, to u Rosjan było ono po prostu instynktem... hamowanym, sprytnie maskowanym, lecz dającym się zauważyć wszędzie.

W pewnej chwili Filip, idąc za przykładem poprzedników, wstał, aby również wygłosić toast. Wszyscy poszli za jego przykładem. Goście stojąc czekali. A Filip poważnie przebiegł spojrzeniem po twarzach i powiedział:

— Proponuję wypić za zdrowie... moje!

Zapanowało milczenie. Ten toast, po wielu wazeliniańskich toastach na rewolucyjne intencje, był

conajmniej niespodzianką. Spełniono go dość pośpiesznie i w milczeniu. Wszyscy byli jednak zdziwieni. Wyglądało na to, że wysoki gość zupełnie nimi pogardza. Podkreślała to i ta okoliczność, że Filip nie wtrącał się w rozmowy na różne aktualne tematy. Jakby lekcewżył i nie słuchał ostrożnych wypowiedzi biesiadników. Delegat jadł i pił, a w miarę picia coraz więcej zajmował się uroczą sąsiadką, która jak mogła, starała się go czarować, dopingowana, od czasu do czasu, wymownymi spojrzeniami komendanta. Lecz w miarę picia zaczęła się ożywiać i naprawdę zainteresowała się swym sąsiadem. Na sali był znaczny hałas, więc mogli mówić bez obawy, że inni podsłuchują.

Zapytany przez Katarzynę Pawłównę, jakie może mieć skutki interwencja kapitalistów w Z.S.S.R.? Filip odpowiedział:

— Sprytniejsi ponabijają kieszenie i szlus!

— A czy nie czujecie się zagrożeni?

— Nam to gancpomada! Grunt żeby była wódka, dobra robota i tak dalej!

— Podoba się panu Mińsk?

— Owszem... Tu można pływać!

— A panu się najwięcej w Mińsku podoba?

— Pani.

Filip powiedział to zupełnie szczerze i poważnie. Więc pani Katarzyna dostała wypieków i spytała kokieteryjnie:

— No, a dzisiejsze towarzystwo nasze...

— Frajery i bydlaki — rzekł spokojnie Filip. — Wszystko to paskudni kombinatorzy, szpagateria i tak dalej...

Tą opinią pani Katarzyna była zaskoczona, choć mało się różniła od jej własnej.

Tymczasem Panicz w „Europie” nie siedział

bezczyinnie. Gdy tylko dostrzegł przez okno w pokoju Azji, że auto komendanta z gośćmi odjechało, wyszedł na korytarz. Zeszedł na I-sze piętro i wnet znalazł dogodną chwilę, aby odemknąć wytrychem drzwi do pokoju Nr. 13. Zamknął je za sobą od wewnątrz, powiesił czapkę na klamce u drzwi, tak, że osłaniała szparę od klucza i zabrał się do dzieła.

Przed wszystkim zastanowił się gdzie ów złodziej mógł schować „blit”. Zajrzał do pieca. Tam było pusto. Zaczął rewidować cały pokój, nie biorąc pod uwagę rzeczy lokatorów. Przez dłuższy czas nie mógł nic znaleźć. Zaczął trochę się denerwować. Lecz czasu miał dość.

Przystąpił do szczegółowej rewizji pokoju, lecz znowu bez żadnego skutku. Wówczas postanowił badać wszystko systematycznie: sprzęty, ściany, podłogę. Po godzinie takiego badania pokój wyglądał okropnie. Tapety, w tych miejscach, gdzie można było przypuszczać, że za nimi coś jest, były zdarte, lub wisiały w strzępach. Wiele rozluźwionych kwadratów parkietu wyłamał. Nawet niektóre kafle u pieca Jaś wyjął szabrem, aby zbadać wnętrze. Popruł materace na łóżku. Powyciągał wszystkie szuflady komody. Nawet urwał szabrem tylne deski u lustra. I nic...

Może by nie znalazł, lecz przypadkiem rzucił okiem w górę pieca. Zobaczył tam szeroką szparę w ścianie. Przysunął stół i zbadał ją. Była pusta. Wówczas pomyślał sobie, że trzeba zajrzeć na piec. Postawił na stole krzesło i wlaź na nie. Zaczął obmacywać dłonią górną część pieca, niedostępną dla oka. Poczul coś twardego pod ręką, potem wyciągnął nieduży węzelek. Więcej nic na piecu nie było. Jaś zlaź ze stołu i zaczął badać węzelek. Była to przewiązana sznurkiem kieszeń od-

darta od spodni. W środku było kilka zawiniętych w papier paczuszek. Gdy Jaś je rozwinął, zobaczył złoty męski zegarek, kilkanaście pierścionków, jedną ciężką bransoletę, jedną broszkę i jedną ciężką męską dewizkę do zegarka. Trzy pierścionki — jak wywnioskował Jaś — były z brylantami. Jeden duży, może półtora-karatowy. Dwa mniejsze.

Jaś spojrział na zegarek. Robota zajęła mu przeszło dwie godziny, lecz czasu było jeszcze dość. Jaś postanowił zbadać rzeczy lokatorów. Zatrzeć śladów swego pobytu w pokoju nie mógł, więc nie krepował się już niczym.

W rzeczach lokatorów, z których wiele nawet nie rozpakowano, znalazł sporo wartościowych przedmiotów, lecz wszystkiego nie mógł wziąć, bo trudno byłoby wynieść je z hotelu. Więc spakował do małej walizki trochę najlepszych rzeczy i, tuż przed godziną 10-tą wieczór, opuścił pokój Starcowa.

Ruch w hotelu był jeszcze duży, więc Panicz nie zwróciwszy na siebie niczyjej uwagi wyszedł z hotelu na ulicę.

Szedł zadowolony z siebie, że czysto wykonał robotę. Przypominał sobie słowa Barana: „Lepiej wcale nie zabierać się do roboty, niż drefić i nabrać ciuchów, a zostawić „sarmak” *) lub blit !.

Trochę zamieszania w zabawę u Komendanta wprowadziła młodziutka żona prezesa Czerezwyczajki Nicina. Zaczęła wymiotować. Więc mąż, prowadząc ją pod rękę, wkrótce opuścił towarzystwo. Prezes Gorispołkomu z sekretarką wyszli wkrótce po nich. Pozostała piątka ucztowała dalej.

*) Pieniądze.

Komendant rozpromieniony, wesoly, bawił żonę Starcowa i oświadczał się jej mężowi z wielką przyjaźnią „do grobowej deski”.

— Mieszkanko za parę dni będziecie mieli co się zowie! Pamiętajcie moje słowo!

— Zaczął prosić żonę Starcowa, aby zaśpiewała. Nie dała się długo namawiać. Podeszła do pianina i zaczęła śpiewać „Dubinuskę”. Śpiewała dobrze, swobodnie. Towarzystwo ochocho przyłączało się do refrenu.

Gdy pani Elżbieta skończyła piosenkę z entuzjazmem ją oklaskiwano. Zaczęła śpiewać inne pieśni. Przeszła na lekki repertuar.

Filip był w dobrej formie. Pił, jadł i zachęcał innych do picia. Komendant dzielnie mu akompaniował. Reszta towarzystwa spasowała.

Gdzieś około północy libację skończono. Komendant kazał Katarzynie Pawłownie się ubrać.

— Odprowadzimy gości!

A w przedpokoju powiedział do niej łagodnie:

— Zostaniesz na noc z delegatem w hotelu.

Bardzo byłaś miła!

I łaskawie uszczypnął ją w podbródek.

W „Europie” była już cisza. Odprowadzili do pokoju Starcowa z żoną. Lecz gdy Starcow zapalił elektryczność, wszyscy — prócz Filipa — stanęli zdumieni. Pokój wyglądał jak rupieciarnia. Filip odezwał się pierwszy:

— Dobra robota!

Zawołano dyżurnego. Doraźnie zbadano go, lecz nie umiał powiedzieć. Stał przerażony i drżał ze strachu w obliczu groźnej władzy. Dopiero Filip powiedział spokojnie:

— A cóż on mógł zawinić i tak dalej... Tu każdy może wejść... Pełno różnej hołoty, a zamki palcem można pootwierać.

Tymczasem Starcow skonstatował, że zginęło względnie mało rzeczy.

— Trzeba zameldować naczelnikowi Ekspozytury Śledczej — powiedział komendant.

— Nie warto — flegmatycznie wtrącił Filip. — Tylko śmiać się będzie i tak dalej. Co z wozu spadło, to i przepadło.

Pożegnano Starcowych. Komendant i Katarzyna Pawłowna poszli razem z Filipem do jego numeru. Usiedli. W pewnej chwili komendant powiedział do Filipa:

— Wyjdziemy, towarzyszu, na chwileczkę na korytarz. Mam poufną sprawę.

Filip elegancko uklonił się kobiecie:

— Przepraszam.

— Na korytarzu Kriwoszejn rozgrzany alkoholem zaczął mówić do Filipa:

— Polecam szczególnej uwadze Katarzynę Pawłownę. Burżujka, ale kobietka: paluszki lizać i tak dalej... — rzekł stylem Filipa.

— Owszem, owszem — zgodził się łaskawie blatny.

— Tylko prosiłbym o jedną przysługę. Można powiedzieć: osobistą pomoc...

— Słucham...

— Jest tu jeden drań. Prezes Gorispolkomu Rodin. Właśnie ten, który był u mnie na przyjęciu z sekretarką. Kanalia niesamowita! Wciąż pisze donosy. Stwarza bałagan w pracy. Niby to się ściśle trzyma rozporządzeń, a naprawdę tylko chaos robi. Bardzo niemiły typ. Chciałbym właśnie usunąć go z mego terenu. Próbowałem już to sam zrobić. Trzy razy pisałem do Moskwy. Świadców podałem. Pochodzi z burżuazyjnej rodziny. Ukończył uniwersytet. Brat jego ma sklep w Warszawie. Towarzysz rozumie: taki typ w przyfron-

towym mieście może być bardzo szkodliwy! Może by towarzysz, przy swoich stosunkach, mógł odpowiednio go zaopiniować. Trzeba niszczyć takich burżujskich synków!

— Hm... możnaby... Tylko...

— Tylko co?

— O, to!...

I Filip zaczął pod nosem komisarza bardzo wymownie pocierać duży palec ręki o wskazującą.

— Rozumiem — rzekł Kriwoszejn.

— Właśnie. Przyjemnie z mądrym człowiekiem mieć do czynienia i tak dalej...

— A wiele? — spytał komendant.

— Hm... — zastanowił się Filip. — Tysiąc rubli carskim złotkiem i w dwa tygodnie nie będzie go tu!

— Na pewno?

— Jeśli ja mówię i tak dalej... — wypiął pierś Filip.

— Przepraszam. Zgadzam się z przyjemnością. Jutro o 10-ej rano dostarczę pieniądze.

— Dobrze, ale nie później.

Wrócili do pokoju. Katarzyna Pawłowna zdjęła palto i szal i siedziała przy stoliku. Kriwoszejn chrząknął znacząco i powiedział:

— A teraz nie będę przeszkadzał.

Uścisnął dłoń Filipa i Katarzyny Pawłowny.

— Przyjemnych marzeń!

Już go nie było.

— Pani nie przykro, że jestem tu i tak dalej...

Nie... Cóż mam robić... On mi kazał tu zostać, więc muszę.

— To z jego rozkazu pani?...

— Tak.

— U nas tak się nie robi!... Za to w mordę i

tak dalej biją... Wychodzi na to, że z kochanki chce kurwę zrobić...

Katarzyna Pawłowna zdumionymi oczami patrzyła na Filipa. A tamtem zaczął się ubierać. Potem zbliżył się do niej.

— Odprowadzę panią do domu.

— Ja nie pójdę. On mnie pobije. Kazał mi z panem spać.

Filip się zastanowił.

— Aha — rzekł po chwili wesoło. — Można tak zrobić: pani tu się prześpi, a ja pójdę spać gdzie indziej i tak dalej. A rano o 10-ej przyjdę. Wszystko jak z nut. No, nie?

Filip wziął jej rękę, z uszanowaniem pocałował i wyszedł z pokoju. Na pożegnanie powiedział tak jak Kriwoszejn:

— Przyjemnych marzeń!

Tylko Kriwoszejn odjechał autem, a delegat CIKu Azja wyszedł z „Europy” piechotką, postawił kołnierz i ruszył w kierunku Nowokrasnej.

„Chyba u Brochy będzie wolna któraś dziewczynka”.

Kilkugodzinny flirt z piękną kobietą tak go rozpałił, iż wiedział, że samotnie tę noc spędziłby bardzo źle.

IV.

„ZŁOTA KUKUŁKA”

Psychologiczny barometr wuja Żardonia wskazywał przeważnie pogodę: czapka w tył zsunięta. To nie, że kłopotów wyżej głowy, ale za to ruch w interesie był aż miło. Wuj Jasia nareszcie znalazł odpowiednie dla siebie zajęcie.

Restauracja była położona na Końskim Rynku. Nad jej wejściem wisiał duży jaskrawy szyld, z napisem: „Złota Kukułka”. Na szyldzie namalowany był jakiś ptak — tak pstry i niesamowity, że ornitolog plunąłby z oburzenia. Lecz Żardoniowi podobał się ogromnie.

Żardonia nadal nazywano „Bocian Kopylski”. I trafnie. Gdy stał za ladą i uroczyście nalewał wodę do zielonych z grubego szkła kieliszków, gdy nakładał dla gości przekąski, wówczas przypominał bociana, wybierającego żaby na łące. Bocian Kopylski udowodnił, że jest dobrym organizatorem. Mógłby otworzyć pierwszorzędną restaurację, lecz wolał swój „bałagan”... Nie trzeba wydatków na serwety, na czyste kelnerki lub kelnerów. Nie trzeba dbać o jakość prowiantów. A pieniądze płyną strumykiem.

Jasiowi po wyjściu z więzienia było dość kru-

cho. Od razu zarobić nie łatwo, o nieporządne życie kawalerskie wymagało wielu wydatków. W parę dni po zwolnieniu poszedł z wizytą do Żardonia.

Wuj ze zsuniętą na czoło czapką rugał kelnerkę, młodą, tęgą dziewczynę. Chodziło o to, że jakiś gość tak dotkliwie uszczypnął ją w pierś, że nie wytrzymała i machnęła go po buzi. Przy tym wyleciały jej z lewej ręki dwa talerze. Gość zaczął awanturować się. Groził policją. Nie chciał płacić. Żardoń sprytnie i dowcipnie go uspokoił. Wypił z gościem, niby na swój rachunek, ale gdy tamten zmiękł, tak mu policzył za przekąski i napoje, że pokrył nawet koszt stłuczonych talerzy. Potem zlikwidował zawianego klienta. Odprowadził go aż do drzwi, i powiedział: „Moje uszanowanie! Proszę uniżenie zachodzić. Przyjemnie mieć do czynienia z tak kulturalnymi osobistościami!”.

Potem zawołał dziewczynę.

— Nastka! — rzekł ostro.

— No, co?

— Nie: no co? Ale: co proszę? Uczę ciebie, ucze, a ty jak kloc! Po cóżeś uderzyła szanownego gościa, he?

— Kiedy tak bolało. Nie mogłam ścierpieć.

— Musisz cierpieć. Chcesz żreć, to cierp! Ja przez ciebie gości tracić nie będę. Żeby to było ostatni raz. Pamiętaj! Wielka mi pani! Uszczypnął ją... Teraz potrącam pół pensji. Za talerze i za chamstwo. Następnym razem mordę skuję i wyrzucę jak żabę wont!

Żardoń miał dwie kelnerki. Umiał dobrać sobie z wielu kandydatek takie, o które nie było komu się upomnieć, które były całkowicie zdane na jego łaskę. I tak sprytnie lawirował, że żadnej jeszcze nie zapłacił pensji. Wszystko zabierały potrącenia.

Wybierając kelnerki wuj brał pod uwagę nie tylko ich bezradność życiową, lecz i wygląd. Nie zależało mu na ładnej buzi, lecz okiem znawcy badał ukryte pod sukienką kształty.

Gdy targ był skończony, po zamknięciu restauracji, Żardoń, od czasu do czasu, kazał jednej kelnerce zostać. Niby do sprzątania. Potem pozwalał jej odejść. A gdy dziewczyna zbierała się do domu, wówczas wuj mówił srogo:

— Czekaj! A ty nie wynosisz czegoś z interesu? Znam was dobrze!

I zaczynał rewidować dziewczynę. Rewizje te były dość dziwne. Wuj szukał długo, dokładnie, ślizgając się spoconymi dłońmi po ciele kobiety. Tamta musiała to znosić, aby nie stracić pracy i ze strachu. Wuj nie wykorzystywał swych niewolnic jako mężczyzna jedynie dlatego, że nie mógł tego zrobić. W młodości kilka razy cierpiał na przewlekłe choroby weneryczne, a poza tym tak się w owym czasie niepohamowanie wyżywał, że stał się impotentem. Stąd może wynikał jego cynizm, który dziwił i żenował Jasia i absolutny brak szacunku dla kobiet. Nie widział w nich ani dumy, ani serca, tylko ciała, mogące dać dużo rozkoszy. Ale nie jemu. Jaś ze względu na młody wiek i brak wiedzy nie umiał doszukiwać się istotnych powodów czynów i słów ludzkich, więc nie rozumiał tego i uważał wuja za dziwaka.

Wuj Żardoń pomagał kiedyś Nacewiczom. Pomoc ta była minimalna w stosunku do jego możliwości i wyświadczał ją jedynie dlatego, aby się potem chwalić. Poza nimi nie miał żadnych krewnych, więc przyjemnie mu było grać rolę dobroczyńcy. Jasia dość lubił, bo mógł go demoralizować i snuć przed nim swe bujdy. Lecz gdy chłopiec pokazał mu później pazury, zaczął brać go

na ząb. Był układny, wielomówny, ale jedno gadał, co innego myślał, a robił odwrotnie niż obiecywał.

Gdy Jaś siedział w więzieniu, Marusia Łobowa parę razy odwiedziła wuja Żardonia. Wiedziała, że restauracja właściwie należy do Jasia, i że Żardoń tylko ją prowadzi. Prosiła o pieniądze na paczki dla chłopca. Żardoń biadał nad losem chłopca, ale i nad złymi interesami. Wydobywał wreszcie jakąś drobną kwotę i dawał ją Marusi dla krewniaka. Przed odjazdem Łobowa jeszcze raz go odwiedziła. Prosiła go, aby opiekował się chłopcem. Wuj uroczyście przyrzekł. Nawet sam wierzył w to co mówił. Ale potem obietnice zatarły się w pamięci. I Jaś, po wyjeździe Łobowej, nic w więzieniu z wolności nie otrzymał.

Wuj Żardoń szykował się do zamykania restauracji, gdy do środka wszedł Jaś.

— Dobry wieczór wujowi!

— A! Żyjesz jeszcze?

— Że ja żyję nic dziwnego, ale że o wuja diabeł się jeszcze nie upomniał, to cud!

— Dobrze, dobrze. Siadaj. Zaraz wypijemy.

— Ja do wuja w interesie.

— Ot interes i zamoczymy. Mikołajewskiej ci postawię. Nastka, szykuj dwie szmalcówki. Bude zamknij!

Kelnerka zaczęła zamykać od wewnątrz okiennice. Żardoń trącił Jasia i wskazał na kelnerkę.

— Zobacz jakie ma łydy! Boso po śniegu chodzi. Tam pod spódnicą to musi być wulkan!

— Czy wuj o niczym innym nie może mówić?

— Widzę, że ty do klasztoru się wpisałeś.

— To moja sprawa — odparł Jaś. — Tylko ja przyszedłem w interesie, a wuj zawraca mi głó-

wę babskimi łydkami. Jak mi będą potrzebne łydki, to wiem gdzie szukać.

— Z ciebie wilk się zrobił.

— A z ciebie błazen.

Nastka przyniosła przyrządzone śledzie. Wuj miał na języku dalszą serię lubieżnych kawalków, lecz się pohamował. Poszedł do kredensu i wyjął z kącika półlitrowkę carskiej wódki. Przyniósł ją do stołu, starł z gardziolka lak i uderzeniem dłoni w denko wybił korek. Wprawnie nalał kieliszki:

— Nasze kawalerskie!

— Twoje dziadowskie — poprawił Jaś.

Wypili. Chłopiec zwrócił się do wuja:

— Wszystko to dobrze, ale chcę się dowiedzieć ileśmy zarobili?

Wuj, niby zdumionymi oczami, obejrzał krewniaka. Nawet jeść przestał.

— Ile zarobiliśmy?! Ty nie...

Jaś się zdumiał.

— Jakże nie?... Nie rozumiem...

— Prosta rzecz. Ty tu nic nie zarobiłeś.

Chłopiec zaczął się irytować, ale starał się mówić spokojnie:

— Dobrze. A ile wuj zarobił?

— To co ja zarobiłem, to włożyłem w lokal. Mam połowę tego lokalu.

— A ja?

— Ty masz drugą połowę.

— Wuj jakoś dziwnie kalkuluje. Ale niech i tak będzie. Ile więc ja zarobiłem z mej połowy lokalu?

— Właśnie nic.

— Czy wuj kpi ze mnie?

— Mówię poważnie.

— Więc wuj zarobił pół tego lokalu. A ja z tych pieniędzy co dałem wujowi nie mam nic?

— Jak to nie? Masz pół lokalu.

— Ale miałem cały lokal.

— Jaki lokal? Budę miałeś nie lokal. Ja wszystko zrobiłem. Ja wszystko kupiłem.

— Z czyich pieniędzy?

— Z tych co utargowałem.

— Dobrze. Więc teraz ja nie mam nic. A co będę miał jutro z mej połowy?

— To zależy...

— Od czego?

Wuj nalał kieliszki i postawił flaszkę. Potem zmrużonymi oczami uważnie, niby ze zdziwieniem, przyglądał się krewniakowi.

— Ty mnie za bardzo piłujesz. O co ci chodzi?

— Chodzi o to. Dałem ci grubą forszę. Kupiłeś za nią restaurację dla mnie. Miałeś z tego żyć i zarabiać, a zysk przekazywać mnie i matce. Teraz wyszło tak, że ty masz pół restauracji. A ja nie mogę mieć zysku nawet z drugiej połowy.

— Bo rozumiesz, ty durniu — udał zirytowanego wuj — zysków z tego nie ma, bo idzie na lokal, na obsługę, na podatki, na towar.

— Więc po diabła mi ten lokal?

— Sam chciałeś przecież. Co ty wariat, czy wariata strugasz?

— To chyba wuj wariat. Nie, nie wariat, a sprytny drań!

— To tak mi dziękujesz za moją harówkę! Ładnie... A czy ty wiesz o tym, że ja ciebie mogę stąd wyrzucić i koniec. Restauracja moja. Mam na to dokumenty. A ty co masz?... Możesz do sądu mnie podać!

Jaś ze zdumieniem przyglądał się wujowi, a tamten coraz więcej się zapalał.

— ... A jak podasz do sądu, to też nie nie wygrasz... I kto ci uwierzy, durniu jeden, że miałeś

takie pieniądze na kupno lokalu. Nikt. Rozumiesz? Nikt... Podawaj do sądu własnego krewniaka. Wstyd ci. Ja stary człowiek. Haruję, męcę się, a tu przyjdzie taki smyk i piłuje. Dziurę w brzuchu wierci. Podawaj do sądu, podawaj!

I nagle wuj zaczął płakać. Płakał naprawdę. Nie sztucznie. Łzy lały mu się po policzkach i padały na stół. Jaś splunął i wstał z miejsca. Skierował się do wyjścia. Było zamknięte: Nastka wyszła z za przepierzenia i zaczęła podnosić sztabę, aby odemknąć drzwi. Jaś nie oglądając się czekał z boku. Wtem wyminęły go energiczne kroki. Żardoń chwycił mocującą się z zamknięciami dziewczynę, za bluzkę i szarpnął. Bluzka i koszula trzasnęły, podarte aż do pasa. Odwróciła się przezażona, a wtedy Żardoń trzasnął ją dłonią w twarz... Drugi raz nie zdążył. Jaś chwycił go za przegub dłoni, wykręcił ramię w tył i obalił Żardonia na ziemię. Był zdumiony.

— Ale z ciebie kat i swołocz!

Wuj porwał się na nogi.

— Zabiję lafiryndę! Nie wolno na noc frontu otwierać! Jest tylne wyjście!

— Trzeba było to powiedzieć, a nie bić jej. Czyś ty zwierz?

— Porządek lubię! Rozumiesz?!

— Rozumiem.

Jaś poszedł do kuchni. Wtem wyminęła go Nastka, pośpiesznie odemknęła drzwi i wybiegła na podwórze. Za nią biegł Żardoń.

— Zabiję, cholere! Stój!

Jaś odtrącił wuja i wyszedł też na dziedziniec. Było zupełnie ciemno. Stanał. Bezczelność wuja po prostu oszołomiła go. Nie wyobrażał sobie, aby

chciwość da tego stopnia mogła zabić w człowieku duszę i opanować mózg. Nie mógł nawet zareagować na to tak, jakby chciał. Zbyt ohydne było to dla niego. Jednak wiedział, że wujowi nie daruje. Zaciśkał szczęki i pięści lecz rozumiał, że każda reakcja fizyczna byłaby nędzna, a może przydałaby się tylko Żardoniowi na jego usprawiedliwienie.

Jaś powoli przemierzał tonący w absolutym mroku dziedziniec. W mózgu mu wirowały różne myśli. Prawie nie miał pieniędzy. Wiedział, że i matka nie ma. Orientował się, że wuj zarabia dużo, że łatwo mógłby dopomóc im i wybawić z kłopotów, lecz ani myślał o to się teraz upomnieć.

Gdy chłopiec szedł tak bez szmeru, ostrożnie, dziedzińcem, posłyszał z boku dźwięki. Zatrzymał się. O kilka kroków od niego ktoś płakał. Przypomnił sobie Nastkę. Nie mówiąc, poszedł w kierunku tych odgłosów. Po chwili poczuł tuż obok siebie łkającą dziewczynę. Położył rękę na jej plecach.

— Nastka, czego ty?

Po pewnym czasie powiedziała:

— Co ja teraz pocznę? On mnie zabije! Ja nie mam. Pracuję cztery miesiące, a nie zarobiłam, tylko ubranie zdarłam. Wszystko popotręcałam... Mieszkania już nie mam... I co teraz robić? Żebym miała truciznę, to bym skończyła to...

Prawdziwym mężczyzną jest nie ten, kto dzielnie sprawuje się w łóżku z przyjemną kobietą, ani ten co walczy gdzie by to nie było, o co by nie poszło ale ten, kto nosi w sercu silną potrzebę opieki nad kobietą, dzieckiem i słabym lub bezbronny. Jaś miał to w sobie. Gdy Marusia Łobowa chciała w ich stosunku przodować, był dla

niej obojętny, prawie wrogi. Gdy wykazała, że jednak jest słabszą nerwowo i fizycznie fobieta, stał się jej przyjacielem. Teraz, gdy sam był w kłopotach, stanawszy wobec nieszczęścia biednej dziewczyny, natychmiast nią się zajął.

— Głupstwo wszystko, Nastka. Właśnie ciebie potrzebuję. Mam mieszkanie, a nie ma komu nim się zająć. Chodź ze mną. Wszystko będzie dobrze. Jaka ty głupia! Po co ta trucizna? Jak jest źle, to trzeba szukać lepszego. Chodź ze mną!

Nastka posłusznie, jak bezdomny pies, poszła z nim. Jaś nie wiedział jak jej pomoże. Wiedział tylko, że ma dla niej dach nad głowę... O tym zapomniano w najpiękniejszej modlitwie chrześcijan.

Utonęli w mroku.

A wuj Żardoń długo jeszcze miotał się po restauracji, klnąc i grożąc to Nastce, to Jasiowi. Sięgnięto przecież po to, co dla niego było najdroższe — po pieniądze.

Najpoważniejsza chewra, to chewra złodziejska. W niej jest właśnie: błąt, sztama i sitwa. To wszystko, co w nędznym i nieszczęśliwym języku ludzi uczciwych określa się fałszywym zwykle wyrazem solidarność — nie dodając: ze mną. Jaś nie mógł się odwołać do dintojry, bo wuj był frajerem. Nie mógł też zareagować na podłość wuja. Ale mógł się zwrócić ze swoją krzywdą do chłopaków — blatnych... firmowych... Proszę uprzejmie nie płać moich blatnych z blatnymi rosyjskimi. Ja rozumiem jako „blatnych”: prawdziwych, fachowych i wypróbowanych złodzieji, szanujących tradycje i siebie, a nie chłystków, którzy z byle powodu trafiają do więzienia. To są frajerzy w kwadracie, zakłamujący i szkodzący blatnym. Teraz ich jest

pełna Rosja. To są obywatele „urki”. Błatni nimi pogardzają tylko.

Jaś odwołał się do trybunału „swoich” chłopaków. Nie skarżył się. Opowiedział tylko o tym co go spotkało ze strony wuja Żardonia. I krzywda Panicza stała się krzywdą całego świata podziemnego Mińska. Gdyby wuj Żardoń o tym wiedział, to na pewno nie ryzykowałby tak grubo. Dotychczas w jego lokalu wszystko szło gładko. Teraz zaczęło się coś psuć.

Pewnego razu, wieczorem, do lokalu przyszło czterech gości. Był to Kazik Morecki i jego kamraci. Poprosili o wódkę i przekąski. Jedli i pili bardzo dużo — jakby na wyścigi. Wybierali najdroższe potrawy, prosili o najlepsze, firmowe wódki. Żardoń z góry obliczał, że sporo na nich zarobi. Wtem jeden z gości zawołał kelnerkę. Dziewczyna się zbliżyła do stołu.

— Za to też się płaci? —

Kazik pokazał jej ubabranego w sosie karalucha.

— Dawaj tu gospodarza!

Żardoń już sam szedł do stołu. Obejrzał karalucha i zacierając ręce bardzo przeproszał gości. Jednocześnie powiedział:

— Dziwi mnie mocno ten karaluch, bo w całym domu nie ma ani jednego. Ale jeśli pan mówi, że był w klopie, to muszę wierzyć. Ale bardzo wątpię!

— No to zaraz przestaniesz wątpić!

Kazik powstał, wziął widelcem z talerza karaluka i rzekł do Żardonia:

— Masz. Jedz go! Przekonaj się: karaluch to, czy nie?

Żardoń cofał się:

— Z jakiej racji mam go jeść?

— A z jakiej racji ja go miałem zjeść i jeszcze zapłacić?

I Kazik talerzem, wraz z zawartością, wyrzwał Żardonia w twarz. Wówczas, jakby na sygnał, jego towarzysze zabrali się do demolowania restauracji. Bili naczynia. Krzesłami łamali kredens. Tymczasem Kazik obrabiał gruntownie Żardonia. Kilku opóźnionych gości uciekło, gdy tylko rozpoczęła się awantura. Żardoń spróbował krzyczeć, lecz cios w brzuch odebrał mu głos.

W pięć minut restauracja była zdemolowana. Przez kilka dni potem Żardoń nie targował. Wylizywał się z uszkodzeń fizycznych, latał sprząty, kupował naczynia. Potem zaczął powoli prowadzić restaurację na nowo. Tylko zamykał lokal o wiele wcześniej niż poprzednio, skoro tylko zaczynał się zmierzch.

Aż raz nadarzyła mu się cudowna okazja. Zwrócił się do niego jakiś wojskowy i zaproponował kupno 2-ch flaszek koniaku. Cena była bardzo niska i Żardoń kupił koniak. Okazał się dobry. Nazajutrz żołnierz ów znów się zjawił w lokalu i znów sprzedał dwie flaszki koniaku. Gdy Żardoń płacił mu pieniądze, żołnierz spytał:

— A może weźmiecie większą ilość? To niemiecki koniak. Mam 300 flaszek i chcę sprzedać, bo za dwa dni wyjeżdżam na południe.

— Kupię choć i tysiąc — rzekł Żardoń.

— Dobrze. Proszę przygotować pieniądze. Jeszcze dziś wieczorem przywiozę wszystko.

I przywiózł. Żardoń pośpiesznie zapłacił i ucieszony sam znosił flaszki do piwnicy. Ale radość jego trwała tylko parę dni. Właśnie przyszło dwóch pijanych już oficerów bolszewickich i za-

mówili kielbasę na gorąco. Zapytali co ma dobrego do wypicia.

— Jest koniak. Trzymam dla najlepszych gości tylko.

— Dawaj tu!

Żardoń uroczyście sam podał koniak i kieliszki. Wprawnie odkorkował flaszkę.

— Proszę używać na zdrowie.

Kelnerka podała odgrzaną kielbasę. Oficerowie tręcili się kieliszkami i wypili. Efekt był nadzwyczajny. Jeden splunął. Drugi zaczął kłać i zawołał restauratora:

— Chodź no tu, dryblasie!

— O co chodzi?

Oficer wskazał palcem na flaszkę.

Co ty kpisz z nas? Co to jest?

— Najlepszy koniak!

— Gówno nie koniak! Masz pij!

Żardoń łyknął podsunięty mu kieliszek i wybałuszył oczy. Ze zdumienia nawet zaniemówił. Była to zwykła woda, zafarbowana pod kolor koniaku esencją herbaty.

Tym razem Żardoń w skórę nie dostał, lecz stratę poniósł dużą i snuł się mrocznie po lokalu. „Psychologiczny barometr” wskazywał wciąż niepogodę: czapka była nasunięta aż na brwi. W każdym kliencie węszył grandziarza lub złodzieją. Cudownie prosperująca dotąd „Złota Kukułka” zaczęła zawodzić. Żardoń mimo wszystko kojarzył to z osobą Jasia. Wiedział, że chłopak chodzi po „czarnych ścieżkach”. Mógł teraz się mścić. Jednak pewności co do tego nie było.

Jaś tymczasem miał kłopoty finansowe. Nastkę zainstalował u siebie. Okazało się, że dziewczyna nie ma żadnych dokumentów. Więc musiał zrobić jej fałszywy paszport na prawdziwe nazwisko i

personalia. Nie powiedział jej, że paszport fałszywy, bo była frajerką. Zameldował ją w milicji. Zaczął jadać w domu. Wynikało to z konieczności utrzymania dziewczyny, która posłusznie robiła wszystko co Jaś jej kazał. Widocznie nudziła się bez pracy, bo była przyzwyczajona do harówki od wczesnej młodości. Jaś chętnie by nawet żył z nią. Było to wygodne. Lecz przeszkadzała mu zupełna zależność Nastki od niego. Rozumiał, że byłoby to wykorzystaniem jej bezradności. A dziewczyna sama awansów mu żadnych nie robiła. Jaś uważał ją za bardzo ograniczoną, prawie głupią. I zupełnie się mylił. Nastka była po prostu zahukana, zastraszona. Stanowiła dotychczas dla ludzi jedynie siłę roboczą. I z tym się pogodziła.

Lecz pewnego dnia, niespodziewanie, Nastka objawiła Jasiowi, że ma inteligencję i spryt. Trzeba było kupić drzewa, bo nie było czym palić, ani pod płytą, ani w piecu, a chłody nadeszły duże. Nastka powiedziała Jasiowi, że brak drzewa.

— Zaraz...

I Jaś skonsternowany zobaczył, że ma tylko drobiazg w kieszeni.

— Psiakrew! Nie mam nawet na drzewo. Znow trzeba pożyczać.

— A może by ja wzięła od tamtego... Żardonia?
— odezwała się Nastka — mnie przecież należy się. Cztery miesiące pracowałam od rana do nocy.

Jaś nie rozumiał.

— Przecież ci nie da.

— To ja sama wezmę.

— Jak weźmiesz?

— Wiem gdzie chowa pieniądze i wezmę to co moje.

Jaś dowiedział się od Nastki, że zorientowała się, gdzie Żardon chowa gotówkę. Ma ją w meta-

lowej kasetce, którą trzyma w piwnicy w lewym kącie od progu. Brak tam cegieł. Żardoń stawia we wnęce kasetę i zakrywa ją ceglami.

Jak się o tym dowiedziałaś?

— Widziałam, że gospodarz zawsze wieczorem oblicza pieniądze, a potem idzie z wiadrem do piwnicy. Wraca czasem z pustym, a czasem przyniesie kartofli. Mnie nigdy nie pozwalał tam iść. Ale ja sama poszłam kiedyś, jak on wyszedł na miasto i zostawił klucz. Tam szybko znalazłam jego schowek. Ale nie nie wzięłam. A teraz pójdę i wezmę moją pensję za cztery miesiące.

— Jak tam wejdiesz?

— Przez okienko do piwnicy. Sama zatkałam je od podwórza słomą, żeby kartofle nie marzły.

— Czy człowiek przejdzie?

— Przejdzie na pewno.

— Dobrze, że mi to powiedziałaś. Ja sam pójdę. Mnie więcej należy się jak tobie. Tobie pensję wypłacę.

— Mnie nie trzeba. Proszę sobie wziąć.

Wieczorem Jaś poszedł okraść własnego wuja. Złodzieje zwykle nie kradną ani u swoich, ani tam gdzie mieszkają. Tym przede wszystkim się różnią od ludzi uczciwych. Jaś rozgrzeszył siebie z góry. Nie miał teraz w stosunku do wuja żadnych skrupułów.

W restauracji ruch był słaby. Wuj pracował dziś sam, bo i druga służąca odeszła, a nowej nie zdążył sobie wybrać. Jaś wstąpił na pusty, ciemny dziedziniec i odszukał okienko do piwnicy, które zasypał śnieg. I teraz zawieja miotła dziedziniec, a kurzawa krążyła w powietrzu.

„To dobrze. Zakryte ślady. Do rana znaku nie będzie”.

Jaś z trudnością wyciągnął z okna duży kłęb

słomy. Rzeczywiście wleźć było łatwo i chłopiec wnet znalazł się w piwnicy. Odszukał skrytkę wuja i wyjął z niej kasetę. Postawił ją na ziemi i otworzył. Przy świetle latarki zobaczył wewnątrz sporo banknotów. Lecz zorientował się, że jest tego mniej, niż mówiła dziewczyna. Rzeczywiście ostatnio wuj gorzej targował. Dużo wydał na remont lokalu po zdemolowaniu go. A najwięcej wpakował w „koniak”. Więc bardzo nadwyreżył swój kapitał.

Chłopiec, jako fachowy złodziej, nie drapnął zaraz z pieniędzmi, lecz dokładnie zrewidował piwnicę. Skrytki więcej żadnej nie było, natomiast znalazł sporo konserw, kilka flaszek wina i butlę spirytusu. Jaś wyrzucił to wszystko okienkiem na podwórze. Potem wziął worek od kartofli, zasłał nim parapet okienka i wylazł na zewnątrz. Złożył wszystko porządnie do worka, zatkał okno słoną, przysypał ją śniegiem i ruszył do domu.

Był zadowolony. Miał trochę wiktuałów, spirytus i gotówkę. Stanowiła mniej więcej piątą część tego co dał wujowi na otwarcie restauracji. „Dobre i to — myślał — bo chyba więcej z tego kutwy nie wyciągnę”.

Jaś ubrał Nastkę, która nawet zimowego palta nie miała, ani porządnych trzewików. Dał trzecią część pieniędzy matce i doprowadził do porządku mieszkanie. Teraz mogli żyć wygodnie, lecz pieniądze poszły prawie wszystkie.

Jaś był ciekawy zobaczyć minę wuja, gdy się dowie, że skradziono mu pieniądze. Lecz następnego dnia Żardoniowi przytrafiła się rzecz dla niego tragiczna. Pod wieczór przyszło do jego knajpy trzech gości. Jeden cywil w okularach i kapeluszu, bardzo dystygowanie wyglądający. Towa-

rzyszyło mu dwóch sowieckich wojskowych. Podoficer i szeregowiec.

Goście zajęli gabinet. Był to mały pokoik na prawo od wejścia. Zamówili wódkę, zimne przekąski i piwo. Żardoń dostrzegł, że klienci jego grają w karty. Zachowywali się bardzo spokojnie. Grali w ramsa. Żardoń znał tę grę i chętnie by do nich się przyłączył, ale roboty było dużo i musiał wszystko robić sam, bo kelnerki jeszcze nie znalazł.

Tymczasem szykowała się dla niego wielka niespodzianka, która zadecydowała o ruinie Żardonia i zniknięciu „Złotej Kukułki”. Cywil w kapeluszu i okularach był znany w świecie przestępczym jako Julek Bankier. Pochodził z Łodzi. Był to styrocznik i robił „ciepłych” gości „na sobaczkę”. Gdy opowiadałem o istnieniu tego rodzaju specjalności wśród przestępców, to lekarze wyrażali niedowierzanie. Twierdzili, że nie ma środków, którymi można by raptownie uspić człowieka, podając mu je w alkoholu lub kawie. Tymczasem jest to prawdziwe i stanowi fachowe zajęcie niedużej ilości przestępców, którzy wyszukują posiadaczy większej gotówki i usypiają ich, a potem śpiących „myją”. Znałem w więzieniach kilku więźniów, którzy siedzieli właśnie za robotę „na sobaczkę”. Dwóch miało wyroki dożywotnie. Kilku terminowe. Znałem nielicznych przestępców tego rodzaju i na wolności. Lecz nie znam środków, którymi operują. U pracujących „na sobaczkę” zdarzały się wpadki śmierci ofiar. Wówczas „wsypa” powodowała bardzo surową karę. Nawet karę śmierci.

Julek Bankier zaprowadził do „Złotej Kukułki” swe ofiary właśnie po to, aby „zrobić” ich „na sobaczkę”. Zapoznał się z nimi na dworcu kolej-

wym, gdzie większe grono wojskowych grało w karty. Było tam i kilku cywilów. Bankier również do nich należał. W trakcie gry dostrzegł, że tych właśnie dwóch wojskowych posiada dużą gotówkę. A grali tak szczęśliwie, że jeszcze ją powiększyli. Bankier potrafił zwabić ich do knajpy. Upiłi się tam. Potem poszedł z nimi do „Złotej Kukulki”, a wieczorem — rzekomo — miał zaprowadzić ich na dziewczynki. Obiecał im jakieś dwunogie cuda. „Tylko nie tak wcześnie”. Więc zabijali czas grą „po małej” w karty i zakrapiali wódką. Bankier poprosił o piwo. To solidnie „rozłożyło” jego kamratów. Wówczas usypiacz sprytnie dodał im do piwa środki nasenne. Dawka — jak zwykle — była potężna i jego klienci wnet stracili przytomność. Bankier sprytnie i prędko zrewidował ich, zabierając gotówkę i wszystkie wartościowe rzeczy. Potem wsadził zwinięty kapelusz do bocznej kieszeni palta i wyszedł z restauracji.

Żardonia jego wyjście nie zdziwiło. „Mógł pójść do wygodki”. Zresztą był zbyt zajęty, aby nad tym się zastanawiać. „Przecież nie wszyscy wyszli” — myślał. Lecz Bankier nie wrócił. A gdy Żardoń po pewnym czasie zajrzał do „gabinetu”, zobaczył tam jednego żołnierza prawie wiszącego na krześle, drugi zaś zsunął się na podłogę. Momentalnie zorientował się, że sprawa jest poważna. Gdyby nie było gości, może by usunął ich z lokalu, lecz teraz było to niemożliwe.

Sprawa wzięła poważny obrót. Wdała się w to milicja i władze wojskowe. Żołnierzy ocucono, lecz długo byli chorzy. A Żardonia posądzono o kontakt z usypiaczem. Wszystko za tym przemawiało: zeznania żołnierzy, którzy twierdzili, że Bankier koniecznie tu ich zwabiał. I to, że Żardoń strasznie się plątał w zeznaniach — ze strachu.

Na przykład nie umiał wcale podać rysopisu usypiacza. Mówił tylko, że był w kapeluszu i okularach. Spróbowano pobudzić jego pamięć dobrą porcją batów. Lecz to skutku nie odniosło, bo rzeczywiście nie wiedział, a zaczął pleść takie głupstwa i sprzeczności, że się zorientowano, iż istotnie jest niewinny. Po dwóch tygodniach pobytu w areszcie Ekspozytury Śledczej zwolniono go.

Wuj Żardoń wygłodniały, grudny, z bielizną pełną robactwa, szedł pośpiesznie na Koński Rynek. Przypuszczał, że mało co zostanie w restauracji, lecz był pewien, że pieniądze ocaleją i że z nimi zacznie skromnie od początku. Lecz pieniędzy nie znalazł, a lokal był zupełnie zniszczony. Co prawda milicjanci opieczętowali oba wejścia w obecności Żardonia. Lecz po odprowadzeniu go do aresztu pierwsi wrócili, zdarli sznurek, odemknęli drzwi i zabrali wszystkie napoje i prowianty. Zostawili drzwi otwarte, aby inni dokończyli zaczętego przez nich dzieła... Żardonia i milicja nie lubiła. Był skąpy i żałował przedstawicielom bezpieczeństwa swego rejonu nawet kieliszka wódki. Wnet dostrzeżono, że knajpa została bez opieki i sąsiedni mieszkańcy solidarnie, wprawnie i prędko złupili ją ze wszystkiego. Nie zostało nic. Nawet płytę z kuchni wyłamano. Nawet drzewo opałowe ze składu, wyniesiono. Pustka kompletna.

Żardoń nie miał gdzie iść. Mieszkał przy restauracji, w pokoju obok kuchni. Tam były wszystkie jego rzeczy, z których nie zostało kompletnie nic.

Wiatr hulał po ciemnym i pustym wnętrzu ruchliwego niedawno lokalu. Żardoń usiadł na parapecie i drżał z zimna. Teraz nie mógł odżałować, że skrzywdził Jasia, że pozbył się kelnerek i że

restauracja została bez opieki. Nie miał dokąd iść, lecz głód i zimno przemogły w starym cyniku ambicję i ruszył w kierunku mieszkania Jasia. Chłopca nie było w domu. Nastka otworzyła drzwi. Żardoń chciał wejść do środka, lecz dziewczyna zagroziła mu drogę.

— Panicza w domu nie ma. A ja bez niego nikogo nie wpuszczę. Zabronił mi.

— Co ty żartujesz, czy nie poznajesz mnie? — spróbował oburzyć się Żardoń i chciał wbrew zakazowi weisnąć się do mieszkania.

Wówczas Nastka łatwo odepchnęła go w tył i zatrzasnęła drzwi. Żardoń zaklął.

— A kiedy Jaś wróci? — pytał przez drzwi.

— Nie wiem... Nie mówił nic...

I Żardoń został w sieni. Usiadł na skrzyni do składania różnych rupieci i czekał. Rozmyślał o tym co go spotkało i tak się rozrzewnił nad sobą samym, że zaczął płakać. Jaś wrócił dość późno. Poświecił latarką w sieni i zobaczył wuję, siedzącego na skrzyni. Chłopiec był pijany. Nie wiedział co się stało z Żardoniem, lecz niespodziewany widok ubawił go.

— Ku - ku! — krzyknął, zapewne mając na myśli szyld nad restauracją „Złota Kukułka”.

— Kpisz ze mnie — rzekł z wyrzutem Żardoń.

— Nie umiem wuju. Ty mnie chyba nauczyć przyszedłeś. Czego tu chcesz?

— Jasiu, kochany — rzekł Żardoń i znów zaczął płakać. — Ja dziś z więzienia wyszedłem. Dwa tygodnie trzymali. Poszedłem do domu. Tam nie ma. Wszystko rozkradli. Teraz tylko się powiesić... Cóż ja pocznę... Nic nie mam.

— Tak?! — rzekł trochę zdumiony, trochę rozdrażniony chłopiec.

A Żardoń płakał. Nawet pochlipywał. Jasiowi

przypomniało się, że wuj płakał również, gdy on przyszedł do niego prosić o należne mu pieniądze. I postanowił się nie rozczulać. Jednak chciał poznać szczegóły całej sprawy. Pozwolił wujowi wejść do mieszkania. Posadził go przy stole. Kazał dziewczynie przynieść dla niego jedzenie. Nagle Nastka powiedziała stanowczo:

— Nie, proszę pana, ja jemu nie nie podam... Za moją krzywdę... Lepiej pójdę stąd! I też zaczęła płakać.

— Psiakrew! Zwariowali!

Jaś sam przyniósł wujowi chleba i talerz fasolowej zupy.

— Weinaj krewniaku. A potem gadaj!

Wuj jadł i płakał. Beładnie opowiadał o ostatnich zajściach, tak, że Jaś wszystko zrozumiał. Wówczas rzekł do Żardonia:

— Jeść ci dałem. Ale nocować tu nie będziesz, bo jutro powiesz, że to mieszkanie twoje... Masz patent na knajpę, to ją odsprzedasz... Albo współnika weźmiesz. Ty sobie poradzisz... Masz tu na nocleg i na parę dni na zarcie... Więcej ciebie widzieć nie chcę! Proszę iść.

Jaś dał Żardoniowi pieniądze. Wuj je wziął, ale rzekł z wrzutem:

— To tak mnie traktujesz? Ładnie to, Jasiu, ładnie. Nie wstyd ci?

Chłopakowi krew się rzuciła do twarzy.

— Ty gorzej ze mną postąpiłeś. Nic ci nie powinienem dać. Idź stąd, bo każę Nastce ciebie wyprowadzić. Dotknąć ciebie się brzydzę. Idź precz!

I Żardoń wyszedł z mieszkania. Na dziedzińcu stanął i pogroził pięścią w kierunku domu:

— Ja ci pokażę smarkaczu! Jeszcze będziesz mi buty czyścił!

I poszedł na Łogojski trakt, gdzie był dom nolegowy.

„PANIA ŻYCIA — ROZKOSZ!”

Znów przyszła wiosna. I znów była inna. Jeśli poprzednia — niespokojna, wczesna, pijana, to ta była szalona. Nagle się rozpromieniała, a po godzinie ponuro toczyła nisko zwały chmur... Jeśli w jednym dniu gorącym oddechem i strugami wody stapiała szare masy śniegu, to w drugim, bez sensu, ubierała miasto w biel.

I ludzie zgłupieli: nie wiadomo jak się ubrać. Wychodzisz z domu — maj; wracasz — styczeń. Więc snuli się różnolicie ubrani i klęli pogodę. A ulicami coraz częściej przewożono na ementarz nieboszczyków. Lekarzom i grabarzom czasu nie wystarczało na pracę.

Paulinka targowała w swym sklepiku ze zmiennym szczęściem. Lecz od pewnego czasu mniej się przejmowała zyskiem. Dręczyła ją samotność. Kilka razy poszła do kina. Wielokrotnie zaczepiali ją mężczyźni. Lecz Pawka, po lekcjach udzielonych jej przez Tolusia i Grzegorza, była ostrożna. Krótkimi spojrzeniami szacowała narzucających się jej mężczyzn i stwierdzała, że się nie oplaca.

Jednak wiosna i jej zapaliła krew i jej burzyła myśli w głowie, a nocami zakłócała sen. Wsta-

wała rano zmęczona, niewyspana, zła. Nalewała do wanny kilka wiader wody i chłodziła jędrne, dojrzałe, pełne siły i kobiecego powabu ciało. Miała pragnienie wyjść na ulicę: patrzcie jaka jestem! I ja muszę się spalać i męczyć, nie mogąc zaspokoić swych pragnień. Często widziała przez okno Jasia lub Nastkę. Znienawidziła ich. Szczególnie dziewczynę, z którą nawet słowa nie zamieniła. Wyobraźnia nocami nasuwała jej obrazy ich pożycia, pieścizot. Więc była pełna złości i jadu dla swych sąsiadów, lecz nie umiała im szkodzić, a Jasia mimo wszystko się bała.

Paulince od czasu do czasu przypomniiał się Baran. Lecz wspomnienia te kojarzyły się zawsze z pieniędzmi, rzeczami, złotem, prezentami. Od żadnego z kochanków nie doznała tyłu silnych, a mimo to tkliwych pieścizot. Ślamazarny Toluś jednak więcej utrwalił się w jej erotycznej wyobraźni, niż Olek. Chyba dlatego, że z Tolusiem ona była inicjatorką i przewodniczką wyżywiania się — jakby każdorazowo musiała go zdobywać, a Baran miał bujny temperament i zdrowy pęd do kochanej kobiety, więc brał ją zawsze łatwo, silnie i prosto. Kobiecie o zdrowej wyobraźni dałoby to dosyt i zadowolenie. Paulinkę irytowało. Uważała, że on wyżywa się z nią dla siebie tylko. Że go uszczęśliwia, więc musi za to płacić, płacić, płacić...

Pewnego razu, w niedzielę, Paulinka dość wczesnie poszła na miasto. Była elegancko, a raczej bogato ubrana. Szła otoczona smugą perfum. Przesadnie falowała biodrami. Na moście wymiła ją wysoki, elegancki mężczyzna. Paulinka z dała zauważyła jego „wytworną” sylwetkę i wymijając rzuciła mu wymowne spojrzenie. Szła dalej. Była ciekawa, czy idzie za nią. Lecz uważała,

że nie „opłaca się” obejrzeć. Starła się poruszać powabnie i ładnie.

Za elektrownią skręciła pod prostym kątem do Gubernatorskiego Ogrodu. Miała możność nie oglądając się zobaczyć chodnik za sobą. Nie omyliła się: mężczyzna szedł za nią. Paulinka była zadowolona i zaciekawiona. Szła coraz prędzej w kierunku bałego mostku przez Świsłocz, za którym zaczynały się ścieżki ogrodu. Chciało się jej nawet biec. Chciało się śmiać. Lecz hamowała się i, idąc bardzo szybko, raptem skręciła na wąską ścieżkę w lewo. Mężczyzna z widocznym wysiłkiem podążał za nią. Spostrzegł, że go wabi i zrozumiał manewry Paulinki, która usiadła na samotnej, zmurszałej od czasu i słot ławeczce.

— Ależ pani ma charakter w nogach! — rzekł siadając obok niej przygodny towarzysz.

Paulinka udała zdumioną.

— Nie rozumiem o co panu chodzi! I w ogóle pana nie znam.

— Więc pani się przedstawię. Jestem zastępcą kierownika pierwszego rejonu miasta Mińska, Siemieńców Konstanty.

Mężczyzna nie dodał: Ekspozytury Sledczej. Również zataił, że jest zwykłym agentem. Naturalnie Pawka na tym się nie znała. Nawet nazwisko nie utrwaliło się jej w pamięci. Podała mu rękę.

— Churdziczówna Paulina.

— Bardzo przyjemnie.

Agent pocałował ją w rękę, co bardzo podobało się Paulince, a nawet zażenowało ją.

„To prawdziwy pan!”.

Siemieńców miał robotę. Zwykłą inwigilację. Lecz wyczuł, że tu łatwo o przygodkę miłosną,

więc zrezygnował z obowiązku służbowego. Dowiedział się, że Paulinka chciała iść do kina. Powiedział, że ogromnie lubi kino i razem poszli do śródmieścia. Siemieńcow prowadził ją pod rękę, prawil komplementy i sprytnie starał się wybadać swą przygodną znajomą. To było dość łatwe, bo Pawcia, rozpromieniona, paplała bez zastanowienia. Wkrótce agent zorientował się, że dziewczyna jest wolna, mieszka samotnie, jest dobrze sytuowana materialnie. To podniosło tempo i temperaturę jego zabiegów o względy Paulinki.

W kinie Siemieńcow kupił bilet do łoży. A gdy zaczął się film i salę zaległ półmrok, stał się bardzo natarczywy. Paulinka chętnie przyjęła kilka pocałunków, lecz wdzierające się pod suknię ręce przeszkadzały jej śledzić akcję filmu. Więc nagle powiedziała:

— Zostawmy to na potem. Tu niewygodnie i przeszkadza mi pan patrzeć.

— Przepraszam.

Agent zrozumiał, że ma do czynienia z kobietą, której nie trzeba uwodzić, a która chętnie idzie na romans. Więc nie trzeba było raptownie wyzykiwać sytuacji.

Gdy Paulinka w ubiegłym roku, na początku swej znajomości z Baranem, poszła z nim do kina, trafiła na film z życia rycerzy wytrycha. Obecny film treścią przypominał poprzedni. Tylko tu w aureoli głównego bohatera występował sprytny detektyw. Dokonywał cudów. Zakradał się do spelunek gangsterskich. Wyrwał z rak przestępców porwaną przez nich dla okupu córkę milionera. Zmagał się z hersztem świata podziemnego Chicago, groźnym bandytą, który nieustannie wymykał się z rąk policji i z więzień.

Paulinka z emocji zaciskała ręce i dostawała

wypieków. Czasem chwyciła za ramię swego towarzysza. W antrakcie zwróciła się do niego — jak kiedyś do Barana — może podświadomie, przez analogię:

— Boi się pan złodziei? — zapytała.

Agent dumnie wypiął pierś.

— Ja?... Oni mnie się boją!

— Nie rozumiem pana.

Wówczas Siemieńcow, powodowany próżnością i chęcią zaimponowania Paulince, odgiął lewą klapę marynarki i pokazał dziewczynie znaczek agenta Tajnej Policji.

— Co to jest?

Paulinka dotknęła palcem znaczka.

— Ta odznaka daje mi prawo aresztować każdego kogo zechcę. Jeśli pokażę ją milicjantowi musi natychmiast słuchać mych rozkazów.

— Ta - ak?!!

Paulinka z podziwem i szacunkiem patrzyła na swego towarzysza, a on protekcyjnie objął prawym ramieniem jej plecy, a lewą dłonią ślizgał się po udzie. Paulinka mdlała z emocji i z udaną żenadą pozwalała agentowi na śmiałe pieścizoty. A gdy wyszli z kina i Siemieńcow zaproponował jej pójście na kolację do jakiejś knajpy, powiedziała:

— Czy nie lepiej u mnie w domu zjeść? Wódki nie mam, ale do jedzenia jest wszystko. Była podniecona i chciała koniecznie, aby Siemieńcow wstąpił do niej. Wiedziała, że dalszy ciąg będzie wówczas zależał od niej. Tegoż chciał agent. Podobało mu się, że kobieta jest czysta, dobrze ubrana i... zamożna. „Przecież ma własny sklep i mieszkanie”.

Agent zboczył wraz z Paulinką z Zacharzewskiej ulicy na Pietropawłowską i tam, w znanej mu

spelunce, kupił flaszkę koniaku i pudełko szprotek. Kupił symbolicznie, bo właściciel spelunki, którego różne machlojki były znane niektórym agentom Urzędu Śledczego, nie wziął — jak zwykle — pieniędzy. Powiedział, że nie ma reszty z grubszego banknotu.

Siemieńcow szedł z Paulinką w kierunku Złotej Górki. Snuł w głowie różne praktyczne myśli na temat Pawki. Nie zależało mu na niej jako na kobiecie, bo w ogóle miał zimny temperament, który się zwiększał jedynie po zażyciu większej ilości alkoholu. Poza tym kobiety nie były dla niego atrakcją. Miał ich dość. Nawet za dużo. Zaczął już nimi pogardzać i zwracał uwagę tylko na te, które były dobrze sytuowane.

Natomiast Paulince bardzo się podobał wysoki, elegancko ubrany, dość masywnie i zbudowany, Siemieńcow. Dłuższa wstrzeźliwość dokuczyla jej. Pieszczoty w kinie podnieciły. Więc niecierpliwie czekała na dalszy ciąg szablonowej przygódki. Nawet planowała ją. Postanowiła udać pijaną po paru kieliszkach i dopiero wówczas przystąpić do akcji. Intuicją wyczuła, że mimo natarczywości, Siemieńcow jest dość zimny i spokojny. To ją nieco irytowało, bo była naprawdę spragniona pieszczot mężczyzny. Ale jednocześnie ten chłopak imponował jej. Przypominał jej Tolusia, który pieścił ją niechętnie i wstrzeźliwie. Po prostu: obdarzał miłością.

Mieszkanie Pawki nie zaimponowało Konstantemu. Przypuszczał, że kobieta tak ubrana, jak Pawka, ma lepsze locum. A z wyglądu mieszkania zwykle się sądzi o stopie życiowej ludzi. Poza tym, było za daleko od centrum miasta. Pawcia była tak sprytna, może w tym wypadku szczegól-

nie przenikliwa, bo zależało jej na zaimponowaniu temu mężczyźnie, że w lot zrozumiała jego nastrój. Z udaną swobodą powiedziała:

— To moja norka. Mysia norka. Mogę wziąć najlepsze mieszkanie w centrum, lecz wolę mieszkać na razie tu. Bliżej sklepu. Sklep też niepozorny, ale daje dochód większy, niż inne magazyny w centrum. Niech się pan nie przeraża, że tu tak ciasno.

Konstanty coś tam odburknął i nie zdejmując palta usiadł przy drzwiach. Pawka zmusiła go by się rozebrał i usiadł przy stoliku. Dała mu do rąk jakąś starą gazetę i zzwawo zaczęła się krzątać koło przygotowania kolacji. Miała spory zapas wiktuałów, bo skupywała je stale dla sklepu, więc było czym dysponować. Jeśli dla Barana była zawsze skąpa, to dla Konstantego nie nie żałowała. Więc kolacja była przygotowana obfita. Znalazła się nawet flaszką wina i butelka carskiej wódki. Pawcia zasłała stół nowym, ładnym obrusem i wprawnie ustawiła na nim przekąski. Była przecież knajpiarką i musiała — gdy był większy ruch — pomagać dziewczynie obsłużyć gości. Więc wszystko szło jej prędko i zgrabnie.

Wkrótce stół był zastawiony różnymi przekąskami, a centralne miejsce zajmowały butelki. Pawcia poszła do kuchni nastawić samowar.

Agent coraz przychylniej spoglądał na zgrabnie krzątającą się po pokoju Paulinkę. Przychylność ta wzrastała w miarę wypełniania się stołu jadłem. Pawcia trafiła w najczulsze jego zamiłowanie: dobrze zjeść i wypić. Nie orientowała się, że cecha ta ujemnie świadczy o jej adoratorze. Przeważnie mężczyźni interesujący się kuchnią, mało się interesują kobietą. I przeciwnie.

W pewnej chwili Pawcia przeprosiła Siemien-cowa.

— Chcę się przebrać do kolacji.

Wyszła do następnego pokoiku, stanowiącego sypialnię. Tam pośpiesznie rozebrała się do naga. Wytarła się całą wodą kolońską, wylewając na ciało, twarz i włosy prawie całą zawartość dużego flakonu. Włożyła najładniejszą swoją koszulkę i majtki, nowe pończochy, piękne pantofelki i drogą, ciemną, ciężką, przelewającą się przez palce, jedwabną suknię. Drogi prezent Barana. Pośpiesznie się uczesała, upudrowała twarz, podmalowała i bez tego purpurowe, płonące wargi. W lustrze zobaczyła swoją sylwetkę. Ciemna suknia wyszczupliła jej tors i Paulinka wyglądała naprawdę ładnie. Pogroziła sobie palcem, zrobiła kuszący uśmiech i wyszła do Konstantego. Wskazała mu ręką na stół i z lekkim uśmiechem rzekła:

— Uprzejmie proszę.

Agent z przyjemnością na nią spojrział. Wyglądała zupełnie inaczej niż przedtem. Była zgrabna, giętka, tajemnicza.

— Ależ z pani śliczna kobietka! — rzekł szczerze.

Paulinka z zadowoleniem się uśmiechnęła.

— Panu też jako mężczyźnie nic nie brakuje — rzekła filuternie.

Oboje byli głodni, więc jedli chętnie. Agent wciąż zachęcał do kieliszka. Paulinka nie oponowała. Chciało się jej upić. Poprzednio zamierzała to zrobić, aby dodać sobie werwy, a teraz chciała dotrzymać mu pola i wydać się dojrzałą, śmiałą, pewną siebie kobietą. Tak jak smarkacz pije równo w towarzystwie dorosłych, aby dodać sobie powagi.

Libacja się przeciągała. Paulince zaczęło wirować w głowie. Było jej wesoło, chciało się śmiać i żartować.

Tego dnia Jaś późno przyszedł na obiad. Nastka nic nie jadła bez niego. Gdy wszystko było gotowe do obiadu, usiadła na łóżku w jego pokoju i patrząc w okno, czekała. Jaś zabronił jej czekać na niego z jedzeniem, bo zdarzało, że przychodził bardzo późno, a kilka razy nie wrócił nawet na noc. Lecz dziewczyna, zawsze posłuszna mu we wszystkim, sama nie jadła nigdy. Jasia to irytowało, lecz rozumiał, że musi z tym się pogodzić, jako z jedyną presją, którą Nastka mogła na nim wywierać.

Dziewczyna była posłuszna i wierna mu jak stary pies. Starala się wyczuć jego życzenia, uprzedzić je. Mieszkanie lśniło czystością. Bielizna była zawsze pięknie wyprana. Sama Nastka była zawsze czyściutko ubrana, wymyta. Lecz Jasia to jedynie krępowało. Wiele razy przyłapał siebie na chęci pójścia do niej nocą. Nęciła go dobrze zbudowana, silna dziewczyna. Widział wiele razy jej okrągłe potężne ramiona. Zęby lśniły bielą. Wargi były różowe. Okrągłe, śniade policzki zdobiły rumieńce. Wyczuwało się pod suknią wspinałe ciało — takie jakie może mieć jedna kobieta na tysiąc. A jednak Jaś uważał, że nie wolno mu jej ruszyć. Nie wolno dlatego, że jest od niego zależna. Widział, że Nastka jest w nim zakochana, że gdy spojrzy w jej oczy dostaje wypieków. Wiedział, że radośnie mu się odda i nie będzie krępować, ani się narzucać, lecz chciał być w porządku wobec siebie. Dlatego chodził do Mili, czasem spał z prostytutkami, które traktowały go

jako „swego chłopaka”, więc zarazenia się nie bał. Lecz Nastka była dla niego zabronionym owocem, choć wiele go kosztowało to wyrzeczenie się tak ponętnej i bliskiej dziewczyny.

Nastka z początku myślała, że Jaś po prostu nią się nie interesuje. Była tak przyzwyczajona do natarczywości mężczyzn, których łatwo umiała poskramiać, mając niepospolitą siłę fizyczną, że delikatność Jasia wydała się jej obojętnością. Potem dostrzegła, że jednak chłopiec często obserwuje ją głodnymi oczami. Po pewnym namyśle zorientowała się, że oszczędza ją. Potem przyszło jej trafnie do głowy, że chłopiec się boi, aby nie uwikłać się w zobowiązania względem niej. Wiele razy nocami słyszała jak Jaś się kręci w łóżku, wstaje i idzie do kuchni, pije wodę, pali. Trochę się domyślała, że kobieta przydałaby mu się bardzo. Miała chętkę sama pójść do niego, ale nie starczyło jej odwagi. Przeważał wstyd.

Pewnego dnia zobaczyła go idącego ulicą pod rączkę z Milą. Tak przyjaźnie, wesoło rozmawiali, tak zgodny i lekki był ich krok. „Pewnie jego kochanka”. Nie opanowała jej zazdrość. Wyczuła, że nie odpowiada Jasiowi jako kochanka, lub żona, lecz chętnie by mu się oddała bez zastrzeżeń i wyrzutów. „Po co ma tam gdzieś szukać kobiety, może traci na nią pieniądze i czas, kiedy może mieć mnie”.

Pewnego razu długo w noc słuchała, jak Jaś nie śpi. Zdecydowała się sama pójść do niego. Wstała cicho z łóżka. Zdjęła koszulę i bosa, nago, poszła do jego pokoju. Stała w nogach łóżka i zamierzała wślizgnąć się do niego pod koc. Zrobiła jeszcze krok naprzód. W tym Jaś się poruszył i pokój zalała smuga światła kieszonko-

wej latarki. Nastka wyprostowała się i zakryła piersi dłońmi.

— Co ty? — spytał Jaś prawie przestraszony.

— Przepraszam bardzo... Chciałam... chciałam zapalki...

Jaś pośpiesznie znalazł i podał jej zapalki. Nastka speszona wróciła do swego pokoju, zapaliła lampę i weszła do łóżka. Chciało jej się płakać. A Jaś, którego wprost oszołomił powab jej nagiego ciała, nie spał do rana. Chociaż wygląda to dziwnie — nie zrozumiał intencji Nastki. A to że przyszła nago utwierdziło go w przekonaniu, że jest naiwna i ma do niego zupełne zaufanie.

Czekając przyjscia Jasia, Nastka poczuła, że ogarnia ją senność. Widzialność przez okno była coraz mniejsza. Dziewczyna położyła się na łóżku. Nie zamierzała spać. Jednak dziś porządnie pracowała i sen wnet ją zmógł.

Gdy Jaś wrócił było już ciemno. Drzwi od kuchni nie były zamknięte na zasuwę, więc wszedł do mieszkania. Z przyzwyczajenia zawsze się posługiwał w ciemności latarką i zawsze chodził cicho. Gdy wszedł do swego pokoju, zobaczył Nastkę śpiącą na jego łóżku. Leżała na wznak. Spała jak zdrowe dziecko, z zarzuconymi za głowę rękami, a nogi miała podciągnięte w górę i zgięte w kolanach. Poza była dość drastyczna, gdyż krótka spódnica zsunęła jej się na biodra i odsłoniła uda. Jaś nawet pomyślał, że dziewczyna umyślnie tak się upozowała. Lecz wnet zrozumiał, że mocno śpi. W głowie powstała myśl: „Można by ją łatwo wziąć, tylko trzeba cicho się rozebrać”. I w ślad za tą myślą poczuł tak silną chęć urzeczywistnienia jej, że aż czoło pokrył mu pot, a zęby zaczęły dzwonić. Wszedł pośpiesznie do kuchni i prawie krzyknął:

— Nastka!

— O Boże!... Co to jest?

— To ja... Czemu ty siedzisz w ciemności?

— Usnęłam... Czekałam na pana przy oknie.

— Znowu nie jadłeś?

— Nie.

— Zapal lampę i dawaj jeść!

Nastka pośpiesznie wydostawała z pieca jedzenie. Nagle powiedziała:

— Przepraszam, panie Janku. Proszę się nie gniewać na mnie...

Myślała że surowy wyraz twarzy chłopca i unikanie spojrzeń, spowodowała jej opieszałość. Że jest na nią zły. Lecz Jaś się zaśmiał, a potem, zimną jeszcze dłonią, pogłaskał ją po policzku:

— Wcale się nie gniewam. Mam kłopot.

— A może ja co pomogę?

— Możesz pomóc. A nie boisz się wieczorem iść do Cypy?

— Ja?! — Nastka szczerze się zdziwiła.

— Teraz różna swołocz po mieście się włóczy. Jeszcze napadną na ciebie.

— To tak dostaną, że im się odechce.

Nastka bojowo podniosła głowę i błysnęła oczami.

— Kozak z ciebie! — z uznaniem rzekł Jaś.

Jasia kilka razy rewidowali hinty w mieście. Był znany już wielu agentom Urzędu Śledczego. A hinty, widząc znanego złodzieja w mieście, lubią od czasu do czasu wziąć go do bramy i zrewidować. Czasem znajdują „statki” złodziejskie. Wówczas łapówka pewna i dostateczny powód do aresztowania. Więc Jaś wystrzegał się noszenia narzędzi po mieście. Już kilka razy Nastka go w tym wyreczyła. Teraz musiał pilnie przesłać pożyczone

przez Kazika Moreckiego narzędzia do truszczoży Cypy. Czekał tam na narzędzia Obywatel, który następnie miał dostarczyć je chłopakom na Nowokraśną.

— Nastka tak się śpieszyła, że nawet jeść nie chciała, lecz chłopiec zmusił ją do skończenia obiadu, a potem wręczył ciężką paczkę, w której były: dwa szabry, komplet wytrychów, „żaba” i nożyce do cięcia żelaza. Nastka ulokowała to wszystko na piersi i brzuchu, i przepasała rzemieniem, aby się nie osuwały. Włożyła kozuszek. Wnet ruszyła w drogę, bo wiedziała już gdzie znajduje się truszczoża Cypy.

— Uważaj na moserów! Statki oddaj tylko Obywatelowi...

— Wszystko będzie dobrze — rzekła Nastka i wyszła z mieszkania.

Jaś był trochę zmęczony. Chciało mu się spać. Więc nie patrząc na to, że było jeszcze wcześniej, posłał łóżko, rozebrał się, zgasił lampę i ułożył się do snu. Drzwi kuchennych, prowadzących do sieni, nie zamknął, aby Nastka mogła wejść do mieszkania bez budzenia go.

Spał mocno, lecz niedługo. Poderwało go z łóżka trzaśnięcie drzwi. Myślał, że wróciła Nastka. Lecz po chwili posłyszał głos Paulinki, z jej mieszkanka za cienkim przepierzeniem. Dość wyraźnie było słyhać rozmowę.

Jaś chciał znów usnąć, lecz przeszkadzały mu własne myśli i głosy w pokoju obok. Mimo woli starał się zrozumieć treść rozmowy.

Mijały minuty. W pewnej chwili Jaś posłyszał za ścianą śpiew. Śpiewał mężczyzna jakiś głupi, stary romans. Głos był marny: okropnie fałszował. Gdy śpiew się urwał rozległ się głos Pawki. Był donośny, pijany:

— Ależ ty cudownie śpiewasz!

Jaś się roześmiał. Ubawiło go to „cudownie”.

Dalszy ciąg akcji za ścianą, w pokoju Paulinki, był taki, że Jaś nim się zainteresował. Wstał w ciemności z łóżka i odchylił brzeg wiszącej tapety. Spozrzegł tam kiedyś podłużną szparę między deskami, przez którą było wyraźnie widać prawie cały pokój Paulinki. Dawniej była to pracownia szewska Barana. Chłopiec zobaczył zastawiony stół. Pod sufitem paliła się duża, wisząca lampa naftowa.

Paulinka siedziała na kolanach Siemieńcowa. Jaś z początku przypuszczał, że gości u siebie tamtego mężczyznę, którego zastał kiedyś rano w jej mieszkaniu. Lecz przekonał się że się mylił. Paulinka była pijana. Śmiała się. Mówiła głupstwa i lgnęła ciałem do swego koni pana. Tamten ospale ją obmacywał. Widocznie kobieta mało go interesowała.

Paulinka odsunęła na bok kieliszki i naląła, rozlewając płyn po serwecie, prawie pełne szklanki koniaku.

— Pijmy! — rzekła do agenta.

— Nie chce mi się...

— To ja piję.

Brawurowo wypija koniak. Szklanka wypadła jej z ręki. Zaczęła głośno, trochę sztucznie się śmiać. Przyłgnęła piersią do Siemieńcowa.

— Powiedz: czy ty mnie kochasz?

— N-nie... wiem...

— Nie wiesz?... A mówiłeś, że jestem śliczna...

— No ta-ak...

— Powiedz, że kochasz — nalegała Paulinka.

— Może i Kocham...

— To pocałuj mnie.

Agent zdawkowo ją pocałował.

— Jeszcze!

— Jesteś nudna...

— To ty nudny... Wypij jeszcze!

Siemieńcow wypił ze szklanki trochę koniaku. Niezgrabnie trzymał ją w rękę i część płynu wylała się Paulince na suknię. Kobieta porwała się z kolan agenta i zaczęła otrząsać suknię.

— Prze-epra-szam...

— Nic... głupstwo... Ale to trzeba wysuszyć!

Po chwili Paulinka, chwiejąc się na nogach, ściągnęła z siebie suknię i została w bieliźnie. Była naprawdę urocza. Jaś z przyjemnością na nią patrzył, chociaż jej nie lubił i nie szanował. Po chwili Paulinka znów się usadowiła na kolanach agenta. Ten trochę się ożywił. A kobieta wprost płonęła. Zaczęła namiętnie go całować. Potem zsunęła ramiączka koszuli i odsłoniła tors. Miała ładne chociaż duże piersi. Skóra była różowa.

Wkrótce Paulinka zrzuciła z siebie wszystko. Nie wstydziła się zupełnie. Było jej przykro, że Siemieńcow, tak ospale przyjmuje jej pieśszoty. Starła się go podniecić. Była pijana, rozpalona. Lecz podnieciła tylko Jasia, który żarłocznie obserwowował każdy jej ruch. Upajał się kształtami i ruchami kobiecego ciała.

Wtem posłyszał kroki w sieniach. Wracała Nastka. Jaś usiadł na łóżku. Szukał zapalek. Nastka weszła do kuchni i w ciemnościach wycierała trzewiki o słomiankę.

— To ty, Nastka? — spytał Jaś zachrypniętym głosem.

— Tak... Wszystko załatwiłam. Tylko strasznie zmokłam. Deszcz leje i leje...

Jaś zajęty śledzeniem akcji w pokoju Paulinki, nawet nie dostrzegł tego.

Nastka weszła do pokoju Jasia. Rzeczywiście była mokra. Jaś nagle porwał się z łóżka.

— Zdejm to... tobie zimno...

Czuł, że mu serce wali w piersi. Pomagał nerwowo Nastce zdjąć kożuszek. Rzucił go na podłogę i zaczął rozpinać jej bluzkę. Nastka przytrzymała jego dłoń. Wówczas Jaś szarpnął zapięcie i guziki posypały się na podłogę. Jaś szarpał tasiemki spódnicy. Nastka zrozumiała o co chodzi i pomagała mu...

— Ja sama, miły, puść... będzie prędzej...

Ale Jaś nic nie rozumiał. Zdzierał z niej bieliznę. A potem obalił Nastkę na łóżko. Niedoświadczona dziewczyna nie umiała mu pomóc była nieporadna. A Jaś uważał to za opór i ze złością, pośpiesznie starał się ją wziąć. Nastka czuła tylko ból, zagryzła wargi, ale nie opierała się.

Potem Jaś, ciężko dysząc, leżał obok niej.

Nagle poczuł, że Nastka wzięła jego dłoń i pocałowała. Posłyszał jej ciepły, łagodny głos.

— Zmęczyłeś się, miły...

Jaś wyrwał dłoń. Usiadł. Uważnie patrzył jej w oczy. Potem pochylił się i tkliwie, z wdzięcznością, pocałował ją w usta. Po pewnym wahaniu spytała się:

— Czemu mi nie powiedziałaś, żeś jeszcze z nikim nie spała?

Nastka uśmiechnęła się.

— Chciałam ciebie... Żebym nie chciała, to byś mi nie poradził.

Za ścianą rozległy się jakieś dziwne, nienaturalne dźwięki. To wymiotował Siemieńcow. Pierwsze chluśnięcie lepkiej, cuchnącej alkoholem cieczy zalało brzuch i uda siedzącej u niego na kolanach Paulinki.

VI.

BLAT NA CAŁY SWIAT!

Powietrze było nieruchome. Słońce lało ogień na ziemię. Ciężkie, duże, czarne ptaki wisiały w powietrzu. Jakby bez celu. Niebo zatraciło barwę, a pył był lekki, gorący.

Jaś leżał w rowie obok nieznanej mu drogi, która w częstych skrętach biegła w dół i gdzieś się gubiła. Obok niego leżało pięciu towarzyszy wyprawy. Trwali bez ruchu. Warstwa kurzu pokrywała ich ubrania, a nawet twarze. Gdy któryś z nich odwracał ku niemu głowę Jaś widział ciemne, spalone wargi i białka oczu. Obok Jasia leżał starej konstrukcji karabin. Lufa była tak rozpalona, że parzyła ręce. Można było dotykać tylko drewnianej oprawy i kolby. Jasia trochę irytowało ubranie i długie ciężkie buty. Pas, silnie ściśnięty przeszkadzał swobodnie oddychać.

Chłopiec wyczuwał, że oczekiwanie ma pewien cel, lecz nie mógł się domyśleć o co idzie. To go niepokoiło. Jednak trwał nadal bez ruchu i milczał. Upał pozbawiał go sił, a nawet swobody myślenia.

Po pewnym czasie, daleko na horyzoncie, ukazała się lekka mgielka. Narastała, zbliżała się i

rosła w długie pasmo pyłu, kłębiące się i pełzące w ich kierunku. Leżący obok Jasia ludzie chwycili karabiny i jeszcze staranniej ukryli się w rowie.

Smugę kurzu poprzedzały głowy i torsy sześciu czarnych koni. Gnali prędko naprzód, a za nimi toczyła się zakurzona karoca. Gdy konie się zrównały z leżącymi w rowie ludźmi, rozległ się ostry świst i Jaś z towarzyszami wypadli na drogę. Z drugiej strony rowu wyskoczyło jeszcze pięciu uzbrojonych ludzi, których Jaś poprzednio nie widział. Powstał zamęt. Spłoszone konie rzuciły się w bok — do rowu. Wreszcie zatrzymano karocę. Z wewnątrz wyprowadzono mężczyznę, z dużą siwą brodą, w dziwnym czarnym stroju — jakby w todze. Za nim ukazała się śliczna młoda, biało ubrana dziewczyna. Dłonie miała założone na piersi — jak do modlitwy. Duże, piękne oczy były pełne strachu. Z kozła karocy ściągnięto furmana, który sam tylko stawiał rozpaczliwy opór napastnikom. Wszystko to odbyło się bardzo prędko, prawie bez hałasu, bo gruby dywan kurzu tłumiał kroki.

Następnie Jaś z towarzyszami wtoczyli się do karocy. Dwóch usiadło na miejscu furmana, trzech ulokowało się na stopniu z tyłu karocy. Staruszek i furman zostali na drodze. Konie wnet ruszyły naprzód. Pęd ich wzrastał coraz więcej. Karocę trzęsło okropnie. Przechylała się w prawo i w lewo. Rzuciła ludzi w różnych kierunkach. Jaś siedział na tylnej ławce z lewa od dziewczyny. Trzymał ją mocno za ramię, chociaż uciec im nie mogła.

Po dłuższym pędzie — jakby gwałtownej ucieczce — minęli pasma wzgórz i jechali przez za-

rosła. Drogi nie było. O ścianę karocy obijały się gałęzie.

Wkrótce wjechali na małą polankę. Pośrodku jej stał niski, dość duży, ułożony z głazów budynek. Karoca stanęła. Jaś i jeszcze jeden z kolegów, wyprowadzili z niej dziewczynę. Jaś zobaczył, że za nimi wnoszono z karocy spory, okuty miedzianą blachą kuferek. Zrozumiał, że należy do bandy rabusiów, wraz z którą dokonał napadu na karocę i uprowadził dziewczynę. Lecz to go wcale nie zdziwiło. Nie czuł się tu obcy, tylko nie mógł uprzytomnić sobie, co było przedtem, za nim znalazł się ze swoimi towarzyszami w rowie. Nie raził go, ani ich dziwny ubiór, ani starożytny strój i wygląd karocy.

Wkrótce wszyscy znaleźli się we wnętrzu dużej izby. Podłoga była z kamiennych płyt. Środek jej zajmował długi, masywny stół. Dziewczynę posadzono na ławce w kącie pokoju. Było tu dość chłodno i Jaś z przyjemnością oddychał rzeźkim powietrzem.

Koledzy Jasia pracowali z wysiłkiem nad utworzeniem masywnego wieka kuferka. Nie szło im. Wówczas Jaś odtrącił ich i wskazał ruchem dłoni miejsce na stole. Kuferek postawiono na stół. Jaś wyjął z cholewy buta owinięty w strzęp zamszowej skóry szabier. Oстрыm jego końcem odgiął miedzianą listwę wieka w pobliżu zamka. Rozszerzył szparę i wprowadził w nią zagięty pazur szabra. Powolnym, silnym ruchem dźwigni szabra zaczął unosić wieko w górę. Rygle zamka ustąpiły i wieko się otwarło, ukazując oczom obecnych wnętrze kuferka. Były tam różne złote przedmioty i dużo drogocennych kamieni. Wysypano wszystko na stół i zaczęto segregować. Układano osobno złote monety. Osobno bransolety, koleczyki,

pierścienie, naszyjniki. Osobno drogie kamienie, które rzucały tęczę błysków dokoła.

Zaczął się podział łupów. Leżały na stole w jedenastu kupkach. Starano się, aby wartość każdej z nich była równa innym. Jeden z kolegów Jasia, największy wzrostem, potężny drab, związał dziewczynie oczy chustką i dał jej w ręce kapelusz z szerokim rondem, w który wrzucono jedenaście kartek z wypisanymi na nich numerkami od 1 do 11. Takież numery były położone przy różnych kupkach kosztowności. Wszyscy po kolei podchodzili do dziewczyny, a ona podawała im wyjmowane z kapelusza kartki. Jasiowi przypadł numer 7. Znalazł swoją część łupu i zaczął rozpychać po kieszeniach złote przedmioty, monety i drogie kamienie.

Potem rozpoczęto następne losowanie: komu pierwszemu dostanie się dziewczyna. Ułożono na stole 11 pomarańcz. Były duże, prawie równe kształtem i wielkością. Duży drab, którego Jaś uważał za przywódcę bandy, wyjął z gorsu dziewczyny długą, złotą szpilkę, zbliżył się do stołu i wsadził ją w jedną pomarańczę, tak, że z owocu było widać tylko gładką powierzchnię główki szpilki. Pomarańcze włożono też do kapelusza. Miała rozdawać je kolejno zbliżającym się do niej mężczyznom. Ten, który otrzyma pomarańczę ze szpilką, wygra dziewczynę.

Wszystko to odbywało się cicho. Nie padło żadne słowo. Lecz obecni rozumieli się doskonale.

Jaś podszedł do dziewczyny piąty. Poczul, że trąca go noskiem pantofla, jakby chcąc poufnie mu coś zakomunikować. Włożyła mu w dłoń pomarańczę, a potem uściśnięła porozumiewawczo jego rękę. Jaś odszedł na środek izby. Obejrzał pomarańczę. Tkwiła w niej szpilka.

Jaś uniósł w górę owoc. Losowanie było skończone. Duży drab przemierzył izbę i odemknął drzwi do następnej, mniejszej izby. Zdjął opaskę z głowy dziewczyny i pechnął ku niej Jasia. Chłopiec ujął dziewczynę za ramię i poprowadził ze sobą. Zatrzasnął drzwi. Wówczas branka rzuciła się na kolana. Wyrazem twarzy i ruchami ramion wymownie błagała go o litość. Z oczu jej płynęły łzy.

Jaś starał się dać jej do zrozumienia, że nic od niej nie wymaga, że chce tylko dopomóc jej. Łatwo go zrozumiała. Z wdzięcznością rzuciła mu się w ramiona i zaczęła całować jego twarz. Jaś czuł się tym zażenowany i odtrącił ją. Wskazał dłonią okno.

Razem wyleźli na zewnątrz. Było duszno. Pobiegli w kierunku pobliskich zarośli. Jaś kilka razy oglądał się, ale nikt ich nie ścigał. Mimo to czuł, że niebezpieczeństwo jest blisko. Pędzili przez zarośla. Wpadli do lasu. Dziewczyna często się potykała. Wówczas Jaś podawał jej rękę i tak gnali dalej. Znaleźli się nad brzegiem szerokiego, rwącego po kamieniach strumienia. Woda pieniała się, kłębiła, pędziła w dół kamiennym łóżyskiem, lecz szmeru jej Jaś nie słyszał... Byli w połowie rzeki, gdy dziewczyna poślizgnęła się i wpadła do wody. Jaś zdążył pochwyć ją. Uniósł w górę i szedł dalej, niosąc ją w ramionach.

Przeciwny brzeg był stromy i kamienisty. Długo wspinali się na jego szczyt. Jaś wiele razy musiał pomagać swej towarzyszce. Wreszcie wydostali się na równinę. Znowu biegli dalej. Teraz stale trzymali się za ręce.

Słońce zaszło. Niebo zaczęło szarzeć. Robiło się coraz ciemniej. Wtem w dali, z ciemności, zaczęło promieniować światło. Było dziwnie błękit-

nawe. Przybierało na sile — jakby się zbliżało. Po pewnym czasie Jaś zobaczył w górze wielką, bladobłękitną kulę, która promieniowała światło daleko w krąg. Przed nimi się ukazały budynki jakiegoś miasta. W miarę zbliżania się ku niemu kula robiła się coraz większa i Jaś poczuł na ciele ciepło jej promieni. Zrozumiał, że ta olbrzymia kula zastępuje mieszkańcom miasta światło słoneczne i jego ciepło.

Zbliżyli się ku pierwszym domom przedmieścia. W tej chwili z boku wyłoniły się trzy czerwone światła. Rozległ się niski, wibrujący, potężny gwizd. Jaś puścił rękę dziewczyny i stanął bez ruchu. Światła się zbliżały coraz bardziej i obok Jasia przemknął długi, metalowy wąż. Przemknął bez szmeru z ogromną szybkością i znikł. Jaś chciał znów ująć ramię dziewczyny i iść z nią dalej, lecz był sam. Obejrzał się dookoła. Biegł w różnych kierunkach. Pustka. Tylko, dziwnie ukształtowane domy stały ciche, lśniąco, zalane jaszkrawym światłem sztucznego słońca.

Jaś szedł pośpiesznie ulicami. Kroków swych nie słyszał. Miasto było dziwne. Domy pięły się w górę, opadały w dół po sztucznie ułożonych pochylnościach. Wszędzie było mnóstwo kwiatów. Aromat ich silnymi strugami woni wypełniał powietrze. Jaś z rozpaczą w duszy szukał dziewczyny. Wyczuwał, że ona jest w tym mieście. Może tak jak on błąka się ulicami i szuka go.

Miasto wyglądało na wymarłe. Nigdzie ani jednej żywej istoty. Jednak ludzie musieli tu żyć. Ulice były czyste. Kwiaty dopatrzone... Zamierzał wstąpić do jekiegoś domu, lecz wszystkie oddzielone były od ulic wysokimi, żelaznymi ogrodzeniami.

Jaś wyszedł na obszerny plac. Stanowił on za-

pewne centrum miasta, bo właśnie nad nim, wysoko w górze, wisiało sztuczne słońce. Pośrodku placu, na wyniosłym, białym cokole stała jakaś rzeźba. Ściągnęła uwagę chłopca. Jaś przeszedł plac i stanął naprzeciw cokolu. Zobaczył ślicznie wyrzeźbioną nagą kobietę. Wydało mu się po chwili, że postać ta się poruszyła. Potem uwagę jego przykuła jej twarz. „Przecież to rzeźba tamtej dziewczyny!” Jaś zdenerwowany zaczął uważnie się jej przyglądać. „Może jest królowną tego miasta?” Wtem dostrzegł, że na bladej twarzy drgnęły i uniosły się w górę powieki. Na wargach ukazał się uśmiech. „Ależ to ona!”

Jaś podbiegł do cokolu i zaczął się wspinać w górę po śliskim, gładkim kamieniu. Piał się wyżej, znalazł się u nóg dziewczyny. Usiadł. Zobaczył, że ona pochyła się ku niemu, wyciąga ramiona. Radośnie uniosł w górę ręce. Wtem postać dziewczyny zachwiała się, pochyliła i sztywno spadła na niego. Poczul ból i ciężar glazu... Porwał się na nogi...

Stał przestraszony w zupełnej ciemności. Sytuacja się nie zmieniła. Był to tylko sen. Jaś zapalił jedną z kilku ostatnich zapalek i spojrzął na zegarek. Dochodziła godzina 9. Lecz chłopiec nie wiedział, czy jest to noc, czy dzień? Stracił rachubę czasu.

Trzy dni siedział zamknięty w piwnicy i nie mógł się z niej wydostać. Męczyło go pragnienie. Było tu sporo flaszek wina, lecz Jaś nie pił go, bo obawiał się, że pijany uśnie i że zastaną go tu śpiącego. Wreszcie zmęczenie pokonało go i zasnął mocno na dużej kupie kartofli w kącie piwnicy. Był przeziębiony i gorączkował. Może stąd powstał początek snu, w upale jakiegoś dziwnego kraju.

Jaś trafił tu w następujący sposób. Przypadkiem dowiedział się, że przy ulicy Podgórznej w domu nr 28 istnieje bolszewicki klub oficerski i że tamże mieści się kuchnia dla wojskowych wyższych szarż i dygnitarzy cywilnych. W domu tym Niemcy zainstalowali oficerski szpital i odchodząc zostawili prawie wszystko. Nawet dobrze zaopatrzoną piwnicę. Jaś pewnego wieczora poszedł na zwiady. Odszukał według danych mu wskazówek piwnicę. Otworzył wytrychem ciężkie, żelazne drzwi. Przymknął je za sobą i zeszedł w dół. Były tam jeszcze jedne drzwi; drewniane, otwarte. W piwnicy zobaczył sporo skrzynek z winem, worki pszennej mąki. U góry, na drewnianych listwach wisiały szynki i półcie wędzonego boczk. Jaś wziął kilkanaście flaszek wina, jedną szynkę i dwa półcie słoniny. Znów zamknął piwnicę i poszedł ze zdobyczą do domu.

Następnego dnia posłał do więzienia dwie paczki: jedną dla Barana, drugą dla Janka Złotego Zęba. A w kilka dni potem powtórzył eskapadę. Uważał, że trzeba wyzyskać piwnicę, dopóki w niej coś jest. Wiedział, że bolszewicy zapasów nie robią.

Jak poprzednio odemknął wytrychem drzwi, zamknął je za sobą i zeszedł w dół. Wkrótce posłyszał w górze hałas kroków. Ktoś otwierał drzwi kluczem, nie wiedząc, że są otwarte. Jaś słyszał rozmowę w rosyjskim języku. Pośpiesznie szukał kryjówki. Zobaczył kilka długich półek, na których układano jabłka. Owoców było mało. Jaś położył się na ziemię i bokiem wpełzł pod dolną półkę. Zakrywała go całego.

Po schodach zadudniły kroki. Drzwi w dole się uchyliły. Do piwnicy weszli dwaj żołnierze i jakaś kobieta. Rozmawiali po rosyjsku. Nie zo-

rietowali się, że wewnątrz ktoś jest. Żołnierze narabali w wiadra kartofli i marchwi. Kobieta wzięła do kosza jedną szynkę i kilka flaszek wina. Następnie przy nierównym świetle świecy wyszli z piwnicy.

Jaś słyszał jak zamykano drzwi. Wyszedł ze swej kryjówki i podążył schodami w górę. Od razu zorientował się, że jest w pułapce. Drzwi były masywne i z wewnątrz niemożliwe do odrenknięcia. Jaś spróbował wyłamać je szabrem, lecz wkrótce zrozumiał, że to jest niemożliwe. Były wpuszczone głęboko w ceglana, zalana cementem framugę.

Jaś zaczął badać szczegółowo swe więzienie. Otaczały go potężne, ceglane mury. Jedyne małe okienko u góry sączyło trochę światła. Potężna, żelazna sztaba była wpuszczona w mur i zalana cementem, a wyżej — na chodniku — jeszcze jedna, niedostępna, żelazna krata.

Chłopiec zastanawiał się co począć? Mógłby spróbować zrobić wyłom w murze przy drzwiach i kopać tunel, lecz zajęłoby to wiele czasu, a do piwnicy mogli znów przyjść ludzie. Wówczas dostrzegliby, że wewnątrz ktoś jest. Odrzucił tę myśl i postanowił czekać czyjegoś przyjścia do piwnicy i wtedy z niej się wymknąć. Mógł stanąć za drzwiami, a gdy odwiedzający piwnicę wejdą do środka, po cichu wyminąć drzwi i uciec na górę. Jaś zawczasu zdjął z nóg trzewiki, aby nie sprawić hałasu, gdy przyjdzie czas działania.

Mijały godziny... noce... dni... Sytuacja była bez zmian. Przeciwnie — zmieniała się na gorsze. Latarka przestała świecić. Nie było wody do picia, męczyło go pragnienie. Wypalił wszystkie papierosy. Miał tylko trzy zapalki. Chciał spać, lecz bał się, aby nie znaleziono go sennego. Wresz-

cie, po dwóch dniach i trzech nocach oczekiwania, sen go pokonał i chłopiec mocno usnął. Miał sen o dziwnych przygodach w nieznanym kraju i obudził się w piwnicy. Zapałka, przy świetle której zobaczył na zegarku godzinę 9, zgasła. W tejsze sekundzie Jaś zorientował się, że przy drzwiach w górze są ludzie. Może byli tam od dłuższego czasu. Mocowali się z drzwiami. Nie mogli odemknąć kluczem zardzewiałego zamka. Jaś robił to łatwo wytrychem.

Jaś stanął za skleconymi z desek drzwiami i czekał. Trzewiki trzymał w lewej ręce. Szaber mocno ujął prawą dłoń.

Na górze rozlegały się zirytowane głosy. Trzaskał podnoszony w górę i ześlizgujący się rygiel zamku. Wreszcie drzwi otwarto. W dół, tak jak i poprzednio, szła kobieta i dwóch żołnierzy. Jeden z żołnierzy niósł świecę. Jasiowi światło to, po długim pobycie w ciemności, raziło oczy, nawet wówczas, gdy stał w ciemności za drzwiami.

Wszyscy weszli do piwnicy. Żołnierz ze świecą w ręce stał o dwa kroki od Jasia, obrócony plecami do niego. Kobieta i drugi żołnierz zdejmowali z haków półcie słoniny.

Jaś, bez szmeru, bosy wyszedł z za drzwi i, nieostrzeżony, poszedł schodami w górę. Chciał odejść, lecz po chwili wrócił. Obmacywał drzwi. Klucz tkwił w szparze zamku. Jaś wprawnym, szybkim ruchem ręki szarpnął ciężkie drzwi, tak że prawie doszły do framugi. Potem wcisnął je na miejsce i powoli zamknął, tkwiącym w szparze kluczem. Klucz wyjął i schował do kieszeni. Włożył na bosc nogi trzewiki i wyszedł na dziedziniec. Potem udał się ulicą Podgórną w dół, w kierunku mostu przez Świsłocz. Tam wrzucił do wody klucz. Z satysfakcją myślał, że ci co go uwięzili na trzy

dni w piwnicy, też nie prędko i nie łatwo z niej się wydostaną.

Pewnego dnia rano, na chodniku naprzeciw placu przed kościołem Złotogórskim zebrał się tłum ludzi. Śmielsi wchodzili na plac. A niektórzy zbliżali się nawet do kościoła. Na kamiennych stopniach, wiodących do przedsionka kościoła, leżało 5 trupów - mężczyzn. Ubranie na nieboszczykach było nędzne, złachmanione, wygniecione, podarte. Było widać tu i ówdzie wystające strzępy brudnej, szarozółtej, dawno niepranej bielizny. Trzewiki mieli zdarte, od miesięcy nie czyszczone. Wszystko wskazywało na to, że właściciele ubrań i obuwia od dawna byli pozbawieni wolności. Teraz pozbawiono ich życia. Czaszki były wgniecione ciosami twardych narzędzi — łuf, lub kolb karabinowych. Jeden miał oczy wtłoczone w czaszkę; przez oczodoły wylazł zmieszany ze skrzepłą krwią — mózg.

Sponiewierane zwłoki ludzkie leżały w dziwnych pozach na stopniach kościoła. Nie byli tu zabici... Nie było żadnych śladów walki... Przywieziono ich nocą i rozłożono teatralnie. Widowisko grozy!

To Czerezwyczajka pokazała miastu krwawe kły. Mordowano od kilku miesięcy. Mordowano burżujów i socjalistów. Mordowano złodzieją i robotników. Mordowano dorosłych i dzieci. Mordowano winnych i niewinnych. Mordowano potwornie — zdawało się bez sensu. Jednak był w tym cel: zdławić, zmiażdżyć, pozbawić woli strachem. Zahipnotyzować ich makabryczną potwornością męki i śmierci... Bez sądu, bez prawa.

Nie ukrywano aresztowań, nie zatajano rozstrzeliwań w piwnicach Cze-Ki lub w piwnicach

licznych kamienic, gdy w więzieniach miejsce już zabrakło; miało się wrażenie, że ktoś potworny, a tchórzliwy, morduje w krąg wszystkich, kogo zdoła osiągnąć. Że to działają nie ludzie, a krwawe bestie, nie szczędzące człowieka i przejawów życia.

W ten sposób rzucono na miasto widmo strachu. Ludzie wieczorami bali się wyjść z mieszkania na ulice. W dzień przemierzano je bojaźliwie. Spojrzenia były trwożne, głosy przytłumione.

A nocami ulicami miasta krążył potworny „autobus” śmierci: „Czarny Kruk”. Wywożono nim skazańców za miasto i tam rozstrzeliwano. Od pewnego czasu w miejscowej gazecie zaczęły ukazywać się na ostatniej stronie długie spisy zlikwidowanych przez Cze-Ka ludzi. Jeszcze jeden sposób terroru i opanowania miasta, które od dawna było zdławione przez czerwonych — od krwi — władców. Lecz spisy te nie obejmowały wszystkich mordowanych przez bolszewików ludzi. Gazety na to nie wystarczyłyby.

Od pewnego czasu ulubionym miejsce straceń stała się Komarówka. Piwnice miasta nie wystarczały na składy trupów, a grzebać je w mieście było trudno. Więc władze miejskie najhumanitarniejszego ustroju świata, który za cara zwalczał zacięcie — jako hańbę cywilizacji — karę śmierci, znalazły dogodny teren za miastem, obok traktu Borysowskiego. Tam rozsiadła się śmierć i tam ginęło tysiące ludzi.

Czeka — czyli „Czrezwyczajnaja Komisja” do walki z kontrrewolucją, szpiegostwem, bandytyzmem i spekulacją — dziecko polskiego komunisty, na usługach rosyjskich imperialistów, Feliksa Dzierżyńskiego, szalała w krwawym oblężeniu. Lecz sam terror nie wystarczał. Wspaniali

organizatorzy morderstw wiedzieli, że nie gorszym ich sprzymierzeńcem niż śmierć jest głód. Jeżeli z obawy śmierci człowiek może zatracić siłę oporu i obrócić się w szmatę, to głód zmiażdży go za życia, pozbawi sił fizycznych i duchowych, i odda zupełnie we władzę komisarskiej bandy. Głód zmusi wszystkich do uległości absolutnej. Przywiąże do miejsca pracy. Uzależni od małego kawałeczka podłego chleba. Bolszewicy powiedzieli trafnie: „Syty pies nie myśli o gospodarzu. Jemu figle w głowie”.*) i zaczęli organizować głód. Tym chętniej to robili, że jednocześnie osiągnęli duże korzyści. I wkrótce miasto, które w jako centrum walczącej Europy, miało kolosalne zapasy żywności, które w normalnych czasach było słynne z taniości artykułów spożywczych, zaczęło głodować. Wprowadzono kartki żywnościowe na chleb „tylko dla pracujących”. Zorganizowano trzy stołówki w luksusowych dawniej restauracjach. „Tylko dla pracujących”. I wydawano „pracującym” po 150 gramów ciężkiego i mokrego jak glina surogatu chleba, a w stołówkach obiady: Mętna woda — pierwsze danie. Dwa kartofle i dzwonko śledzia — drugie danie. Zmiany były małe. Na przykład: na drugie danie łyżka gryczanej kaszy, w święto — pół jajka na twardo i jeden kartofel.

Głód chwycił miasto za gardło i dusił.

Lecz na ulicach widziało się nie tylko białych, wynędzniałych, zmaltretowanych ludzi. Chodzili po nich zwycięsko syci, uśmiechnięci, pewni siebie panowie. Stanowili elitę rządzącą miastem. Dla nich istniały liczne knajpy, lupanary, domy

*) Sytąja sobaka nie dumaiet o choziainie. Jej szutoczki na umie.

gry. Oni byli panami sytuacji. Większość ich napłynęła z centralnej Rosji i zajęła różne stanowiska.

Ścigano i tępiono złodziejów. Lecz nigdy miasta nie ogarniała taka fala przestępstw jak teraz. Kradzieże, rabunek w mieszkaniach i na ulicach, malwersacje, stały się właściwą cechą czasów. Jeden ze złodziei scharakteryzował to co się działo w Mińsku w 1919 roku, słowami: „Błat na cały świat”! Jednak byli to nie blatni, a sfora hien, bez skrupułów i ludzkich uczuć, która mordowała dla przyjemności mordu, okradała nędzarzy, gwałciła, katowała bezbronnych. Taki „błat” ogarnął całą Rosję i przelewał się poza jej granice. W sklepach nic nie było, ale „na blat” można było kupić wszystko. Za „grube” pieniądze zwalniano z więzień nawet skazanych na karę śmierci. Tylko trzeba było trafić do odpowiedniego dygnitarza.

Terror, który padł na miasto, wyostrzył czujność zawodowych złodziei. Ich nie ogarnęło przerażenie. Prowadzili dalej swoją robotę i sprytnie lawirowali w ogólnym zamęciu. Tylko, jeśli dawniej blatny nie brał „spluwy” na robotę z zasady i uchylał się od walki, to teraz chłopaki nawet na drobną kradzież szli uzbrojeni, zdecydowani nie dać się żywcem w ręce bolszewików.

Gdyby istniała statystyka przestępstw, dokonanych na terenie Mińska w miesiącu kwietniu 1918 roku — gdy w mieście byli Niemcy — i w kwietniu 1919 roku — gdy miastem rządzili bolszewicy, to stosunek przestępstw w roku 1918, do roku 1919 byłby nie mniejszy jak 1 : 100. To dla mnie pewne. Bo poprzednio kradli przeważnie zawodowi złodzieje i trochę dyletanci; a teraz kradli i rabowali bolszewiccy żołnierze, oficerowie,

urzednicy, agencji policji, milicjonery. Złodzieje natomiast mniej kradli u zubożonych obywateli, a przerzucili się raczej na rządowe instytucje, kooperatywy, składy, koleje, dworce i... władców miasta. U nich mogli liczyć na zdobycz. Jednocześnie zjadliwie wyszydiali nowych panów miasta:

Idzie komisarz na wojnę, za plecami worki.

W jednym denatur*) do picia, w drugim pud
machorki.

Wyszydiali „Międzynarodówkę”, w najrozmaitszy sposób ją trawestując:

Przeklęty powstań ludu ziemi;
Głodzonych durniów cały świat!
W sowieckim kotle obierzyny,
W sowieckim barszczu koński gnat!

I toczyło się, niezwyciężone, filuterne, czerwone „Jablusko”.

Tak trwała beznadziejna walka. Obywatele kurczyli się, zapadali w swe nory, starali się ujść oczom władz, ocalić życie za wszelką cenę. Złodzieje ostrożnie wybierali meliny; na „robotę” nie szli pojedynczo, lecz co najmniej po dwóch. Co raz częściej posługiwali się bronią, bo wiedzieli, że w razie wyspy czeka ich śmierć.

I tak w starym, cichym, prowincjonalnym mieście, któremu wojna nadała szczególne znaczenie, rewolucja rosyjska stworzyła ohydną mordownię ludzi, — a jej faworyci wyrzucili w górę dumny transparent: „Błat na cały świat!”.

*) Skażony spirytus.

VII.

GDZIE DIABEL NIE MOŻE...

Ażur był znany i w Gorispolkomie, i w Rewtrybunale, i w Urzędzie Śledczym, i w milicji, i na poczcie, i w wielu innych urzędach miasta. Stał się dostawcą papieru, atramentu i materiałów piśmiennych. Stał się potrzebnym i szanowanym przez wszystkie instytucje przedsiębiorcą.

Miasto Mińsk, od wiosny 1919 roku, było wyspą. Zabrakło chleba, soli, papieru. Urzędy i dygnitarze radzili sobie jakoś, a że ludność cierpiała głód — mało ich to wzruszało. Lecz przy potężnie rozbudowanym aparacie biurokratycznym, nie można było się obejść bez papieru, atramentu i materiałów piśmiennych. Ażur zorientował się w sytuacji i postanowił ją wykorzystać. Nie w celu zysku, lecz aby dobrze się zakonspirować i ochronić Marysię od tej burzy, która szalała po mieście.

Pewnego dnia zgłosił się do prezesa Gorispolkomu. Oświadczył mu, że jest kupcem z Warszawy, którego wojna zastała w Mińsku. Że pracował w branży papierniczej, że ma stosunki w hurtowniach na południu Rosji i mógłby obecnie do-

starczać papier i materiały piśmienne dla wszystkich urzędów miasta.

Prezes Gorispołkomu był mile tym zdziwiony. Od dawna dokuczała mu kwestia braku papieru. Wyjątkowe oszczędności mało skutkowały. Między nim, a Ażurem odbyła się taka rozmowa:

— A w jaki sposób, obywatelu, zamierzacie sprowadzić do Mińska papier? Przecież południe Rosji mamy odcięte.

— Jeśli mi dacie nadzwyczajne pełnomocnictwa, dostarczę papier drogą okrężną. Skieruję transport na wschód, potem na północ, następnie, przez Mohylew, lub nawet Wiaźnę, dostarczę tu. O kupno papieru mi łatwo, bo pracując w tej branży znam wszystkie źródła na południu Rosji. Nie zamierzam dużo na tym zarabiać. Chcę po prostu z tego żyć, być pożytecznym władzom i pracować w swoim zawodzie.

— Więc co wam potrzebne, aby tę sprawę zrealizować?

— Pierwsze: zezwolenie na wyłączny handel papierem i materiałami piśmieniowymi na terenie Mińska. Drugie: pełnomocnictwa na zakup i przewóz towaru do miasta. Trzecie: umowa z wydziałem handlowym Gorispołkomu, na mocy której będzie ustalony sposób rozrachunku. Czwarte: zaliczka. Możliwie większa suma, abym mógł nabyć większą ilość towaru.

— A jaką gwarancję mamy, że obywatel po otrzymaniu zaliczki w ogóle nie zniknie.

— Gwarancji materialnych dać nie mogę. Jestem kupcem, mam na to dowody. Jeśli nie macie zaufania, aby dać mi większą zaliczkę, to będę musiał własnym kosztem sprowadzać małe partie towaru — gdyż nie posiadam dużych pieniędzy. — To zwiększy koszt i może stworzyć przer-

wy w dostawach. Danie mi zaliczki leży w waszym interesie. Stawiam sprawę otwarcie i sędzę, że zasługuję na zaufanie. Ryzyko z waszej strony małe — tylko pewna suma pieniężna; natomiast mogę was zwolnić od trudności w nabywaniu papieru. Już zawarłem spółkę z dawną właścicielką sklepu materiałów piśmiennych. Potrzebny mi jest odpowiednio urządzony skład i sklep. Może my nawet dziś dostarczyć wam sporą ilość towaru, zanim nie sprowadzę następnej partii. Tylko poproszę o poświadczenie na imię Marii Zapolskiej, że sklep pracuje na użytek władz miejskich i jest wolny od rekwizycji i podatków.

— Dobrze — rzekł prezes Gorispołkomu. — Przyjmuję waszą propozycję i jeszcze dziś zwołuję konferencję dla ustalenia szczegółów. Proszę się zgłosić do mnie jutro o godz. 10 dla ostatecznego załatwienia sprawy.

Ażur dawno porzuciłby Mińsk, bo wiedział, że przyszłość miasta i jego obywatele nie zapowiada się różowo. Lecz miał sentyment dla miasta, w którym, po kilkudziesięciu latach tułaczki, znalazł kochaną kobietę i wraz z nią sens życia. Mógłby wyjechać z miasta i ruszyć w świat by szukać lepszego azylu dla siebie i Zapolskiej, lecz nie chciał narazić jej na niebezpieczeństwa. Poza tym miał tu punkt oparcia dla niej i dla siebie. Więc teraz starał się przezornie umocnić swoją pozycję i zabezpieczyć się przed każdym ciosem.

Nazajutrz, o 10 rano, zgłosił się do prezesa Gorispołkomu. Był przyjęty bardzo mile i dowiedział się, że propozycja jego jest zaaprobowana we wszystkich punktach. Poza tym udzielono mu zwrotnej pożyczki w sumie 5 milionów rubli. Nie było to dużo. Ażur spodziewał się otrzymać około 20 milionów, lecz i z tym można było zacząć pra-

cę. Najwięcej go cieszyły: „order” na nietykalność sklepu, należącego do obywatelki Marii Zapolskiej, delegacja z ramienia Gorispolkomu w celu zakupu papieru w dowolnym punkcie Rosji, oraz legitymacja, dająca mu uprawnienia do korzystania z opieki i pomocy wszelkich władz cywilnych i wojskowych.

Ażur poczuł mocny grunt pod nogami. Tegoż dnia, wykorzystując ukryte zapasy papieru i materiałów piśmiennych w sklepie Zapolskiej, dostarczył sporą ich ilość do Wydziału Zaopatrzenia przy Gorispolkomie. Nazajutrz pojechał do Charkowa. Stamtąd musiał jechać do Saratowa. Przeszkodziła mu wojna domowa na terenie Ukrainy. Jednak po 4 tygodniach wrócił do Mińska i sprowadził dwa wagony papieru. Obdzielił nim wszystkie instytucje miasta i miał duży zapas, który przypuszczalnie mógł wystarczyć mu na 2 — 3 miesiące.

Władze nie wiedziały, że Ażur — korzystając z dużych uprawnień — papier prosto zarekwizował w jednym z miast wschodniej Rosji. Był w porządku, bo wpłacił na rzecz skarbu należną sumę. Lecz suma ta, w stosunku do właściwej wartości towaru była śmiesznie mała. W ten sposób Ażur zabezpieczył Zapolską i jej sklep od rekwizycji, sobie stworzył dobrą pozycję, a na dodatek dobrze na tym zarobił.

Pewnego dnia, wieczorem, Ażur siedział w mieszkaniu Marysi. Kobieta zmywała naczynia po herbacie. Ażur cichutko gwizdał. Patrzył w jakiś punkt na ścianie i mrużył oczy. Marysia zbliżyła się do niego. Zaczęła głaskać dłonią jego włosy.

— O czym ty myślisz?

— Zawsze o jednym...

— O czym?

— O tobie... Jak znaleźć dla ciebie najbezpieczniejsze miejsce? Jak dać ci najwięcej wygody? Jak zapewnić ci szczęście?

— Ależ ja to wszystko mam. Mam to wraz z tobą. Niczego się nie boję, niczego nie potrzebuję, kiedy jesteś ze mną. Przestań o to się troszczyć. Mnie naprawdę jest dobrze. Tak wierzę w nasze szczęście, że żadna zła myśl nie przychodzi mi do głowy.

W tym momencie rozległ się warkot motoru i na dziedziniec wjechało auto. Hałas motoru i zatrzymanie się auta zwykle przerażało mieszkańców domów. Nie wróżyło nic dobrego. Ażur właściwie nie miał czego się bać jednak powodowany ciekawością zgasił światło w pokoju i podniósł zasłonę u okna. Obserwował dziedziniec. Zobaczył przy świetle latarni duże, ładne auto. Wysiadł z niego jakiś mężczyzna i świecąc latarką elektryczną, szedł podwórzem w kierunku korytarza, na który prowadziły kuchenne drzwi z mieszkania Zapolskiej. Ażur nie wiedział dokąd się skierował ów mężczyzna, bo na korytarz wychodziły drzwi jeszcze jednego mieszkania na parterze i sześciu mieszkań na piętrach. Ażur posłyszał pukanie klamką u drzwi kuchennych. Zapolska zbladła. Ażur spojrzał na nią:

— Nie się nie bój Marysiu!

Wyszedł do kuchni. Wziął w zęby latarkę, a z tylnej kieszeni spodni wyjął pistolet. Odbezpieczył go. Lewą ręką zdjął mocny hak i odemknął kluczem zamek. Otworzył szeroko drzwi i stanął nieco z boku.

— Do kogo?

W smudze światła latarki ukazała się wysoka,

elegancka postać Filipa Łysego. Ażur w pierwszej chwili go nie poznał.

— Ja w sprawie zakupu większej ilości papieru dla mego urzędu i tak dalej...

Ażur się uśmiechnął.

— Proszę.

Filip wszedł do kuchni, zdjął kalosze i palto, potem udał się stołowego pokoju. Tam przywitał się z Ażurem.

— To moja żona — rzekł Ażur.

Filip pocałował Marysię w rękę i powiedział uroczyście:

— Delegat Centralnego Komitetu, Azja.

Ażur roześmiał się. Było to u niego bardzo rzadkie.

— A to — rzekł — córka japońskiego cesarza, Europa. Ale jak żeś mnie znalazł?

— Żaba mi wskazał. Mam ważny interes.

Spojrzał na Marysię. Ażur zrozumiał go.

Możesz mówić wszystko. Nic przed nią nie ukrywam. Ale skąd masz to auto?

Filip wypiął pierś i wydał policzki.

— Zarekwirowałem komendantowi miasta. Jeśli potrzebne będzie, proszę korzystać i tak dalej.

Ażur znowu się uśmiechnął. Ubawiła go bufonada Filipa. Osobiście znał go mało lecz od Żaby, swego przyjaciela z gruntu warszawskiego, miał taką jego charakterystykę:

— ...W robocie pierwsza klasa! Chłop żelazny, charakterny... tylko błagier... Ale to nikomu nie szkodzi...

Ażur wiedział, że Filip wraz z Żabą siedział w Orle, że razem z Jankiem Złotym Zębem był w archangielskich Aresztanckich Rotach, że był na zesłaniu, że siedział dwa razy w Wilnie z Mongołem. Ale to nie stanowiło jeszcze o jego kwalifi-

kacjach. Dopiero opinia dobrego blatnego na robotach, wydana mu przez wielu firmowych chłopaków, podnosiła jego wartość w oczach Ażura.

— Ty tu autem nie przyjeżdżaj, bo narobisz mi szochru. Szofer przecież nie blatny.

— Ale głupi jak pień i tak dalej. Jeżdżę nim jak koniem. Ja ich tu wszystkich trzymam! — Filip zacisnął dłoń w pięść. — Zechcę, to rozpedzę wszystkich!

Filip z ukosa zerkał ku Zapolskiej. Ale nie wywarł żadnego efektu.

— Jaka masz sprawę?

Filip zaczął opowiadać o powodzie swych odwiedzin. Przysłał go Żaba, któremu przyniesiono gryps z więzienia od Barana. Gryps był skierowany do Żaby, Ażura i Filipa. Baran pisał, raczej podyktował komuś umięjącemu pisać:

„Chłopaki! Dziękuję za pomoc. Wszystkie paczki dostałem. Ale sprawa moja marna. Pewnie oddadzą pod sąd Kolegii. Naradźcie się co zrobić? Plitować nie ma jak. A tylu chłopaków już wywieźli na Komarówkę! Może i mnie zaraz wezmą. Tylko na was liczę. Mam na wolności blit. Może dacie „charbar” tym z Kolegii, żeby moją sprawę przekazali do Rewtrybunału, albo pod Sąd Ludowy. Wtedy będzie czas na wszystko. Nie żałujcie sarmaku. Naradźcie się z Ażurem, Żabą, Filipem, Paniczem. Do widzenia wszystkim i proszę śpieszyć”.

Ażur przeczytał zgnieciony, niewyraźnie napisany gryps i milczał. Myślał. Filip zaczął mówić:

— Ja bym mógł sam go uwolnić. Ale potem będzie poruta i tak dalej...

Trzeba rzucać miasto...

— W jaki sposób?

— Przyjadę do Czeki i zarządzam spisem aresztowanych. Każę ich przyprowadzać po kilku. Niby będę badał sprawy i tak dalej. Wywołam i Mongoła. Jak nie można inaczej, to jemu dam komin, sam wezmę, kogo trzeba: w łeb. Siądziemy w auto i tak dalej...

— Ażur patrzył mu w oczy. Zorientował się, że rzeczywiście to zrobi. Lecz plan był chaotyczny. Nie widział wyraźnie możliwości jego realizacji. Natomiast samemu przyszedł do głowy inny pomysł.

— Czy naprawdę będziesz mógł w każdej chwili dać mi auto?

Filip machnął pięścią w pierś, aż zadudniło.

— Pod chajrem!

— Dobra jest. Idź zaraz do Żaby i powiedz, że by jutro rano o 9-ej był w domu. Czy wiesz gdzie mieszka Tośka Sroka?

— Wiem.

— Zbierzcie się rano u Żaby. Jego melina na Wesolej?

— Tak.

— Tam się naradzimy. Moim sposobem wyrwiemy najpewniej Mongoła z ciupy.

Koledzy pożegnali się i wkrótce na dziedzińcu rozległ się warkot motoru. Filip Łysy odjechał. Zapolska podeszła do Ażura i pochyliła się nad nim.

— Janku! Ja tak się boję o ciebie.

Ażur się uśmiechnął.

— Nic się nie bój! Ja ciebie nawet Śmierci nie oddam. A mnie, dopóki jestem tobie potrzebny i diabeł nie weźmie!

Tośka Sroka, jak zwykle elegancka, trochę za

jaskrawo ubrana, chodziła ulicą Sierpuchowską tam i z powrotem. Pogoda była zła, lecz Sroka wytrwale obserwowała furtkę w bramie więziennej. Za każdym jej trzaśnięciem oglądała uważnie wychodzących z więzienia ludzi. Miała do spełnienia ważną misję i była dumna, że właśnie jej zlecono wykonanie tego zadania.

Po dłuższym czasie z furtki więziennej wyszedł krępy, barczysty mężczyzna, lat około 50. Miał szarą pełną krost twarz, małe złe oczy i masywną dolną szczękę. Był to felczer więzienny. Gdy przyszli bolszewicy lekarza zwolniono ze stanowiska i on zajął jego miejsce. Nie dbał wcale o więźniów: Zresztą gdyby nawet chciał to zrobić, nie miał żadnych lekarstw. Jednak zdarzały się skaleczenia u więźniów. Były wypadki śmierci lub tyfusu. Wówczas felczer izolował chorych więźniów przy ulicy Gruszeńskiej.

Gdy felczer oddalił się od więzienia postąpił z tyłu pośpieszne kroki. Tośka zrównała się z nim.

— Przepraszam bardzo pana doktora!

Felczer, zdumiony, spojrział na elegancką dziewczynę, która obdarzyła go najpiękniejszym swym uśmiechem.

— Co takiego?

— Chcę z panem doktorem trochę się przejść i pomówić. Chyba nie krępuje się pan moim towarzystwem. Czy pan pali?

— Hm... Palę...

Tośka Sroka wyjęła z torebki paczkę niemieckich papierosów.

— Proszę bardzo.

Sroka zostawiła mu w rękach pudełko.

— Poszę palić. Ja na ulicy nie palę. Jeśli pan pozwoli zapalę w mieszkaniu, bo ja, panie dokto-

rze, mam do pana ogromnie ważną sprawę, od której zależy moje życie.

Tośce w oczach ukazały się łzy, które zaczęła wycierać kolorową chusteczką. — Tylko pan doktor może mnie poratować. Ale nie mogę o tym mówić na ulicy, bo zaraz się rozbeczę i ludzie pomyślą Bóg wie co... Czy pan doktor może mnie przyjąć u siebie. Będę ogromnie wdzięczna.

Tośka była zalotna. Pachniała perfumami jak egzotyczny kwiat. Lśniła oczami. I mówiła bez przerwy. Od czasu do czasu wycierała chusteczką łezki z oczu.

Wreszcie przyszli do mieszkania felczera przy ulicy Kołomieńskiej. Miał tam dwa zarekwirowane pokoje. Tośka zdjęła palto, kapelusz i w zgrabnej kusej sukience wstąpiła do pokoju „doktora”. Usiadła na kanapie tak sprytnie, że było widać zgrabne nogi w jedwabnych pończoszках daleko po za kolana.

Felczer mówił po rosyjsku. Był właściwie felczerem weterynarii, lecz w wojsku bolszewickim przydzielono go do leczenia ludzi. A gdy znalazł się w Mińsku, uzyskał posadę felczera więziennego. Tośka swobodnie władała językiem rosyjskim, więc rozmowa toczyła się gładko.

Mężczyzna z widocznym apetytem — sprytnie zagrzewanym przez cwana doliniarkę — spoglądał na Srokę.

— Panie doktorze, kochany — Tośka złożyła dłonie na piersi i błagalnie patrzyła w oczy felczerowi — Niech pan mnie ratuje! Dam panu co pan chce. Mam sporo pieniędzy. Moja mamusia miała w Homlu sklep galanteryjny. Mam złoty zegarek. Pamiątka po tatusiu. Niech tylko pan da możliwość nam się widywać.

— Nie rozumiem o co chodzi?

— Chodzi o to. Mam narzeczonego. Trochę pijak, trochę niespokojny, ale złote serce. Szewc z zawodu. Ale to nic. Bo tak strasznie mnie kocha. Nogi mi całował.

— Nie dziwnego — mruknął felczer.

— ...I jego właśnie przed kilku miesiącami areztowali. Poszedł do znajomych. Może byli łobuzy. A mój Olek tak lubi pić. Byle z kim, byle gdzie...

— Wiadomo szewc...

— Ale dobry szewc, panie doktorze. Proszę zobaczyć pantofelki.

I Tośka, wstając z miejsca, zademonstrowała obuwie z tyłu i przodu, jednocześnie zupełnie niekonsekwentnie unosząc spódniczkę, bo przecież o majtkach mowy nie było.

— Dobrze, dobrze — mruknął felczer. — Ale cóż ja na to poradzę?

— Jak to co! — zdumiała się Sroka. — Pan doktor ma przecież taką władzę, że może go jako chorego wysłać z tego podłego więzienia do szpitala na Gruszewską. Mnie taka szkoda mego biednego Oluśka.

I Tośka zaczęła płakać.

— Felczer się zastanawiał i mierzył oczami Tośkę. A dziewczyna przestała płakać i znów zaczęła trajkotać.

— Ja już wypytywałam. Na Gruszewską można co dzień posyłać obiady. Dwa razy w tygodniu osobiste widzenie, a nie przez siatki, jak na Sierpuchowskiej. I mój Oluś naprawdę taki strasznie chory!

— Co mu jest?

— Żołądek go boli... i reumatyzm też... i serce... cały biedactwo chory. Oj, jaki strasznie chory! A jak nie wytrzyma, to i ja umrę! Może pan pozwoli wody?

Felczer przyniósł kubek wody. Tośka wypita trochę i niby ślaniając się na nogach oparła się o felczera, a głowę położyła mu na ramieniu. Przy tym pochlipywała, coraz ciaśniej lgnąc ciałem do felczera. Tamtem był naprawdę skonsternowany i nie wiedział co począć. A Tośka osuwała mu się na ręce. Więc poprowadził dziewczynę do tapczanu i usiadł obok. Tośka, płacząc, wyjęła z torebki złoty męski zegarek i wsadziła w ręce felczerowi.

— Ma pan to na pamiętkę. Mnie mój Olus jest droższy od wszystkiego. Poza tym obiecuję dać panu, jak tylko Olusia przeprowadzą na Gruszewską 10.000 rubli. Więcej teraz nie mogę. Chyba potem. Dobrze panie doktorze? — Tośka ujęła jego dłonie i tak zalotnie patrzyła w oczy. Felczer objął ją w pól.

— A więcej nie mi pani nie da?

Tośka uniosła w górę brwi.

— A co by pan jeszcze chciał?

— To, co mężczyźna może chcieć od tak ładnej kobiety.

— Rozumien panie doktorze. Ale to niemożliwe. Pan, jako doktor, wie... Jestem w trzecim miesiącu ciąży i doktor zabronił. Dlatego właśnie mnie zależy na moim Olku, bo jakże dziecko zostawić bez ojca. Ale jest na to rada. Ja mam siostrę. Młodsza ode mnie o dwa lata. Piękna jak róża. Ona dla mego szczęścia i Olusia na wszystko gotowa. Zresztą pan doktor taki przystojny mężczyzna, że każda by chętnie się zgodziła. Więc ja tak urządzę, że jeszcze dziś przyjdzie do pana na całą noc. Ona taka gorąca dziewczyna, że tylko się ucieszy. A mnie naprawdę nie wolno. Dobrze panie doktorze?

— No, dobrze.

— A Olusia pan prześle na Gruszewską?

— Jutro tam będzie.

— Na „pe”?

— To dla mnie głupstwo. Co ja rozkażę, to będzie zrobione!

— Ach, jaki doktor miły! Ja od razu, jak tylko zobaczyłam doktora zrozumiałam, że to najlepszy człowiek na świecie, i jak do brata do pana doktora. Ogromnie dziękuję. Więc dziś wieczorem przyjdę do pana z siostrą. Będzie pan zadowolony. Bo ze mnie mała pociecha.

Rzeczywiście wieczorem, o godzinie 9-ej, Tośka znów przyszła do felczera w towarzystwie pensjonariuszki jednego z domów publicznych na Nowokrasnej. Nazywała się Tańka Diabeł. Miała przeszło 20 lat, lecz wyglądała na 15. Malutka, filigranowa, o dużych czarnych oczach i śniadej cerze... Trzeźwa była zwykle potulna i miła, lecz gdy podpiła, lubiła się bić i awanturować, stąd przezwisko: Diabeł. Zresztą czarne włosy, oczy i brwi, usprawiedliwiały to imię. Tańka była trochę blatna, bo przez pewien czas miała kochanka złodzieja, który teraz siedział w więzieniu. Do odegrania roli siostry Sroki przeznaczył ją Filip Łysy, którego znały i ubóstwiały prawie wszystkie dziewczynki na Nowokrasnej. Filip długo instruował Tańkę, jak się ma zachowywać z felczerelem. Sprytna dziewczyna w lot zorientowała się w sytuacji.

— Ja go o tak okręcę! — zrobiła wymowny gest prawą ręką koło wskazującego palca lewej.

— Pamiętaj Tańka, że uratujesz nam złotego chłopaka!

— Dobrze, dobrze...

— Nad wieczór Tośka pomogła Tańce się ubrać do występu. Zaplotła jej gładko uczesane włosy, rozdzielone przedziałem przez środek głowy w gruby warkocz. Tańka włożyła, wydobyta

skądś przez Srokę suknię gimnazistki i czarny fartuszek. Na nogi włożyła wysokie trzewiki i grube niciane pończochy. Bieliznę miała zwykłą, taną. Ani pudru, ani pomadki, ani perfum. Kiedy Tańka była gotowa do występu, Tośka obejrzała ją i wybuchnęła śmiechem.

— Toż ty wyglądasz na 13-letnią dryzdę!

— Co pani mówi? — Tańka zaokrągliła oczy i przyłożyła paluszek do kącika warg. A jednocześnie zrobiła zabójcze „oko”. A po chwili stanęła na rękach.

— Naprawdę diabeł! — zawyrokowała Tośka. — Tylko uważaj, żeby nie zblamować się, bo ci chłopaki nie darują!

Tańka w odpowiedzi wywalila język i podniosła sukienkę.

— Wariatka!

— Ale nie głupia.

Felczer ze zdumieniem patrzył na siostrę Tośki. Nie był pewien, czy to o niej mówiła jego dziwna pacjentka. Tańka „nieśmiało” podała mu rękę i zrobiła lekki dyg. Mężczyzna był zakłopotany. Tośka wyjęła z torebki małą flaszkę koniaku i zaproponowała wypicie. Kieliszków felczer nie miał. A szklanka była tylko jedna. Po chwili przypomniał sobie, że ma bańki dla chorych. Więc nalano koniaku do baniek. Tośka powiedziała uroczyście:

— Za zdrowie mego kochanego Olusia!

Felczer i Tośka wypili. Tania nie ruszyła „kieliszka”.

— A panieka? — spytał felczer.

— Ja nie piję.

— Z nami nie pijesz — rzekła Tośka, — a ze swoimi smarkaczami z gimnazjum chlejesz wodę, jak mleko. Wypij kieliszek!

— Ja się boję!

— Nic się nie bój. Jak ja pozwalam, to pij!

— A mama co powie?

— Sama niedługo mamą będziesz.

— Tańka wypija i udala, że się zakrztusiła.

Zwróciła się do felczera:

— Kiedy ja naprawdę wolę cukierki.

— Ja zaraz kupię. Znam takie miejsce.

— Ależ nie trzeba — hamowała go Tośka. —

Szkoda pieniędzy.

— Dla takiej ślicznej panienki niczego nie szkoda!

I felczer opuścił pokój. Tańka zerwała się z miejsca i wypięła tyłek w kierunku drzwi. A gdy felczer wrócił, znów skromniutko siedziała przy stole na brzegu krzesła. Felczer z „galanterią” wysypał przed nią na stół kilogramową torbę cukierków.

— Ach, jaki pan dobry! Mnie nikt tyle cukierków nie kupił. Czy to wszystko dla mnie?

— Naturalnie.

— Ogromnie panu dziękuję!

Wtrąciła się Tośka.

— Mówiłam ci, że pan doktor to cudowny człowiek, a ty się bałaś!

— Bo nie wiedziałam, że to doktor i że taki dobry. Aż mnie w głowie kołuje.

Tańka udawała, że łapczywie je cukierki. A Tośka porozumiewawczo uśmiechnęła się do felczera i nalala znów bańki koniakiem.

— Wypij, Taniu, jeszcze, ażeby było weselej.

— Zdrowie ślicznej panienki — wygłosił felczer wstając z miejsca.

— Ależ ja będę zupełnie pijana — protestowała Tania.

Lecz po krótkim krygowaniu się wypija. Po wy-

próżnieniu flaszki koniaku Tośka wstała.

— Na mnie już czas do domu. A ty zostań z doktorem. Mamie powiem, że śpisz u koleżanki.

— Ja się wstydzę. Co doktor o mnie pomyśli?

— Przestań. Doktor taki miły. Obiecał^o przesłać do szpitala Olka. Trzeba i jemu zrobić przyjemność. Po prostu robisz to na moją prośbę. Do widzenia.

Felczer wyszedł by odprowadzić Tośkę, która w korytarzu powiedziała mu cicho:

— Niech się pan nie krępuje. Ona już miała przyjaciela z którym spała. Też gimnazista. Potem gdzieś wyjechał i nie wrócił. A dziewczynka pali się do mężczyzn, tak jak i ja, tylko się wstydzi.

Tośka łaskawie poklepała felczera po policzku i na odchodnym rzuciła:

— Ufam pańskiemu słowu, że Olka prześlą na Gruszewska.

— Jutro będzie w szpitalu!

Gdy felczer wrócił do pokoju, Tańka Diabeł leżała na kanapie. Obróciła ku niemu twarz:

— Panie doktorze, kochany, mnie strasznie w głowie kołuje... i wszystko takie śmieszne... a dlaczego pan ma dwie głowy?

— To głupstwo. Przejdzie. Trzeba się przespać.

— Ale ja taka pijana! Wszystko lata. Ja i wstać nie mogę.

Tańka spróbowała usiąść, potem wstać i bezradnie klapnęła na podłogę. Felczer podbiegł ku niej i zaczął podnosić. Ona się śmiała.

— Ależ pan mnie łaskocze!

A felczer pomagał jej się rozebrać. Strasznie się przy tym spocił. Zglupiał z nią całkiem. A Tańka cudownie grała swą rolę. Zaczęła kaprysić. Było jej gorąco, niewygodnie. Potem zimno. Chciała wody. To cukierków. Potem oświadczyła, że może

z nią się położyć. Ale więcej nie, ani — nie! Potem pozwoliła pocałować w szyjkę...

A rano spotkała ją niespodzianka, na którą nigdy nie liczyła i która zaskoczyła ją naprawdę.

Felczer oświadczył się jej i prosił by wyszła za niego za mąż.

Tańce od śmiechu zaczęły łzy napływać do oczu. Lecz się opanowała i powiedziała:

— Ja powiem mamie! Proszę wyjść z pokoju, bo ja chcę się ubrać.

— W tej chwili. Przepraszam.

Później odprowadził Tańkę do drzwi jak królową.

Jeśli Tańka Diabeł była zdziwiona jego propozycją małżeństwa, aż do łez napływających do oczu, ze śmiechu, to felczer za kilka dni miał powód do zdumienia. Skonstatował, że zachorował na rzeżączkę. Lecz wcale nie miał chęci do śmiechu. Przeciwnie.

VIII.

DWIE WYDRY

Paulinka naprawdę zakochała się w agencie. Wszystko w nim było dla niej piękne. Każde słowo mądre. Każde jego życzenie spełniała natychmiast. Nawet starała się zgadywać je i uprzedzać. Siemieńcow przyjmował oznaki jej czułości obojętnie, prawie zimno. To jeszcze więcej ją zapalało. Zdobywała swe bóstwo pokorą i usłużnością.

Pewnego razu Paulinka zaproponowała Siemieńcowowi by u niej zamieszkał.

— Jestem zupełnie samotna, mówiła — mnie przykro tak żyć.

Agent stanowczo się sprzeciwił.

— Moja droga! Nie zamierzam mieszkać w takiej dziurze. Tu nawet pokoju dla mnie nie ma. Ani łazienki. Ani wygódki. To może być dobre dla ciebie. Wynajmij porządne mieszkanie. Wówczas pomówimy o tym. Ale tobie szkoda pieniędzy!

— Kostku kachany. Nic mi dla ciebie nie szkoda. Tylko po co tak zaraz. Ja jeszcze potarguję. Zarobię więcej pieniędzy. A wówczas można przemieścić się gdzie indziej. Im więcej będziemy mieli gotówki, tym łatwiej będzie nam żyć. Ty się nie

gniewaj, ale pensja twoja taka mała, że jej i dla ciebie nie wystarcza.

— Proszę o to się nie troszczyć. Dawałem sobie radę bez ciebie też.

— Po co ty się gniewasz? Ja z dobrego serca.

Paulinka kupowała dla swego kochanka drogie rzeczy. Starala się zdobyć jego serce troskliwością. Lecz nie bardzo jej się to udawało. Agent był zawsze zimny, rozsądny, obojętny. Pewnego dnia zaprosiła go na kolację. To znaczy — na noc. A gdy po obficie zakropionej alkoholem uczcie byli w łóżku, Paulinka zaczęła mówić:

— Wiesz co, kochanie? Ja dziś obliczyłam swoje pieniądze. Mam przeszło pół miliona. Sklep kosztuje drugie pół miliona. Poza tym mam dużo złotych rzeczy, dobrych ubrań i bielizny. Zamierzam jeszcze zarobić. Ale jeśli ty chcesz, to rzucę sklep, wynajmę inne mieszkanie i będziemy żyć razem. Ja ci wstydu nie zrobię. Jestem przecież ładna, młoda, zdrowa. Będę cię zawsze kochać. Wszystko co ja mam jest twoje. Tylko kochaj mnie choć troszkę, bo ja bez ciebie żyć nie mogę.

Agentowi przyjemne były te wybuchy uczuć Paulinki, lecz uważał, że jeszcze nie czas jej eksploatować. Wiec grał na zwłokę, umiarkowanie wykorzystywał swą kochankę materialnie i chronił swą niezależność. Był prózny i miał wielkie ambicje. Nie chciał wiązać się z pospolitą mieszczką. Jak Tolusiowi marzyły mu się hrabiny, i chciało mu się wygod, bogactwa. To, co miała Paulinka nie zadawała jego apetytu. Nawet nieco się wstydził swej pospolitej kochanki. Odmawiał, gdy prosiła, by chodził z nią na spacer, do kina. Odwiedzał ją dość rzadko i tylko wieczorami. Kiedy stęskniona Pawcia przysła pewnego razu do Urzędu Śledczego i odnalazła go tam, wy-

prowadził ją na korytarz i zwymyślał.

— Żeby to było ostatni raz! Ja nie chcę mieć przez ciebie przykrości, nie chcę, by ze mnie kpiono.

— Dlaczego Kostku? Czy jestem ułomna, albo obdarta? Co ty mówisz!

— Nie chcę i koniec. Jeśli koniecznie trzeba, to możesz przyjść do mnie do mieszkania. Jestem w domu rano do dziewiątej. Albo zostaw list. Ale do urzędu proszę nie przychodzić.

Lecz Pawcia mimo wszystko coraz więcej kochała swego nowego kochanka.

A wiosna była w pełni. Po zimnym kwietniu przyszedł ciepły maj. Potężny krzak bzu, na prawo od wejścia do mieszkania Paulinki, ozdobiły ciężkie kiście kwiecica i daleko w krąg promieniowała lekka, subtelna woń. Rósł pod oknem pokoju Jasia. Pod oknem mieszkania, w którym wesoło krzątała się Nastka.

Dziewczyna była szczęśliwa. Wiedziała, że Jaś w niej się nie kocha. Lecz wiedziała i to, że ją bardzo lubi jako towarzyszkę życia i że jako kobieta daje mu dużo rozkoszy. Była bardzo taktowna. Nie narzucała mu się. Nawet kiedyś powiedziała:

— Mój miły! Nie krępuj się mną. Wiem, że jestem prostą dziewczyną i że ze mną ci nudno. Jak masz inną, to proszę, możesz nawet do domu przyprowadzić. Nie ci nie powiem i nic od ciebie nie chcę.

Jaś z podziwem na nią patrzył i miał dla niej coraz więcej szacunku, zaufania i przyjaźni. Była tak prosta, szczerą, zrównoważoną, że imponowała mu. Jednocześnie opanowała jego zmysły jako kobieta. Miała piękne, wspaniale rozwinięte i ukształtowane ciało. A to, że można było z nią po-

stępować bez zastrzeżeń, prosto, swobodnie, zaost-
rzało zdrowy pęd chłopaka do Nastki.

W ostatnich czasach jego sytuacja materialna pogorszyła się. Ze względu na terror, trzeba było zachowywać się bardzo ostrożnie. O roboty było trudno, bo konkurencja urosła fantastycznie. Kradli wszyscy na górnych szczeblach, kradły i pionki bolszewickie, a obywatele zupełnie zuboże-
li. Więc trzeba było obrabiać urzędowe placówki lub bolszewickich rekinów. Rynki były puste, handel się skurczył, chłopci do miasta nic nie przywo-
zili. Nawet drzewa na opał. Teraz najlepszą ro-
botą była kradzież artykułów spożywczych, bo można było je wymieniać na potrzebne do życia rzeczy. Za sól, na przykład, można było kupić wszystko. Za kilo soli dawano kilo cukru lub masła. Jedynie w nielicznych knajpach, istnieją-
cych w śródmieściu pod protektoratem władz, można było dobrze zjeść i wypić. Tamże sprzedawano za ogromne pieniądze wszystko: od szampa-
na i czekolady — do morfiny i kokainy. Ale na to trzeba było dużych pieniędzy. Miesięczna pensja robotnika lub urzędnika nie wystarczyłaby na opłacenie jednego, dobrego obiadu.

Wielu zawodowych złodziei przeszło na bandy-
tyzm. W razie wsypy kara była jednakowa —
śmierć. Więc nie mieli skrupulów. A łatwiej było pracować z bronią, niż narzędziami i sprytem. Mnożyły się rabunki. Wiezorami i nocami po mieście grzmiały wystrzały. Czasem strzelanina była tak intensywna, że wyglądało to na działa-
nia wojenne.

Jaś i Kazik Morecki od pewnego czasu melino-
wali się przy ulicy Słepiańskiej. Znaleźli sobie,
jako współników, dwóch braci: Mikołaja i An-
drzeja Miszczenków. Mikołaj był elektrotechnikiem

i w związku ze swoim zawodem, dobrze znał miasto i rozmaite urzędy. Było mu więc łatwo, bez zwrócenia na siebie uwagi, wynajdować i badać różne roboty. Drugi brat, stolarz Andrzej, od dawna miał kontakt z blatnymi. Bracia w świecie przestępczym mieli dobrą renomę. A ponieważ moserom byli nieznani, mogli łatwo pracować, do spółki z zawodowcami, lub nadawać im roboty.

Jaś zwykle szedł rano do Miszezenków. Kazik Morecki mieszkał tam od dłuższego czasu, zameldowany na fałszywe nazwisko. Ponieważ znał trochę stolarkę, a Andrzej miał nędznie prosperującej warsztat, łatwo było Moreckiemu udawać rzemieślnika i nie zwracać na siebie uwagi sąsiedztwa. Jaś chętnie przesiadywał tam — nieraz całe dni. Planowali roboty. Bracia robili wywiady do miasta. A byli bardzo ostrożni, szanując dobrą melinę. Pies Miły zadomowił się w szopie, gdzie leżały różne zbędne rzeczy. Jaś zrobił mu tam wygodne legowisko i dbał, aby Miły miał zawsze jedzenie. Dziwiło go to, że pies dotąd nie obłaskawił się, chociaż odnosił się do Jasia ufniej niż do innych. Wieczorami Jaś, jeśli nie była przewidziana jakaś eskapada, wracał do domu, gdzie go niecierpliwie oczekiwała Nastka. Chłopca krępowała jej wierna, dobra, przyjaźń. Orientował się, że w tym się kryje głębsze uczucie, którego Nastka nie wypowiada. Wiedział, że nie może zapłacić jej równą monetą i to go krępowało. Stwarzało poczucie winy, wobec dobrej, prostej dziewczyny. Starał się być dla niej jak najmiłszy, aby usprawiedliwić często powtarzane przez nią słowa: „mój miły”. Dbął o nią, myślał o niej i świadczył jej wiele uprzejmości. Nawet pewnego razu postanowił jak najrzadziej wykorzystywać ją jako kobietę, lecz postanowienie to druzgotała każda noc,

którą Jaś spędzał w swoim pokoju, bujna wyobraźnia i temperament.

Kilka razy Nastka przychodziła z pomocą Jasiowi, w jego ryzykownej pracy na polu złodziejskim. Przenosiła narzędzia, kradzione rzeczy, załatwiała likwidację niektórych łupów u paserów, nosiła grypsy do kolegów Jasia. Nawet z własnej inicjatywy zrobiła w składziku na drzewo sprytnie zamaskowaną skrytkę na „trefne” rzeczy. Odgrodziła część składzika deskami, które — dobrze dopasowane do poprzecznych listw — stanowiły zewnętrzną ścianę składzika. Lecz za stosem drzewa, w dole, była umieszczona jedna luźna deska, którą, znając mechanizm, łatwo było usunąć i wejść bokiem do skrytki — wąskiej przestrzeni między dwiema ścianami. Jasiowi urządzenie to bardzo się podobało i zaraz zaczął z niego korzystać. A Nastka była dumna ze swego pomysłu.

Sprawą, która najwięcej dokuczyła Jasiowi, była marna sytuacja materialna. Gdyby był sam, niezbyt by się przejmował, lecz obowiązek opieki nad Nastką i różne, związane z utrzymaniem mieszkania wydatki, zmuszały go do gorączkowego poszukiwania „pracy”. A o to było coraz trudniej. Jaś zadawał się byle czym. Kradł nawet kartofle, aby ich nie kupować.

W tym okresie czasu Jaś dowiedział się, że szuka go Filip Łysy w bardzo ważnej sprawie. Gdy do niego się zgłosił, Filip Łysy oświadczył mu, że można zrobić dobrą „wydrę”. Robotę tę „nadał” mu Ażur. Chodziło o to, że sekretarz Wydziału Skarbowego Gorispołkomu codziennie chodził na pocztę po pieniądze. Czasem podejmował znaczne sumy. Po kilka, a nawet kilkanaście milionów. Ponieważ z Gorispołkomu, który się mieścił przy Katedralnym Placu, do poczty, przy ul. Guberna-

torskiej, było bardzo blisko, sekretarz udawał się tam pieszo, a dla ochrony brał jednego krasnoarmiejca z karabinem. Pieniądze nosił w miękkiej, brezentowej walizeczce, którą ściągał rzemieniami.

Zrobiono naradę. Jaś dowiedział się, że sekretarz chodzi na pocztę zwykle około 9 rano. Postanowił osobiście zbadać trasę i przemyśleć robotę. Nazajutrz rano, przed godziną 9-tą, był już w pobliżu Gorispolkomu. Zaraz po 9-ej z frontowych drzwi wyszedł cywil w ciemnym garniturze i w szarej cyklistówce na głowie. Pod pachą niósł zwinętą brezentową walizeczkę. W ślad za nim kroczył żołnierz z karabinem na pasku. Jaś udał się za nimi drugą stroną chodnika. Wkrótce byli w pobliżu poczty. Sekretarz i krasnoarmiejec weszli frontowymi drzwiami do urzędu. Jaś udał się za nimi. Na poczcie krasnoarmiejec pozostał na ogólnej sali, a sekretarz wszedł za przepierzenie, a stamtąd do pokoju, w którym znajdowała się kasa. Po kwadransie wyszedł znów i, w towarzystwie idącego z tyłu krasnoarmiejca, poszedł lewym chodnikiem ul. Gubernatorskiej w kierunku Placu Katedralnego. Walizeczka była ściągnięta rzemieniami. Niósł ją trzymając za rzemienny uchwyt. Jaś znów szedł przeciwnym chodnikiem i odprowadził ich aż do Gorispolkomu. Potem wrócił i zaczynając od ulicy Bogadzielnej, zaczął uważnie badać wszystkie wejścia frontowe i dziedzińce, kombinując mozolnie — jak wykonać robotę. Lecz nie mu do głowy nie przychodziło. Potem poszedł na umówione spotkanie z Filipem Łysym.

Po krótkiej konferencji obrano następujący plan działania. Filip Łysy stanie z autem przy wylocie ulicy Bogadzielnej, w pobliżu Gubernatorskiej. Gdy sekretarz będzie mijał ulicę Bogadzielną, Jaś z tyłu wyrwie mu walizkę i skoczy w

auto, które odjedzie. Auto miało stać cały czas na gazie. Lecz nie można było wziąć szofera komentanta, Chińczyka. Błatni zastanawiali się: który ze swoich chłopaków umie prowadzić auto. W pewnym momencie Filip trzasnął się dłonią w łysy łeb:

— Przecież Azur prowadzi auto pierwsza klasa i tak dalej.

— Lecz jeśli on nie chce należeć do roboty — powiedział Jaś.

— Poprosimy go, bo inaczej „wydry” nie zrobimy. On siądzie przy kierownicy. Będzie miał kopyto. Ja pójdę z tobą, a jak sekretarz będzie się zbliżał do Bogadzielnej wyminę was, wejdem do auta, przygotuję drzwiczki i tak dalej. Też wezmę kopyto. Jak zdarzy się poruta, to we trójkę jak zaczniemy pruć z kominów, to im się odechce.

Jaś wiedział, że przy robotach na „wydrę” błatni często stosują zasypywanie oczu tabaką lub pieprzem. Powiedział to Filipowi.

— Nie inaczej tylko tak. Jabym mu tłuczonego szkła dodał i tak dalej. — Filip szeroko ziewnął.

Gdy Jaś i Filip opowiedzieli plan roboty Azurowi, ten przez pewien czas gwizdał i nie odpowiadał na propozycje. Potem zapytał.

— A, jak auto?

— Co auto? — nie zrozumiał Filip.

— Po pierwszej robocie będzie” zasypane”.

— Zrobimy tak. Obrócę przed robotą numer na drugą stronę, lub zdejmę.

— Trzeba namalować inny numer i zamazać błotem gwiazdy.

Wyczuwało się, że Azurowi nie zależy wcale na tej robocie. Lecz widocznie nie chciał odmówić chłopakom, którzy bez niego nie mogliby zrobić „wydry”. Poza tym wiedział, że Jaś jest w trud-

nej sytuacji materialnej. To zdecydowało o jego zgodzie.

Filip Łysy z zadowoleniem zatarł dłonie. Lecz po chwili przybrał solidny, obojętny wyraz twarzy i ziewnął. Przypomniał sobie swój „styl”.

Omówiono wszystkie szczegóły. Wypracowano terminy i miejsce spotkania. Filip poszedł do „Europy” zatelefonować po auto. Chcieli przejechać trasę zamierzonej ucieczki, po dokonaniu wydry. Chociaż robota była uplanowana śmiało, lecz nie projektowano jej na ślepo. Przewidziano każdy drobiazg.

Jaś poszedł na Komarówkę. Kupił ćwiartkę tabaki do zażywania. Porządnie ją wysuszył i przetrął grudki, aby była jak najwięcej lotna. Przygotował starą marynarkę i jasny filcowy kapełusz, aby świadkowie wydry nie mogli podać szczegółów ubrania, w którym zwykle chodził.

Nazajutrz sekretarz Wydziału Skarbowego o godzinie 9-ej udał się, jak zwykle, na pocztę po pieniądze dla Gorispołkomu. Z tyłu za nim włókł się znudzony, obojętny krasnoarmiejec. Poły długiego płaszcza, koloru wszy, plątały mu się między nogami. Duże, podarte trzewiki hamowały ruch. Szedł w nich jak na nartach.

Sekretarz Gorispołkomu podjął 800.000 rubli; ułożył paczki w walizce; zamknął ją; ściągnął rzemieniami. Ważyło to około 5 kilo. Paczka była nie duża, więc umieścił ją pod pachą. Skinął ręką swej eskorty i wyszedł z gmachu poczty. Wolno podążał, w kierunku Gorispołkomu. O kilka kroków za nim, prócz eskorty szło dwóch ludzi, — Filip Łysy i Jaś. Obaj mieli pistolety. Jaś poza tym wsypał do prawej kieszeni marynarki dobrze wysuszoną tabakę. Miał zamiar zasypać nią oczy sekretarza.

Ruch na tej ulicy, stanowiącej centralną arte-

rię miasta, był duży. Chodniki zalegali idący w różnych kierunkach ludzie. Wśród nich było dużo wojskowych i urzędników, sporo młodzieży szkolnej.

Zbliźali się do ulicy Bogadzielnej. Filip Łysy tracił łokciem Jasia, skinał mu głową i, wyprzedzając sekretarza Gorispołkomu, poszedł prędko naprzód. Skrecił w lewo. Tam już stało auto na gazie. Numer był zupełnie niewyraźny — oblepiony błotem. Tak samo karoseria. Przy kierownicy siedział Ażur. Filip wlaźł do auta i, zostawiając drzwiczki z lekka uchylone, obserwował przez okienko z tyłu zakręt ulicy. Po chwili rzucił Ażurowi:

— Uwaga!

Ażur skinał mu głową i ujął kierownicę.

Jaś, zbliżając się do rogu ulicy, nabrał z kieszeni tabaki i wsypał ją do lewej dłoni. Był trochę zdenerwowany, lecz zdecydowany działać w każdym okolicznościach. Zrównał się z krasnoarmiejcem.

Gdy sekretarz zaczął przechodzić jezdnię, Jaś, prędkim ruchem z dołu w górę, sypnął żołnierzowi w twarz garść tabaki. Krasnoarmiejec stanął i chwycił się dłońmi za oczy. Jaś skoczył naprzód. Tabakę z lewej dłoni wziął do prawej. Zrobił prędko rzut ku twarzy sekretarza. A potem, obu rękami, chwycił wystający koniec walizki i wściekłym ruchem w tył szarpnął ją. Wysięk był zbyt duży, bo sekretarz, oślepiony, podniósł ręce, aby przetrzeć oczy. Jaś omal nie upadł. Skoczył na chodnik. Kilkoma krokami dopadł auta i wlaźł do środka. Filip otworzył drzwiczki.

— Jazda!

Auto ruszyło.

Nikt na ulicy nie zorientował się w sytuacji. Se-

kretarz tarł dłońmi oczy i krzyczał wciąż:

— Trzymaj! Trzymaj! Trzymaj!

Lecz to skutku nie wywarło. Wszyscy zaczęli pośpiesznie iść dalej, aby nie trafić na awanturę. Żołnierz położył karabin na jezdni i starał się przetrzeć oczy.

Tymczasem auto wypadło okólną drogą na Zacharzewską. Potem skręciło na ulicę Dołgobrodzką. Stało w ustronnym miejscu. Jaś wyszedł z niego i udał się do domu, aby się przebrać. Pieniądże zostawił w aucie. Filip Łysy mokrą szmatą starannie otarł z błota numer i karoserię, na której znowu wystąpiły czerwone gwiazdy i napisy: „Komendantura”.

Pojechali na ulicę Wesołą. W drodze Filip Łysy odemknął walizeczkę i przełożył pieniądze do teczki. Walizkę zawinął w arkusz pakowego papieru i przewiązał sznurkiem.

Auto odstawiono do garażu. Ażur i Filip Łysy poszli do hotelu Noworosyjskiego. Ażur nadal tam mieszkał.

Po godzinie przyszedł do nich Jaś. Był ogolony i ubrany jak zwykle — czysto, ale skromnie.

Pieniądże podzielono na trzy części. Każdy otrzymał swą dołę. Brezentową walizkę spalono w piecu. Okucia i zamek Filip Łysy wrzucił do ustępu na podwórzu.

Wszelkie ślady i dowody niedawno dokonanej „wydry” usunięto. Wspólnicy rozeszli się. Jaś był zadowolony i ze zdobytej gotówki i ze swego bravurowego występu razem z asami świata podziemnego.

Baran, zawsze zrównoważony, spokojny, jakby ospały, umiejący doskonale hamować, opanowywać i maskować swe uczucia i wzruszenia — pew-

nego dnia był naprawdę mocno zdumiony. Wywołano go z celi na korytarz. Tam czekał felczer więzienny.

— Baran?

— Tak.

— Aleksander?

— Tak.

— Chodź za mną!

„Co ten figus chce?”.

Udali się do kancelarii w bramie. Tam w małym pokoiku znajdował się naprędce zaimprovizowany pokój przyjęć lekarza. Felczer zwrócił się do więźnia:

— Co ciebie boli?

— Nic.

— A żołądek nigdy nie boli?

— Czasem trochę boli.

Baranowi zaświtało w głowie że niezwykle zainteresowanie felczera jego zdrowiem może mieć jakieś poważne znaczenie. Dodał:

— A czasem tak mocno, że wytrzymać nie można.

— A jak tam reumatyzm?

— Życ nie można. Nogi mi wykręca. Czasami po tygodniu z łóżka nie schodzę.

Felczer wyjął termometr, strząsnął go, wsadził pod pachę więźniowi i porządkował coś w szufladzie. Baran wyjął termometr i, obserwując felczera, ujął koniec termometru w palce i zaczął szybkimi ruchami trzeć go o spodnie, ogrzewając szkło. Spojrzał na podziałkę. Słupek rtęci wskazywał 41. Za silnie rozgrzał termometr, więc prztykami palca za czął zbijać rtęć w dół. Było 39 stopni z kreskami. Jeszcze za dużo. Baran chciał zrobić sobie temperaturę podgorączkową. Najwyżej 37,5. Wtem felczer podniósł się z za stołu. Ba-

ran błyskawicznie wsadził termometr pod pachę. Felczer spojrział na skalę termometru i coś mruknął:

— Pokaż język!

Położył dłoń na czole pacjenta i powiedział:

— Dziś pójdziesz do szpitala.

Baran wrócił do celi. Zrozumiał, że chłopcy z wolności starają się go wyrwać z kicza. Nie wiedział jak i jakimi drogami działają, lecz był tego pewien. A po obiedzie przeprowadzono go do więzienia na Gruszewską. Tam były dwie cele dla chorych. Jedna dla zakaźnych, druga dla wszystkich innych. Obsługiwali chorych małodeterminowi więźniowie. Leczył, raczej przeglądał chorych, tenże felczer.

Cele były małe — po cztery łóżka. Oddział zakaźny był pusty. Na drugim oddziale leżał więzień, który przy pracy w kuchni oparzył sobie twarz i ręce. Posługacz był jeden. I on właściwie nie miał nic do roboty. Pobierał tylko dla chorych jedzenie z kuchni kobiecego więzienia.

Szpital — jeśli można było go tak nazwać — był w dzień otwarty i chorzy mogli wychodzić na podwórze: po wodę do studni, lub do wygódki.

Cały ten stary, zaniedbany budynek otaczał niewysoki, drewniany parkan. W górze, na żelaznych prętach znajdowało się kilka rzędów kolczastego drutu. Podwórza pilnował uzbrojony dozorca. W bramie stał jeszcze jeden wartownik. Tam mieściła się w małym domku, kancelaria kobiecego więzienia.

Baran wprawnym okiem ocenił sytuację: kur-nik nie kicz! Wiedział, że niedługo będzie tu gościć, lecz czekał na dalszy rozwój wypadków.

Nazajutrz wywołano go do kancelarii. Zobaczył tam elegancko ubraną Tośkę Srokę. Gdy Ba-

ran wszedł do pokoju, Tośka podbiegła i rzuciła mu się na szyję. Baran poczuł, że wsadziła mu z tyłu za kołnierz bluzy jakiś przedmiot. Dozorczy- ni upomniała Srokę:

— Nie wolno się obejmować z aresztowanym.

— Ależ to, proszę pani, chory i mój narzeczony. Pani taka ładna, a taka bez serca!

Tośka zrobiła oko Baranowi. Dozorczyzni kazała im usiąść na ławce, a sama usadowiła się obok na taborecie. Przeglądała wiktuały, które Tośka przyniosła Olkowi. Kawa z mlekiem w butelce, biały chleb, kielbasa, setka papierosów, kilo jabłek. Przecięła kielbasę. Połamała chleb na kilka ka- wałków. Obejrzała flaszkę pod światło. Potem wstała z miejsca.

— Widzenie skończone!

Tośka pożegnała Barana czułym „narzeczę- skim” pocałunkiem. Podziękowała uprzejmie do- zorczyzni i znikła. Baran zabrał jedzenie i skiero- wał się na oddział chorych. Tam wyjął zza bluzy zwiniętą kilka razy i przewiazaną nitką kartkę papieru. Usadowił się przy oknie. Kartka była wypełniona wyraźnym pismem, imitującym duży druk. Koledzy z wolności wiedzieli, że Mongoł nie umie czytać normalnego pisma. Baran przesyłabi- zował:

W ŚRODĘ ZARAZ PO OBIEDZIE IDŹ DO
STUDNI PO WODĘ. DRUTY ZA STU-
DNIĄ NA PARKANIE BĘDĄ OBLUZO-
WANE. JAK POSŁYSZYSZ TRZY RAZY
SYGNAŁ SAMOCHODU BIEGNIJ DO
PARKANU POMOŻEMY, AUTO BĘDZIE
CZEKAĆ I MY TEŻ. AŻUR

Baran zrozumiał, że jest uratowany. Był pełen wdzięczności dla wiernych kolegów. Zabrał się do

jedzenia. A gdy pociągnął z butelki kawę poczuł moc i odór alkoholu. Była to mocna wódka, zabarwioną herbatą i mlekiem. Baran pierwszy raz od kilku miesięcy napił się wódki. Alkohol rozgrzał mu ciało. Jedzenie pokrzepiło. Mongoł palił papierosa za papierosem. Było mu dobrze. Myślał o Paulince. Mimo wszystko nie mógł wyrzucić jej z serca. Nie mógł pozbawić nędznego losu złodzieja jedynej ozdoby. Śnił o niej, ubarwiał ją swymi marzeniami.

Środa była nazajutrz.

Od rana Baran był przygotowany do uciezki. Od razu dostrzegł, że za studnią, pomiędzy dwoma prętami u góry parkanu, kolczaste druty były luźne. Można było łatwo osunąć je w dół. Zorientował się, że koledzy zrobią to tuż przed ucieczką, w wyznaczonym czasie, gdy on będzie u studni. A na znak uciezki dadzą umówiony sygnał. Parkan był niski. Człowiek średniego wzrostu mógł sięgnąć dłońmi jego szczytu.

O godzinie 11 minut 45 z garażu Komendantury, przy ulicy Zacharzewskiej wyjechało auto. Zamówił je telefonicznie z hotelu „Europa” delegat Azja. Dyżurny natychmiast wysłał szofera. Auto zatrzymało się przed frontowym wejściem do hotelu. Wkrótce w drzwiach ukazał się Filip Łysy. Na jego widok szoferowi gęba rozpełzła się od ucha do ucha w powitalnym uśmiechu. Lubił swego hojnego pana. Filip kazał mu jechać do stołówki Nr 1. Dawniej była tam restauracja „Selekt”. Lecz auto kazał zatrzymać przy następnej bramie. Tam, w głębi podwórka, była niepokazna, lecz doskonale prosperująca kawiarnia. Lecz gość, który by tam poprosił o kawę, wywołałby tylko zdziwienie. W kawiarni tej wieczorami był ruch olbrzymi. Wódkę i zimne przekąski sprzedawano

w ogromnych ilościach. Interes, naturalnie, był nielegalny, lecz korzystał z wszechstronnej opieki i poparcia władz. Filip Łysy kazał szoferowi iść za sobą. Przeszli przez pierwszy pokój, w którym przy stoliku siedział Ażur. W drugim pokoju Filip kazał podać szoferowi éwiartkę wódki i kiełbasę na gorąco. Sam gołnał przy bufecie dużą szklanę wódki. Zapłacił za wszystko i kazał szoferowi czekać na swój powrót. Wyszedł z kawiarni.

Ażur siedział już w aucie przy kierownicy. Ruszyli naprzód. Było 20 minut po 1-szej. Wkrótce auto wyjechało na ulicę Gruszewską i skręciło w wąski zaułek obok dużego składu desek. Tam czekał Jaś. Przy parkanie leżały dwa drażgi z wbitymi przy końcach gwoździami. Stanowiło to rodzaj bosaków. Jaś, przez szparę w parkanie, od kwadransa obserwował więzienny dziedziniec. Widział jak Baran wyszedł po obiedzie z budynku więziennego. Niósł w ręce ręcznik. Kucnął przy studni i zaczął go prać. Obecny na podwórzu dozorca nie zwrócił na niego uwagi. Był zajęty wyprowadzaniem poszczególnych cel kobiecych na spacer.

Baran posłyszał warkot motoru za parkanem. Zrozumiał, że nadchodzi chwila uciezki. Czekał na sygnał.

Gdy auto stanęło, Jaś podbiegł do wysiadającego z niego Filipa.

— Wszystko dobrze. Mongol czeka przy studni.

Zaułek był zupełnie pusty. Skład desek od dawna nieczynny. Więc przeszkód żadnych nie było. Ażur wychylił się z wozu i obserwował działania kolegów. Obok niego, na drugim siedzeniu, leżały dwa pistolety.

Filip Łysy i Jaś wzięli drażgi i stanęli przy żelaznych prętach, umocowanych u góry parkanu.

Porozumieli się spojrzeniem i jednocześnie założyli gwoździe na górny drut. Ściągnęli kolejno w dół trzy rzędy drutów obluzowanych przez Jasia poprzedniego dnia wieczorem. Parkan wolny był na tej przestrzeni od najtrudniejszej przeszkody.

Ażur dał trzy sygnały syreną auta.

Baran stanął. Dozorca obrócony do niego plecami znajdował się w odległości około 30 kroków. Do parkanu było nie więcej jak dziesięć metrów. Więzień w kilka sekund był przy parkanie. Chwytał się dłońmi jego krawędzi i wspinał się na górę.

W tej chwili, z tyłu, rozległ się kobiecy głos: — Patrzcie! Patrzcie! Co on robi?

Kobieta nie rozumiała, że zdradza więźnia. Po prostu wyraziła głośno swe zdumienie. Dozorca odwrócił się i wyrwał z futerału rewolwer. Strzelił prawie nie celując. Baran w tymże momencie zeskoczył na drugą stronę parkanu. Filip Łysy i Jaś zwolnili druty, a drągi przerzucili przez parkan po przeciwległej stronie zaułka.

Wnet byli w aucie. Baran usiadł w szoferce obok Ażura. Auto ruszyło z miejsca.

Z tyłu padały strzały. Dozorca „machał” na ślepo w parkan. Zgłupiał do reszty.

Blatni odjechali bez przeszkód.

Filip Łysy zatarł dłonie i rzekł do Jasia:

— Klawo nam poszło: dwie „wydry” na czysto.

— Jak to?!

— No, pierwsza: forsa. A druga dziś: Mongoł.

I Filip serdecznie ziewnął. Przecież nie wypada firmowemu blatnemu wzruszać się lub wzruszenie okazywać.

— Pierwsza robota: „ruska dolina”. A druga, to naprawdę „wydra” — dodał Jaś.

Filip wypiął pogardliwie wargi.

— Ot głamiesz byle co...

IX.

KREW I BŁOTO.

Zimny wiatr targał okiennicami, szarpał dachy, gwizdał ulicami, niósł tumany kurzu. Krótka letnia noc była wyjątkowo ciemna.

W pobliżu sowieckiej kooperatywy Nr 11, która zaopatrywała urzędników i pracowników bolszewickich w skąpo wydzielane racje żywnościowe i materiałowe, snuły się jakieś cienie. Byli to: Kazik Morecki, Baran, Jaś i Mikołaj Miszczenko, elektrotechnik, który tę robotę znalazł i „wystawił”. Dowiedział się, że poprzedniego dnia przywieziono do kooperatywy mąkę, sól, zapalki, papierosy, olej. Były nawet podeszwy, mydło i cukierki. Artykuły te wydawano szczególnie uprzywilejowanym pracownikom bolszewickim, na specjalne kartki. Pochodziły one jeszcze z tych zapasów, których Niemcy, wycofując się z miasta, nie zdążyli wywieźć.

Przy kooperatywie było mieszkanie zarządzającego i z niego prowadziły drzwi do sklepu. Robotę trzeba było wykonać od frontu. Przede wszystkim borem wywiercono w potężnej tarczy, osłaniającej właściwe drzwi, cały system dziur, aby utworzyć rękami haki i masywną, żelazną sztabę.

Zajęło to sporo czasu. Operował Kazik Morecki, jako najwięcej wprawiony do tego rodzaju roboty. Wreszcie można było usunąć na bok ciężką, masywną tarczę. Właściwe drzwi też trzeba było borować, bo od wewnątrz były dobrze zabezpieczone. Utworzono z dołu sporą lukę i przez nią wyborowano tylko parę dziur w ostatnich, lekkich drzwiach. Potem wycięto nożem filong.

Morecki dobrze się zmachał przy tej pracy. Pomagał mu Kola Miszczenko. Jaś i Baran, jako „świece”, pilnowali ich bezpieczeństwa z dwóch stron ulicy. Wszyscy posiadali broń. Gdy właz był gotów Miszczenko, który wyszedł z domu bosy, wpęłzył do środka. Jednak i z wewnątrz trudno było odemknąć drzwi. Sprawiłoby to sporo hałasu, a za ścianami sklepu spali ludzie. I tak dziwne było, że się udało blatnym bez zwrócenia uwagi utorować drogę do sklepu. Więc trzeba było wykorzystać właz jako jedyną drogę do wynoszenia łupów. Kazik Morecki też zdjął buty i wlaź do sklepu. We dwójkę wzięli się do dzieła. Jaś i Baran z zewnątrz odbierali podawane im towary i nieśli je za narożnik domu, aby nie leżały na ulicy. Brano towar tylko najdroższy i najpotrzebniejszy. Wkrótce robotę ukończono. Lecz i noc się kończyła.

Blatni zorientowali się, że nie zdążą przenieść towaru nawet na najbliższej położoną melinę. Wówczas Miszczenko powiedział, że ma dobre miejsce na przechowanie towaru do następnej nocy.

W pobliżu kooperatywy mieszkała ciotka Miszczenki, która od paru lat budowała nieduży, drewniany dom, bo stary był w okropnym stanie. Dom był pod dachem. Mikołaj powiedział, że tam są dobre zakątki na przechowanie towaru. Zgodzono się na to.

Blatni oddzielili najdroższy towar w takiej ilości, jaką mogli udźwignąć, a resztę zaczęto przenosić według wskazówek Mikołaja w pobliski zaułek.

Mikołaj przelazł przez spory parkan, oddzielający zaułek od budynku. Wspólnicy podawali mu przez parkan towar. Wkrótce wszystko było załatwione. Mikołaj zaniósł towar do niewykończono-ego domu i tam go ukrył.

Noc się kończyła...

Blatni pośpiesznie poszli po ostatnią partię towaru. Na ulicy przed kooperatywą, a właściwie magazynem rozdzielającym, zatarto ślady nóg i wylano bańkę karbolu, zabezpieczając się przed ewentualnym użyciem psów policyjnych do poszukiwań sprawców kradzieży. Potem zabrali resztę towaru i skierowali się na melinę. Kazik Morecki poszedł do Miszczenki, Jaś i Baran do Kasi Złotej Trąby, gdzie melinował się po ucieczce z więzienia, Baran. Jaś zamierzał iść spać do domu. Wiedział, że Nastką na pewno się niepokoi jego nieobecnością, bo nie miał czasu uprzedzić jej, że nie wróci na noc. Wspólnicy umówili się, że towar zabiorą i przeniosą do Miszczenki nazajutrz w nocy.

Baran był już pięć dni na wolności, lecz Paulinki jeszcze nie odwiedził. Bardzo mu było do niej pilno, lecz miał zupełnie zniszczone buty, a ubranie w łachmanach. Koledzy proponowali mu swoje, zapasowe, ubrania, lecz Olek wziął tylko bieliznę, a ubranie i buty kazał zrobić na obstatunek. Nie chciał się pokazywać swojej ukochanej w złej formie. Jeśli wytrzymał bez jej widoku tyle miesięcy, to postanowił poczekać jeszcze parę dni, aby dobrze się zaprezentować. Poza tym obawiał się, aby hinty nie poszukiwały go u niej. Przecież

był kiedyś zameldowany wraz z Paulinką, — pod innym nazwiskiem. Jaś w ciągu tych dni uważał czy mieszkanie jest obserwowane, lecz nie podejrzanego nie dostrzegł. Chłopiec nie powiedział nic swemu mistrzowi o sprawowaniu się Paulinki. Oszczędzał go. Wiedział, że byłby to dla Olka straszny cios.

Przy wyborze meliny dla Barana napotkano na trudności. Większość melin była niepewna. Wreszcie przypomniano sobie Kasię Złotą Trąbę. Kobieta chętnie przyjęła na mieszkanie Olka. Była w nieustannym żalu za kochankiem Piecką Bykiem, który na początku tegoż roku wpadł za drobną kradzież, a przed miesiącem został rozstrzelany. Nazwisko jego ukazało się w gazecie, w spisie zgładzonych na Komarówce więźniów. Najwięcej bolało Kasię to, że Pieckę umieszczono w rubryce rozstrzelanych za „kontrrewolucję”.

Gdy Baran przyszedł na melinę spod schodów wypełził Miły i rzucił się ku niemu, chwytając go zębami za nogi. Szalał z radości. Baran wziął psa na ręce. Miły aż drżał z zachwytu. Baran też ucieszył się jego widokiem. Zaczął cicho do niego przemawiać:

— Spokojnie, spokojnie, Miły. Teraz będziemy pięknie żyć. Zabiorę ciebie i Paulinkę do Wilna. Tam będzie nam dobrze. I Paulinka ciebie polubi. Rozumiesz kundlu?

Pies nie rozumiał, lecz cieszył się wraz z panem.

Nazajutrz wieczorem w pokoju Kazika Moreckiego zebrało się całe towarzystwo, które dokonało okradzenia kooperatywy. Zamierzono tu przynieść towar; część jego podzielić, a resztę sprzedać paserowi. Było jeszcze wcześniej. Oczekiwano na późniejszą porę.

Tegoż dnia, przed południem, ciotka Miszczenki stwierdziła, że jedna z jej kur zniosła jajko gdzieś poza składzikiem, gdzie kury lokowały się na noc. Poszła na poszukiwania. Lecz jakież było jej zdumienie, gdy w nowo wybudowanym domu wykryła schowane, obok kuchennego pieca, worki z różnymi produktami. Kobietę ogarnęło przerażenie. Pomyślała, że to jakiś podstęp. Poszła do sąsiadki naradzić się w tej sprawie. Tam dowiedziała się, że w nocy złodzieje okradli kooperatywę. Kobieta nie powiedziała nic o tym co znalazła w swoim domu, a copędzej pobiegła do komisariatu przy ulicy Dołgobrodzkiej. Tam zameldowała o swym odkryciu. Kazano jej iść do domu i nikomu o tym nie mówić. Zatelefonowano do Urzędu Śledczego. Po godzinie do komisariatu przybyło dwóch agentów. Jeden z nich, mało znany w mieście, został wydelegowany dla zbadania sytuacji. Wrócił i złożył komisarzowi sprawozdanie z sytuacji... Były tam niewątpliwie towary, pochodzące z okradzionej kooperatywy.

Naradzono się nad zorganizowaniem zasadzki w celu ujęcia złodziejów. Proponowano różne plany, lecz komisarz zdecydował:

— Wieczorem ulokować w budynku przy oknach 6-ciu milicjantów. Gdy złodzieje przeleżą parkan: zatrzymać! Jeśli będą uciekać: strzelać!

Tegoż dnia pod osłoną ciemności sześciu milicjonerów weszło na dziedziniec posiadłości ciotki Miszczenków. Zamknęły bramę i furtkę. Weszli do budynku i ulokowali się przy otwartych oknach, wychodzących na parkan. Dwóch ukryło się na podwórku za stosem cegieł.

W dwie godziny później ulicą Ślepiańską szło czterech ludzi: Baran, Jaś, Morecki i Miszczenko. Miszczenko szedł bosy. Miał zamiar przeleźć

przez parkan pierwszy i odemknąć furtkę, aby przez nią bez trudności, wynieść ukryty towar. Zbliżyli się do narożnego domu i skręcili w lewo. Stanęli przy parkanie. Widzialność była zła. Jednak z odległości 10 — 15 metrów można było odróżnić sylwetkę ludzką — jeśli była w ruchu.

Miszczenko zaczął sprawnie wlaźć na wysoki parkan. Przesadził jego szczyt i znalazł się po drugiej stronie. Zeskoczył. W tym z głębi podwórza rozległ się donośny głos:

— Stój, bo strzelam!

Miszczenko skoczył z powrotem. Chwycił się dłońmi poprzeczki parkanu. Padł strzał karabinowy, a po nim kilkanaście... Jaś skoczył w prawo i położył się. Wyrwał zza pasa pistolet. Zza narożnika już strzelał po oknach Baran. Jaś szukał celu, lecz ukryci w domu i podwórku ludzie byli niewidoczni. Kazik Morecki poszedł bez broni, więc ukrył się za drugim narożnikiem.

Miszczenko po pierwszych strzałach upadł na ziemię. Jedna z kul trafiła go w brzuch. Leżąc na ziemi krzyknął:

— Chłopcy plutujecie. „Priczyn”*)

Baran wystrzelał cały magazynek i zaczął się wycofywać na ul. Ślepiańską. Jaś i Kazik uchodzili razem z nim obok parkanów. Wiedzieli, że Miszczence już nie pomogą. A z tyłu wciąż padały strzały karabinowe.

Blatni wpadli do domu Miszczenków. Powiadomiono ich o zajściu i zaczęto pośpiesznie likwidować melinę Kazika Moreckiego i „trefne” rzeczy. Usunięto wszystko z mieszkania i zamknięto je na kłódkę. Spodziewano się, że po ustaleniu na-

*) Oblawa, zasadzka.

zwiska rannego Miszczenki zawita tu policja i agenci Urzędu Śledczego.

Mikołaj Miszczenko był ciężko ranny w brzuch. Przewieziono go do Szpitala przy ulicy Szerokiej. Dogorywał. Dwaj agenci Urzędu Śledczego ustalili, na podstawie znalezionych przy nim dokumentów, jego nazwisko i adres. Zależało im na tym, by wskazać współników. Badano go wciąż. Lecz Mikołaj zgrzytał zębami z bólu i nie chciał powiedzieć.

— Przecież oni ciebie rzucili. Czego ty ich załujesz! Mów: kto z tobą był?

— Wy byli ze mną... Obaj...

Na dalsze nalegania Miszczenko odpowiedział przekleństwami. A rano zmarł.

W domu Miszczenków, przy ul. Slepiańskiej przeprowadzono dokładną rewizję. Trwała cały dzień. Zrywano nawet deski z podłogi. Wyjmowano niektóre cegły z pieca. Nie znaleziono nic „trefnego”, bo nie już nie było. Tylko „zakwestionowano”, nowy garnitur stolarza Andrzeja. Ubrania tego już mu nie zwrócono. Kilka razy chodził do Urzędu Śledczego i dopominał się o zwrot garnituru. Przedstawiał nawet poświadczenie krawca, który go uszył z własnego materiału. Wypędzono go z Urzędu. Nie poszedł więcej. Przekonał się, że uczciwość wymagana jest tylko od złodziei.

Ubranie i buty Barana były gotowe. Olek włożył czystą bieliznę. Ogolił się i ubrał. Potem, o zmierzchu skierował się ku Żłotej Górcie. Był zdenerwowany. Dręczyła go niepewność, chociaż wiedział od Jasia, że Paulinka jest zdrowa i sprzedaje w sklepie. Do domu przychodzi wieczorem. Olek nie chciał wypytywać więcej Jasia, chociaż interesował go każdy szczegół, dotyczący życia Pawki.

Baran kilka razy przeszedł chodnikiem obok mieszkania Paulinki. Kobieta była w domu. W oknach paliło się światło. Baran wszedł cicho na podwórze i zbliżył się do ganku. Widział niewyraźny zarys budy Miłego. W powietrzu unosiła się subtelna woń bzów.

Olek nacisnął klamkę u drzwi do swej dawnej pracowni i wszedł do środka. W pokoju był półmrok, tylko wąska smuga światła wpadała z pokoju Paulinki. Baran zrobił kilka kroków naprzód. Wówczas zza przepierzenia rozległ się strwożony głos kobiety:

— Kto tam?

Baran nie odpowiedział. Stał w drzwiach do jej pokoju. Paulinka porwała się od stolika, przy którym siedziała w bieliźnie tylko; na posmarówaną kremem twarz nakładała właśnie puder. Szykowała się na umówioną wieczorem randkę z agentem. Mieli się spotkać o 9-ej wieczór na Kwietnym Skwerze i iść do kina. Siemieńcow coraz rzadziej ją odwiedzał. Paulinka już kilka razy sama chodziła do miasta na randki z nim. A dwa razy u niego spała.

Olek nie mówił nic, a Paulinka, przerażona, patrzyła mu w oczu. Wir myśli kotłował się jej w głowie. „Czy wie coś? Co chce od niej? Jak go przywitać? Czemu mileży?”.

A Baran wciąż patrzył — jak wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy przez okno u szwaczki Bali. W oczach jego płonął zachwyty i czaił się ból. Lśniła miłość pełna żalu. Nie widział już ponętnej kobiety, kochanki swej i swego marzenia. Widział czar drugiej wiosny. Niezniszczalny, wieczny, potężny.

— Oluś!... Kochanie!

Paulinka podbiegła do Barana. Zarzuciła mu

na szyję nagie, chłodne, gładkie ramiona i ucałowała... Broniła się przebiegle przed czymś czego nie mogła zgadnąć. „A może wszystko wie?” Przyłgnęła wargami do jego ust. Poczula, że na oczach ma łzy.

Cofnęła się. Łzy płynęły już i po jej policzkach. Wyciskał je strach, poczucie winy i niepewność sytuacji.

— Oleśku! Ja taka jestem nieszczęśliwa!... Tak mi było źle samej!...

Czemu ty nie nie mówisz?...

— Cóż ja ci powiem?

— Jak to? Tyle czasu nie widzieliśmy się, a ty milczysz!

— Myślałem, że dawno o mnie zapomniałaś. Że nie chcesz ze mną żyć. Na żaden list mi nie odpowiadziałaś.

— Jak można tak mówić Olku?! Tylko o tobie myślałam. A pisać nie było kiedy. I czy ja wiem jak to zrobić? No i roboty miałam od rana do nocy. Przecież musiałam żyć. Nikt mnie nie dał. Sama zarabiałam.

Paulinka rozczuliła się nad sobą i zaczęła płakać. Baran zbliżył się do niej i położył dłoń na jej nagie ramię.

— Dobrze, Pawciu. Nie mam do ciebie żalu. Chciałem zapytać tylko: czy ci nie zawadzam?

Baran wyczuwał z wyrazu twarzy i z oczu Paulinki, że jest jakby inną istotą niż dawniej.

— ...Jeślibym ci zawadzał, to narzucać się nie będę. Nie myśl sobie tego ...Pójdę i tylko ...znajdę miejsce gdzie ...jak Miły. ...Byłem dla ciebie dobry i dobrze ci życzyłem ...i teraz tak samo... Zrobie jak chcesz... Ty tylko powiedz...

— Jak ty możesz tak mówić! Nie wstyd ci! Fu! Jaki jesteś wstrętny!

Paulinka załamała kształtne ramiona. Olek zmiękł. Chciał wierzyć w swoje szczęście, chciał wyrzucić z duszy nieufność. Zbliżył się do Pawci. Łatwo uniósł ją w górę — jak dziecko.

— Dobrze, Pawciu... Co było — minęło! Nie o tym nie wiem, a ciebie zawsze kochałem i teraz kocham. Wcale nie chciałem cię krzywdzić, bo i siebie bym skrzywdził. Ale bałem się ci dokuczać... Myślałem: może mnie nie chcesz?... To poszedłem sobie...

— I ja ciebie kocham, Olusiu! — mówiła Paulinka, a jednocześnie myślała: „Kostek pewnie teraz czeka na skwerze... Ot nie w porę przyszedł ten... ten... szewc”.

Lecz maskowała swe myśli i tuliła się do Barana i paplała głupstwa. Nagle przypomniała się jej lekcja udzielona jej przez ojca kiedyś, gdy Baran porzucił ją na pewien czas. „Sama wiesz czym suka psa weźmie... a głównie: doglądaj go, żeby nie był głodny, żeby miał co lubi; pytaj o zdrowie, myśl: zdechnij cholero!... Tym sposobem nie tylko forszę, a i skórę z niego ściągniesz...” Pawcia zaczęła odtrącać Olka od siebie.

— Oleśku, kochanie, tyś przecież głodny! Trzeba ci jeść zrobić. A ja całkiem zgłupiałam. Wybacz mi, ale tak się zdenerwowałam.

Baran nie puścił jej. Położył ostrożnie, jak skarb, na łóżko i pieścił namiętnie, gorąco, silnie. Pawcię przerażała zawsze jego raptowność, a równocześnie tkliwość, z jaką brał ją jako kobietę. Baran myślał, że tym zdobywa jej miłość, że daje jej rozkosz, bo oddałby i życie. Więc powolny i obojętny z innymi kobietami, z Pawcią płonął i spalał się. A Pawcia przyjmowała to prawie niechętnie. Podniecała się raczej mózgowo, niż fizycznie.

Pawcia urządziła dla Olka wystawną kolację. Wiktuały i napoje były w domu. Miała je zawsze w pogotowiu, przypuszczając, że może się uda ponownie zaprosić agenta do siebie na noc. Przekonała się, że przywiązuje wagę do dobrego jedła i napojów. Że po dobrej libacji jest trochę czulszy dla niej. Teraz to wszystko pomogło jej urządzić Baranowi doskonałą kolację. W trakcie zastawiania stołu Pawcia myślała o agencie. „Trzeba jutro pójść i przeprosić go. Powiem, że ojciec zachorował”. „I nie mógł posiedzieć jeszcze w więzieniu. Po co go wypuścili!” To już dotyczyło Barana.

Olek był zdumiony wspaniale zastawionym stołem. Dla niego w więzieniu nawet dobry chleb był zbytkiem, a kawaleczek słoniny luksusem. Po wyjściu z więzienia żył też skromnie. A tu zobaczył piękną zastawę, wina, koniak, wódkę, dobre przekąski. Z pewnym skrępowaniem usiadł do stołu. Jednak nie mógł opanować swego zdumienia:

— Skąd ty to wszystko masz?!

— A widzisz jaka ja jestem! Specjalnie dla ciebie to trzymałam. Myślę sobie: jak mój biedny Oluś wyjdzie z tego straszego więzienia, to trzeba go dobrze nakarmić, żeby wiedział jak Pawcia go kocha.

I sprytna kobieta usiadła mu na kolanach. Poprzednio przezornie zamknęła odrzwia i okiennice. Lecz sukni nie włożyła. Celowo paradowała w pięknej bieliźnie. Ta udana czułość Paulinki znów się skończyła w jej pokoju na łóżku. Baran przeżył najszczęśliwszy dzień, raczej wieczór w swym życiu.

Potem do późna siedzieli przy stole. Pili i jedli, Pawcia wprawnie wychylała kieliszki. Tego

dawniej nie robiła. Miała „mocną głowę” i alkohol nie prędko ją rozbierał. Natomiast Baran, wyczerpany głodowym życiem w więzieniu i odzwyczajony od alkoholu, prędko się upił. Był pełen szczęścia. Z wdzięcznością, czule patrzył na ukochaną kobietę. Niespodzianie dla Pawki zaczął śpiewać:

Hej, jabłuszko, pełne miodu!
Kocham dziewczę ja i swobodę!

Drugi raz w życiu w pieśni wylał Olek swą duszę i głupie złodziejskie szczęście, którym go, surowy dla nędzarzy, los tak skąpo obdzielił. Nie wiedział, że to wszystko fałszywe.

Pierwszy raz ta pieśń była hardym wyzwaniem, teraz zaślepieniem i nędzą brudnego życia.

Potem leżał z Paulinką w łóżku. Tulił tkliwie do piersi swoje szczęście i cicho mówił:

— Paulinko, moja droga... Zarobię dla ciebie dużo pieniędzy... ile tylko chcesz!... Rozumiesz?... I wyjedziemy stąd...

— Dobrze, kochanie ty moje!

— Ubiorę cię jak królowę... Wszystko ci dam co zechcesz... Ale trzeba stąd wyjechać...

— Dobrze, dobrze .. — zbywała go Pawcia. Usnęli.

W nocy Pawcia obudziła się na skutek pędzących, gorączkowo rzucanych słów kochanka. Odzwyczaiła się od tego.

— Musisz piesku kochać Pawcię... Jak ja... I ja jej pies... Tylko więcej ziota... Cholery... Chłopc...

Paulinka słuchała. Potem położyła się wygodniej, wyzwalając szyję z obejmującego ją ramienia Olka. Coś jej zawadzało w łóżku. Zaczęła szu-

kać. Namacała dłonią ciepłą od jej ciała — stał. Wyjęła na wierzch pistolet. Patrzyła zdumiona na tę broń. Pistolet Baran umieścił pod poduszką. Teraz miał zawsze przy sobie broń. Wiedział, że w razie wyspy czeka go jedynie śmierć. Paulinka ujęła rączkę pistoletu i patrzyła na niego. Położyła wskazujący palec na cynglu. Potem skierowała lufę pistoletu Baranowi między oczy.

„Ot, pociągnąć tak i już...”.

Miała na myśli nie kochanka złodzieja, a zawadzającego jej szczęściu szewca. Ściągnęła brwi i wpatrzona ostrym, zimnym wzrokiem w twarz szewca, zabijała go w myśli raz za razem... Ze złością, z przyjemnością, z zachwytem, który narastał, szalał, potężniał, wykwitał ze złóż nędznej duszy...

Nagle oczy Barana szeroko się otwarły i patrzyły zupełnie przytomnie w twarz Paulince.

— Pociągnij!

Paulinka drgnęła i broń wypadła z jej dłoni. Roześmiała się głośno, sztucznie...

— Ja żartowałam, Olku! Ot głupi! Nie mogę usnąć, a ty śpisz i śpisz. Chciałam ciebie obudzić.

Sprytnie udąła spragnioną jego uścisków i sama stała się inicjatorką najgorętszych, wyuzdanych wprost pieszczot miłosnych.

Baran utonął w nowej fali rozkoszy, szczęścia, ślepoty własnej i... podłości...

Znów był pijany... jak dziecko...

A noc czarna milczała za oknami i słuchała...

Minuty leciały... tłukły się serca...

Ulice miasta lizał żółtymi smugami latarni „Czarny Kruk”. Woził na „Komarówkę” skazańców.

X.

LUSTRO.

Komendant Kriwoszein szalał z radości. Odwołano ze stanowiska jego największego wroga, prezesa Gorispołkomu, Rodina. Komendant miał dość powodów, żeby się obawiać inteligentnego i wykształconego komunisty. Poza tym wchodziła w grę wrodzona nienawiść Rosjanina do Żyda.

Wiadomość tę komendant otrzymał wczoraj wieczorem. Nie mógł po prostu w nią uwierzyć. Zatelefonował po auto i kazał jechać do Gorispołkomu. Wiedział, że Rodin ma dużo roboty i że nie ufając nikomu, sam pracuje do późna w nocy. Informatorzy komendanta donosili mu od dawna o wszystkim co robi Rodin. Kriwoszein nie omylił się. Gdy auto skręciło na plac Katedralny zobaczył, że na pierwszym piętrze, w otwartym oknie gabinetu Rodina, pali się światło. Komendant odtrącił niecierpliwie posterunkowego, który w pierwszej chwili nie poznał czerwonego dygnitarza miasta. Dyżurny w westybulu podbiegł usłużyć nie do komendanta. Chciał coś powiedzieć. Lecz ten zbył go krótko:

— Poszedł wont, sukinsynie!

Pobiegł schodami w górę. Otworzył drzwi do

gabinetu prezesa Gorispołkomu. Rodin porządkował papiery na biurku. Spojrzał trochę zdziwiony na wchodzącego komendanta, który, udając życzliwość, rzekł wesoło:

— Dobry wieczór, towarzyszu! Podziwiam waszą pracowitość. Chociaż i sam pracuję nieraz całymi nocami.

Rodin coś niewyraźnie odburknął.

—Chciałem do was zwrócić się w pewnej sprawie — ciągnął komendant. Uważam, że dobrze by było zorganizować kursy „politgramoty” dla urzędników wszystkich miejskich instytucji. Mogłyby się odbywać grupowo. Tylko potrzebna mi jest wasza pomoc w wynalezieniu odpowiedniego lokalu. Poza tym...

Lecz Rodin znudzonym głosem rzekł obojętnie:

— Przepraszam, towarzyszu. Ale na mnie proszę nie liczyć.

Kriwoszejn udał zdziwienie:

— Dlaczego? Cel tak ważny...

— Dlatego, że jutro odjeżdżam do Moskwy na inne stanowisko. Wczoraj otrzymałem zawiadomienie. Jutro zdaję urząd.

Kriwoszejn zrobił smutną minę.

— Szkoda mi was, towarzyszu!

— Czemu? Wolę Moskwę, niż Mińsk.

— Ale tak nagle po łepetynie dostać, chyba musieliście coś przeskrobać.

Rodin patrzył zdumionymi oczami w twarz komendanta, który wyobraził sobie, że to jest wyrazem konsternacji, więc zmrużył oczy i rzekł sentencjonalnie:

— Zawsze lepiej jest wyżej uszu nie skakać, a nosem po suficie nie kręcić!

— Nie rozumiem. Co towarzyszu mówisz?

— Że tu czosnkiem czuć. Pa - le - sty - na...
Trzeba będzie dobrze wywietrzyć. Do widzenia,
towarzyszu. Proszę kłaniać się Moskwie.

I nie podając Rodinowi ręki wyszedł na korytarz. Przy tym tak trzasnął drzwiami, że tynk posypał się ze ściany. Pogwizdując zawadiacko, zbiegł ze schodów. Wsiadł do auta.

— Gdzie? — spytał szofer.

— Dokoła placu! Kierowca wiedział, że popędliwy komisarz nie lubi powtarzać rozkazów, więc ruszył z miejsca. Auto zaczęło krążyć w krąg obszernego placu, przy czym, gdy mijano Gorispolkom, Kriwošzejn podnosił się z miejsca i głośno wołał, patrząc w otwarte okna gabinetu Rodina:

— A ku - ku!

Przy siódmym okrążeniu Rodin wyjrzał oknem. Nadjeżdżający komisarz powstał, przyłożył dłoń do ust i szczególnie głośno krzyknął:

— Ku - ku!

„Zwariował” — pomyślał Rodin.

Stojący na posterunku po środku jezdni milicjant, każdorazowo, gdy auto go mijало z uszanowaniem się prostował i trwożnie patrzył na duży, coraz szybciej wirujący samochód. Wreszcie auto zatrzymało się przed frontem hotelu „Europa”. Kriwošzejn wpadł do hallu.

Wówczas milicjant odetchnął i krzyknął w ucho przechodzącej jezdnię staruszki:

— A ku - ku!

Tamta, przerażona, zawróciła z miejsca i pośpiesznie podreptała z powrotem.

— A ku - ku!

Tymczasem komisarz pędził korytarzem w kierunku numeru 13-tego, w którym, po opróżnieniu go przez Starcowa, przeprowadzono gruntow-

ny remont i ładnie umeblowano, dla... Filipa Ły-sego.

Blatny był akurat w domu. Przed chwilą opilo-wał gładko pazur szabra i schował go do pianina wraz z innymi narzędziami, które zabrał dziś z truszczo-by Cypy.

Mył właśnie ręce po pracy, gdy posłyszał lekkie pukanie do drzwi.

— Włóż! — rzucił nie odwracając się od u-mywalki.

W otwarte drzwi, z uśmiechem na uszczęśliwio-nej twarzy, wślizgnął się komisarz. Wyprostował się; trzasnął obcasami; odsalutował po „carskie-mu” i zameldował uroczyste:

— Towarzyszu delegacie! Melduję uprzejmie, że drań Rodin został sprzątnięty na jedno skinie-nie waszego szanownego paluszka. Jutro zdaje Go-rispolkom i wyjeżdża do Moskwy!

Kriwoszejn przypuszczał, że to właśnie Filip Ły-sy, na skutek jego prośby i wziętej łapówki, spowodował usunięcie Rodina ze stanowiska. Fi-lip Ły-sy ziewnął i, wydymając wargi, oplukiwał ręce.

— Odwołany do Moskwy! Odwołany do Mo-skwy! — powtarzał radośnie Kriwoszejn.

— Czort go i tam znajdzie i tak dalej — po-wiedział Filip.

Komisarz trzasnął się obu rękami po udach.

— Na pewno znajdzie! Szczególnie jeśli towa-rzysz tego zechce.

Filip Ły-sy odwrócił się od umywalki i podał komendantowi mokrą dłoń. Tamten ją uścisnął. Filip zaczął wycierać ręce.

— W jaki sposób mogę towarzyszewi wyrazić swą wdzięczność? — pytał komisarz.

— Powiedz, żeś głupi!

— Jestem głupi.

— Jeśliś głupi, to zjedz mydło!

Kriwoszejn pośpiesznie wziął mydło z umywalki, lecz Filip zatrzymał jego dłoń.

— Czekaaj: za dużo przyjemności. Drugim razem. Teraz mi płotów w powietrzu nie grodz i tak dalej. Wywdzięczyć się trzeba porządnie, a nie dymy puszczać i tak dalej. Ty dobrze saganem potrząśnij i pokombinuj; a teraz wynoś się, bo tylko powietrze mi psujesz i tak dalej.

— Ja pokombinuję. Już idę. Do widzenia!

— Nie szkodzi.

Filip dlatego tak prędko się pozbył komendanta, że obiecał dopomóc chłopakom przy robocie „na fotografa”. Umówił się z nimi poprzedniego dnia, że przyjdzie o godz. 9.30 na dancing przy ulicy Juriewskiej. Musiał słowa dotrzymać, bo wymagała tego złodziejska ambicja. Inaczej by się na pewno dobrze zabawił z nalany wdzięcznością, aż po dziurki w nosie, komendantem. Poza tym chłopaki chcieli odwalić tę robotę, aby utrzyć nosa bolszewikom, znienawidzonym przez złodziejów otwarcie, a przez obywateli miasta skrycie.

Filip zatelefonował do garażu. Po pięciu minutach przed frontem „Europy” zajechało auto. Filip kazał szoferowi jechać na Sieriebriankę. Tam zabrał z meliny Glistę, który umiał prowadzić auto. Posadził go do kierownicy, a szoferowi — Chińczykowi kazał usiąść obok siebie. Na ulicy Zacharzewskiej, obok garażu, Filip dał Chińczykowi ćwiartkę denaturowanego spirytusu. Azjata wolał pić skażony spirytus, niż wódkę. Dał mu poza tym 500 rubli na przekąski.

Pojechali dalej.

Dancing przy ulicy Juriewskiej był odwiedza-

ny prawie wyłącznie przez oficerów bolszewickich, agentów Cze-Ki, urzędników Rosjan i ich damy. Z innej publiczności przelotnie odwiedzały ten lokal wyspecjalizowane w dojeniu wojskowych w czasie wojny — sezonowe prostytutki.

Gdy auto zbliżyło się do dancingu, z dala doleciały wesołe dźwięki „Kek - Wok'u”. Auto skręciło w wąski zaułek, łączący ulice Juriewską, z Zacharzewską. Tam w parkanie wyłamano dwie szerokie deski. Przez otwór ten — przygotowany z wieczora — zamierzano zlikwidować plony roboty „na fotografa”.

Po wjeździe auta w zaułek, z wyłomu w parkanie wyszło trzech mężczyzn. W ich liczbie był Baran i Kazik Morecki. Jaś na robotę nie poszedł. Miał jeszcze dość pieniędzy z „wydry” i nie zależało mu na zarobku.

Odbyła się krótka narada, po której auto wyjechało znów na ulicę Juriewską i stanęło przy następnej bramie.

Blatnym chodziło o okradzenie szatni. Zauważyli, że elita miasta, odwiedzająca dancing, ma dobre okrycia. Szczególnie agenci Cze-Ki i ich damy. Dlatego właśnie wybrano chłodny dzień. A z wieczora Kazik Morecki wszedł do lokalu i przekonał się, że w szatni jest sporo palt, jesionek, damskich okryć. Były tam także teczki, torebki i broń w futerałach. Na broni najwięcej blatnym zależało

Robotę, zwaną w żargonie złodziei rosyjskich: „na fotografa”, we wschodniej i południowej Polsce określa się wyrazami: „na gut morgen”, albo „na dzień dobry”. Jest to najłatwiejszy rodzaj specjalności złodziejskiej. Nie wymaga żadnych narzędzi i, w razie wsypy, wyroki są małe. Złodziej tej kategorii wychodzi z rana na miasto i

obiera sobie jakąś ulicę. Wówczas odwiedza wszystkie frontowe wejścia domów. Idzie cicho schodami w górę i próbuje drzwi, prowadzących do poszczególnych mieszkań, szukając otwartych. Jakże często lokatorzy, wychodząc pośpiesznie z mieszkania nie zatrząskują dokładnie drzwi. Czasem zostawiają je otwarte dzieci, idące do szkoły. Nieraz drzwi nie mają zatrząsków, a zamykają się na klucz lub zasuwę od wewnątrz, więc przy wyjściu kogoś z lokatorów zaniedbuje się ich zamknięcie przez domowników.

Gdy złodziej znajduje otwarte drzwi, to przez chwilę nasłuchuje, a potem cicho je otwiera. Dobry fachowiec robi to jednym krótkim, prędkim ruchem. Uważa zawsze, że drzwi skrzypią, więc przy prędkim ruchu po prostu „nie zdążą skrzypnąć”. Złodziej nie otwiera drzwi szeroko — tyle tylko, aby móc wejść. W przedpokoju złodziej rozgląda się, czasem świeci latarką i jeśli wszystko jest w porządku, wybiera najlepsze palto, futro, lub w ogóle to, co mu się podoba i ulatnia się. Jeśli w tym czasie ktoś wejdzie do przedpokoju, a złodziej nie zdąży ujść, lub ukryć się, to zwykle mówi: „dzień dobry”! Stąd: chodzić na „dzień dobry”, lub „na gut morgen”, albo „na fotografa” — od zdjęcia... naturalnie z wieszaków.

Złodziej, który napotyka kogoś z domowników w przedpokoju, zwykle wymienia jakieś nazwisko i pyta, czy ów pan jest w domu. Przeprasza, że wstąpił nie do tego mieszkania lub domu. I wynosi się. Jeśli nie przyłapano go na schodach ze zdobyczą, to trudno mu udowodnić nieuczciwe zamiary.

Robota, którą chłopaki zamierzali wykonać na dancingu miała odrębny charakter. Szatnia była urządzone na prawo od wejścia. Stanowiła duży

pokój, o drzwiach prowadzących do sieni i od tyłu. Poza tym z tyłu były okna, które wychodziły na dużą oszkloną werandę. Za werandą był pusty dziedziniec.

Kazik Morecki i Filip Łysy weszli do lokalu. Kupili w kasie dwa bilety i udali się z początku na salę. Tam orkiestra rznąła poleczkę. Po środku sali wirowały w tańcu pary. Byli to przeważnie wojskowi i różnego autoramentu damy. Na krzesłach i ławkach siedziało sporo widzów. Podłoga była postrzępiona obcasami. Sala pełna dymu tytoniowego. Kilku tancerzy było pijanych. W jednym z bocznych pokojów przytulił się bufet. Tam na półmiskach leżały ciastka i kanapki. Na ladzie lśnił ogromny samowar. Lecz goście przeważnie prosili o „mleko”. Nalewano je z dużego imbryka. Mleko widocznie było dość mocne, bo jego amatorzy po wypiciu soplowali, marszczyli się i przegryzali kanapkami. Potem uzyskiwali dobre humory.

Filip Łysy wziął na talerz cztery kanapki i poszedł do szatni. Tam postawił je na szerokiej desce, zastępującej ladę i zwrócił się do obsługującego szatnię mężczyzny:

— Masz szklanke, albo kubek?

— A o co chodzi?

— Chcę wypić, psia mać, a nie znoszę tłoku. Wolę tu z tobą pociągnąć. Taki chłód, że warto się rozgrzać.

Filip wydobył z kieszeni półlitrowkę nieco rozcieńczonego wódą spirytusu i nalał trochę do podanego mu zza lady kubka...

— Do ciebie, obywatelu!

Wypił. Wziął kanapkę do przegryzienia i nalał prawie cały kubek.

— Wal „bracie” na zdrowie! — rzekł do szatniarza.

Tamten chętnie wyszał wódkę i też przegryzał. Wkrótce urządził się porządnie i plótł jakieś głupstwa. Tymczasem Baran i Glista od tyłu otworzyli drzwi na werandę. Potem wyjęli szybkę z okna do szatni i otworzyli haczyki. Wówczas Glista jak cień wślizgnął się do szatni. Był najlepszym „szniferzem” miasta. W dzień niezgrabny, małowówny, groteskowy, na robocie się przeradzał. Był jak wąż, który wszędzie mógł się wślizgnąć, a poruszał się bez szmeru nawet w zupełnej ciemności.

Teraz Glista, przesuwając się za wieszakami, dotarł do drzwi i odemknął je. Wstępne przygotowania do roboty były ukończone. Baran i Glista oczekiwali na znak do roboty. Znakiem tym miało być zgaszenie światła w całym budynku.

Filip Łysy, stojąc przy ladzie, dostrzegł, że chłopaki otworzyli drzwi do szatni. Na chwilę porzucił swego kompana i wszedł na salę tańców. Skinął głową Kazikowi i wrócił do lady.

— No, wypijmy na zakończenie!

Morecki wyszedł z sali do przedpokoju. Tam odemknął szabrem drzwiczki małej szafki, w której były umieszczone korki od instalacji elektrycznej. Czekał. Po krótkiej przerwie orkiestra zaczęła grać. Hałas na sali przybierał na sile. Coraz więcej par dołączało się do tańczących. Wówczas Morecki wykręcił dwa korki i zatrzasnął szafkę. Cały budynek zaległa ciemność. Na dworze rozległ się warkot motoru. Filip Łysy prawił coś swemu kompanowi od pijatyki, który był zalany potężnie. Orkiestra jeszcze grała w ciemności.

A z tyłu szatni Glista i Baran wyładowywali wieszaki. Wkrótce dołączył się do nich Morecki i

nosił stosy ubrania ku wyrwie w parkanie. W parę minut szatnia była pusta. Na ciemnej sali rozlegały się przekleństwa, świsty, tupotanie nogami. Rozbrzmiewały niecierpliwe, zirytowane głosy:

— Dawaj światło!

— Co za cholerne porządki!

Blatni szybko wladowali swą zdobycz na auto, które zajechało w zaułek i stanęło przy wyrwie w parkanie. Potem odjechali, wprost do umówionego z góry pasera. Tam, przy świetle, uporządkowali wszystko. Było sporo krótkiej palnej broni, kilka teczek i torebek, dużo palt i jesionek, wiele damskich palt, a najwięcej wojskowych płaszczy.

Paser obejrzał i obliczył „szmokty”. Filip Łysy z humorem reklamował pewne sztuki ubrania:

— Zobacz, jaki „kluft” — potrzasał szerokim damskim paltem. — Tylko na „szop” chodzić. Królowa Madagaskaru takiego nie ma!

Blatni podzielili na miejscu pieniądze, broń, teczki i różne drobiazgi, które znaleziono w okryciach, lub torebkach. Potem rozeszli się.

Paser zapłacił złodziejom nie więcej jak piątą część wartości „barachła”. Potem te rzeczy segregowano. Część ich, po odpowiednich przeróbkach, zmieniających zupełnie ich wygląd, sprzedawano przez pośredników na miejscu. Inne, odsprzedawane, wędrowały nieraz bardzo daleko — do innych województw, a nawet dzielnic kraju.

Ażur znów wyruszył na południowy - wschód po następną partię towaru. Przykro mu było zostawiać Marysię, lecz nie było innej rady. Musiał kontynuować swą rolę dostawcy papieru i materiałów piśmiennych dla miejskich urzędów Mińska. Poza tym, nie mówiąc nic kochance, postanowił znaleźć dla niej inne miejsce pobytu. Wciąż bał

się o jej bezpieczeństwo. Śmiały, opanowany, drżał teraz, myśląc, że Marysia musi żyć w szalejącej w krąg niej krwawej wichurze.

Sprytnie klucząc Ażur dotarł do Rostowa. Po zbadaniu miasta i naradzie ze znanymi mu blatnymi, ruszył dalej na Armawir. Wreszcie uwagę jego ściągnął cichy, piękny, z dala i na uboczu, od druzgoczących Rosję burz, położony Piatigorsk. Tu życie szło zwykłym trybem. Było łatwo o żywność. Olśniewał przepych natury. Wszędzie mnóstwo kwiatów i owoców. Ludzie mili, uprzejmi, ufni. Nie zatruto ich jeszcze jadem demagogicznej propagandy: nie obrócono w oszalałe ze strachu o życie zwierzęta.

Ażur miał dużo pieniędzy. Poza tym sporo gotówki ulokował w biżuterii i złocie. Przywiózł to wszystko ze sobą. Chciał za te skarby kupić miłe i bezpieczne schronisko dla swego największego klejnotu na świecie — Marysi. Mógłby kupić nawet dużą willę z sadem, lecz postanowił wynająć mały domek lub mieszkancko na peryferiach miasta. Nie chciał niczym zwracać na siebie uwagi otoczenia. Przypuszczał, że huragan i tu może sięgnąć. Lecz tu łatwiej będzie żyć i przetrwać, ze względu na odrębny od Rosjan charakter ludności, dobry klimat i trudne do zniszczenia bogactwa kraju.

Po pewnym czasie znalazł położony od strony Maszuka mały, schludny domek. W sadzie było kilkanaście drzew owocowych i nieduży ogród warzywny. Dom był do sprzedania lub wynajęcia na dłuższy termin. Ażurowi przypadł do gustu, więc nie zwlekając zapłacił dzierżawę za rok z góry i, hojnie płacąc, polecił żonie mieszkającego obok ogrodnika Gruzina, uporządkować wszystko. Kupił potrzebne rzeczy. W dwa dni wszystko było go-

towe do zamieszkania. Wówczas Azur zostawił domek na opiece tego właśnie sąsiada i odjechał, obiecując sprowadzić się tu w ciągu miesiąca. Posiadane klejnoty i złoto Azur ukrył w altance.

Od wyjazdu Azura z Mińska upłynęły dwa tygodnie. Obiecał Marysi wrócić najpóźniej po takim okresie czasu. Wiedział, że będzie o niego niepokojna i to martwiło go ogromnie. A jeszcze musiał odbyć trudną, długą i niebezpieczną drogę powrotną. Chciał przy tym sprowadzić małą — ostatnią — partię towaru. Zamierzał solidnie się wywiązać z podjętego zadania. Przecież otrzymał prócz gotówki za dostarczony poprzednio towar, jeszcze raz zaliczkę w sumie 5 milionów rubli. Azur był złodziejem, lecz nawet przez myśl mu nie przeszło, że można zobowiązania nie dotrzymać. Słowo solidnego, firmowego złodzieja jest pewniejsze, niżli każdy weksel, kontrakt lub umowa w społeczeństwie normalnym. Tu mogą być różne wykręty, interpretacje. Złodziej umawia się prosto i prosto umowy dotrzymuje. Tę „dziwną” uczciwość w dotrzymywaniu zobowiązań w świecie przestępczym wytworzyło życie, w którym od słowa kolegi, od zwykłej umowy, zależała często egzystencja, wolność lub nawet życie.

Marysia Zapolska niecierpliwie oczekiwała powrotu „męża”. Sklep był pusty. Miała do sprzedania tylko papier pakowy i kolorowe ołówki. Jednak codziennie otwierała sklep i odsiadywała godziny handlu. Tak czas prędzej leciał. Klientów było mało. Prywatną publiczność odstraszała nalepiona od wewnątrz — na szybie drzwi — kartka że sklep pracuje na użytek instytucji miejskich.

Wieczorami Zapolska zamykała sklep i w ciasnym mieszkanku spędzała resztę dnia na szyciu, porządkowaniu rzeczy, gotowaniu i lekturze. Na

ulicę nie wychodziła wcale. Obawiała się rozbestwionych, pijanych żołdaków. Była więźniem, niecierpliwie oczekującym wybawiciela.

Minęły dwa tygodnie, a Azur nie wracał. Marysia coraz więcej smutniała. Straciła chęć do jedzenia i do pracy. A z upływem kilku następnych dni orgarniał ją coraz większy niepokój. „Droga tak trudna, niebezpieczna. Mogła mu się przydarzyć jakaś zła przygoda”.

Zaczęła wieczorami kłaść nieskończące się pasjansy. Była szczęśliwa, gdy pasjans się udawał. „Wróci jutro! Wróci!”. A gdy pasjans nie wychodził, pograżała się w jeszcze większym smutku. Pewnego dnia, idąc spać podeszła do lustra. Z początku uważnie i krytycznie oglądała siebie. „Co on we mnie widzi pięknego?”. Nagle do oczu jej napłynęły łzy. Oparła dłonie o ramę lustra i zawołała: „Lustro, zlituj się! powiedz mi gdzie jest mój Janek? Lustro, powiedz, powiedz!... Pokaż!”

Noce stały się dla niej straszne i długie. Dnie też wlokły się w nieskończoność, wieczorami stawiała lustro na stole i rozmawiała z nim jak z żywą istotą. Lecz lustro milczało i ukazywało jej coraz bledszą twarz i pełne trwogi i bólu oczy.

„Lustro powiedz mi!... Zlituj się!... Ja nie mogę tak żyć!... Już trzy tygodnie... Powiedz!...

Dzwoniła cisza, a w nią czasem wplatało się warczenie Czarnego Kruka.

„Lustro...”

W drugim dniu czwartego tygodnia nieobecności Azura, ulicą Zacharzewską mknęło auto. Siedział w nim komendant Kriwoszejn. Był trochę pijany i zły. Prześlizgnął się oczami po zamkniętych sklepach, zauważył otwartą wystawę sklepu Zapolskiej. Były tam symetrycznie ułożone kolorowe ołówki. Kriwoszejn kazał szoferowi zatrzy-

mać wóz. Wszedł do sklepu. Nie witając się zapytał ostro:

— Jest papier do maszyny?

Zapolska wstała zza lady.

— Sprzedaję prywatnie tylko ołówki kolorowe i papier pakowy.

— Ja nie pytam o ołówki ani papier klozetowy, a o papier do maszyny? — ostro rzekł komendant.

— Mam trochę papieru do maszyny, lecz nie sprzedaję. Ten sklep pracuje tylko dla miejskich insytnucji. Właściciel wyjechał po towar i ja bez niego nic nie załatwiam.

— Nie załatwiasz? To ja cię załatwię!

Kriwoszejn trzasnął drzwiami i wyszedł ze sklepu. Na chwilę stanął i przeczytał na szyldzie zaświadczenie, z okrągłą pieczęcią Gorispolkomu, stwierdzające, że sklep pracuje na użytek miejskich urzędów i jest wolny od zajęcia, podatków i rekwizycji. U dołu, pod podłużną pieczętką „prezes Gorispolkomu” był podpis Rodina.

— A, ten Żydzina jeszcze tu! Do Moskwy z nim, albo do Palestyny!

Kriwoszejn ponownie odemknął drzwi do sklepu, zerwał dokument z drzwi i podarł go.

— Co pan robi?! — zawołała przerażona Zapolska.

— To co mi się podoba! Ciebie też mogę zlikwidować! Jestem komendantem miasta!

I wyszedł. Znów trzasnął drzwiami; tym razem mocniej. Posypało się z nich szkło.

Zapolska złożyła dłonie i przerażona patrzyła na leżące przy wyjściu strzępki papieru.

Boże, po co ja otwierałam ten sklep! Trzeba było siedzieć przy zamkniętych drzwiach, póki Jan wróci!

Kriwoszejn pojechał do Cze-Ki. Tam wstąpił do kierownika Wydziału Politycznego. Był to jego kolega od kieliszka i hulank. Popierali się nawzajem i załatwili już sporo wspólnych spraw. Np.: oczyszczenie z burżujów potrzebnych im mieszkań. Dokonywało się to w ten sposób, że burżuje szli do więzienia, a stamtąd na Komarówkę dla likwidacji. Następnie władze „oczyszczały” mieszkania z rzeczy. Dopiero po tym mieszkaniu przydzielano (często za wysoką łapówką) temu, kto o nie się ubiegał. Było wiele innych sposobów łupienia ludzi i zdobywania pieniędzy, biżuterii i rzeczy, a czasem załatwienia porachunków osobistych, lub cudzych — naturalnie za dobrą opłatą.

Kierownik Wydziału Politycznego był zajęty. Miał stale masę roboty, bo Cze-Ka w Mińsku chciała odpowiednią statystyką aresztów i straceń, pokazać centralnym władzom swą gorliwość. Lecz dla komendanta znalazł czas. Wyprosił z pokoju obecnych tam urzędników i wskazał na krzesło.

— Siadaj! Jest coś nowego?

— Mam osobistą sprawę. Chcę, żebyś zlikwidował mi tu jedną burżujską sukę.

— Co za jedna? Za mało dała, czy za dużo?

— Po prostu chcę ją rozumu nauczyć. Za bardzo nosa zadziera. Ma sklep, ma towar, a nie chciała mi sprzedać. Wie, że nie zapłacę jej po cenach spekulacyjnych, więc...

— Aha, spekulantka!

— Jeszcze jaka! Na pewno tam i złotko się znajdzie. Tylko trzeba flądre dobrze przycisnąć... To już mnie nie interesuje.. To twoja robota.

— Jak nazwisko i imię?

— Zapolska Maria... Zacharzewska ulica Nr 37 ..mieszkanie 2... sklep materiałów piśmiennych.

Kolega komendanta zanotował na kartce pa-

pieru te dane i wsadził je pod kałamarz.

— Dziś w nocy zrobimy rewizję a za tydzień lub dwa: pod ściankę.

— Dziękuję i do widzenia. Mam tyle spraw, a jeszcze ta swołocz czas mi zabrała.

Uścisnęli sobie dłonie i Kriwoszejn wyniósł się z gmachu Cze-Ki.

Marysia Zapolska, po opuszczeniu sklepu przez Kriwoszeina, spuściła żaluzje na wystawach sklepu i zamknęła drzwi. Weszła do mieszkania. Ogarnął ją strach. Nie wiedziała co robić, a wyczuwała, że jakaś groza zawisła nad nią, nad jej wolnością, życiem i szczęściem. Nie mogła nic robić. Myśli plątały się w mózgu. Wreszcie pośpiesznie ubrała się, wkładając najgorszą suknię, aby wyglądać jak najnędzniej. Zebrała wszystkie pieniądze jakie miała w mieszkaniu i schowała je na piersi pod bluzką. Zamknęła mieszkanie i wyruszyła na miasto.

Prędko szła ulicami bez celu. Z początku gnała ją myśl: oddalić się jak najwięcej od domu. Potem zmęczyła się i zaczęła iść wolniej.

Mijały godziny. Nadchodził wieczór. Kilka razy zaczepiali ją mężczyźni. Niektórzy byli pijani. Zapolska zaczęła znów zbliżać się do śródmieścia. Znalazła na bulwarze przy ulicy Zacharzewskiej samotną, w kąciku ogrodu ustawioną ławeczkę i tam się usadowiła. Schowałyby się pod ziemię, aby jej nie widziano...

Nie jadła od rana, lecz głodu nie czuła. Ogarnęło ją zmęczenie.

„A może Jan wrócił? — myślała. — Znajdzie mieszkanie zamknięte i będzie czekał. Co robić?...”

Wreszcie, zrezygnowana zupełnie, powlokła się ulicą Zacharzewską w kierunku domu.

„Cóż ja poradzę, Janku? — szeptała jak w go-

raczce. — Ja taka słaba, mała... Wróc dziś!... Ratuj!'.

Przypatrywała się śpieszącym ulicą przechodniom. Gdzieś w głębi duszy tliła się nadzieja, że Ażur wróci i uratuje ją. Weszła cichutko do bramy i stanęła w ciemności. Nasłuchiwała. Ulica zamierała. Cywilni przechodnie znikali. Szurgały tylko buty wojskowych i słychać było obce w tym mieście słowa i głosy zdziechałych bolszewickich żołnierzy.

Marysia cichutko odemknęła mieszkanie i weszła do środka. Zamknęła za sobą drzwi na zasuwę i hak. Zaciemniła dokładnie okna i wówczas dopiero zapaliła światło. Nie zdejmując nędznego paletka usiadła na krześle przy stole i tak trwała bez ruchu... Bezradna... Bezsilna...

Mijały godziny. Zbliżała się północ. Marysia zdjęła palto. Włożyła do szuflady stołu pieniądze i podeszła do lustra. Zdjęła je z toaletki i postawiła na stole. Długo w nie patrzyła. Z oczu jej płynęły łzy.

— Janeczku... Kochany... Janeczku, co robić?... Lustro powiedz mi... Pokaż mi gdzie jest?... Powiedz co robić?... Ja już nie mogę... Za słaba jestem... Może nie żyjesz, Janku, to i ja umrę... Ja nie mogę sama teraz żyć... Nie mam sił... Janeczku... Lustro... Boże, jacy ludzie są straszni! Jacy potworni!... Za co to?...

Słaniając się na nogach podeszła do łóżka i położyła się w ubraniu. Bała się rozebrać. Bała się zgasić światło. Bała się tego mieszkania, miasta, świata, ludzi... Wtulili głowę w poduszkę i długo płakała...

Tak usnęła...

„Chyba to wojna! Armaty!'.

Usiadła na łóżku, obudzona z ciężkiego snu, lecz

po chwili zorientowała się, że to z zewnątrz biją w drzwi. Serce jej drgnęło. Porwała się z łóżka. Spojrzała po mieszkaniu. Oczy jej zatrzymały się na obrazku Matki Boskiej, który miała po matce i wszędzie wozila ze sobą. Zdjęła go ze ściany, pocałowała i włożyła pośpiesznie do kieszeni. Przeżegnała się i poszła ku drzwiom, prowadzącym z kuchni na korytarz. Bito w nie kolbami czy butami. Marysia zupełnie spokojnym głosem zapytała głośno:

— Kto tam?

— Otwieraj natychmiast! Już!

Zapolska otworzyła drzwi.

— Proszę. O co chodzi?

Z ciemnej sieni wbiegło do mieszkania pięciu ludzi. Odtrącono Zapolską na bok. Jeden cywil trzymał ją za rękę. Dwóch krasnoarmiejców i dwóch cywilów oglądało tymczasem mieszkanie.

Na szczęście byli trzeźwi. Po obejrzeniu mieszkania i sklepu zamknęli drzwi. Dopiero teraz mieli rozpocząć rewizję. Jeden z trzech cywilnych agentów szarpnął Zapolską za ramię, wyrzucając ją prawie na środek pokoju. Zobaczyła złe, mętne, pełne nienawiści oczy. Spokojnie w nie patrzyła. Agent mówił urywanie, jakby szczeakał:

— Napilaś się cudzej krwi... Dość... Mów od razu gdzie masz pieniądze, złoto, bo jak nie... — nie skończył zdania.

Marysia słyszała jego świszczący, zachrypnięty głos. Czowała zgnity oddech. Myślała: „I to człowiek!”. Zupełnie spokojnie odpowiedziała:

— Pieniądze wam oddam wszystkie. Złota nie mam zupełnie. Możecie brać wszystko co wam się podoba.

Wysunęła szufladę i wyjęła z niej na stół spore pliki banknotów, które uprzednio, opuszczając

mieszkanie, zabrała ze sobą. Agent przerzucił banknoty i obrócił ku niej szarą twarz.

— Więcej nie masz?

— Nie.

— Zobaczymy... Ale jak znajdę, to pożałujesz!
— wskazał palcem Marysię: Zrewidować ją!

Dwóch agentów zabrało się do Marysi. Wywrócono jej kieszonki. Zdarto z szyi srebrny łańcuszek z krzyżykiem. Znaleziono obrazek Matki Boskiej. Agent, który go wyjął, zapytał Marysi:

— A to co za ścierwo!?

— To obrazek Bogarodzicy.

— Tak. Poproś ją teraz, żeby ci pomogła. Ty główniaro! Idiotko!

Podarł obrazek i rzucił na podłogę.

Marysia miała nędzną, brzydką twarz i zapadnięte oczy. Ale dokoła siebie roztaczała spokój. Ta słaba, wrażliwa kobieta zdobyła się w tej ohydnej sytuacji, wobec tych potwornych ludzi, na majestat spokoju i godności. Jeden z agentów rzekł do towarzyszy:

— Który chce z nią się pobawić? — skinął głową na Zapolską i łóżko.

Inny odezwał się:

— Za dużo honoru dla takiej łachudry!

I to, czego najwięcej się bała Marysia, ominęło ją. Lżej odetchnęła. W tej chwili strącono ze stołu lustro — jedyne go towarzysza ciężkich wieczorów... Stłukło się.

Pięciu mężczyzn zrobiło rewizję sklepu i mieszkania. Robili to prędko i sprawnie. Rewizja trwała długo. Nad ranem mieszkanie wyglądało jak rupieciarnia. Kazano Zapolskiej wprowadzić się do piwnicy. Tam zbadano wszystko. Jeden cywil długą stalową sondą szukał rzeczy ukrytych w ziemi. Potem zaczął przeszukiwać sondą ziemię na

korytarzu. Marysia z niepokojem śledziła teraz jego ruchy. Tuż przy drzwiach zakopała sama pudełko ze złotem, które dał jej Azur. Znała dokładnie miejsce. Sonda coraz bardziej zbliżała się do niego. Zacisnęła dłonie w pięście. „Znajdą”. Sonda dotknęła tego miejsca. Zanurzyła się... Nic. Znów się zanurzyła... Nic. Przeszła dalej...

„Cud!”.

Zapolska była zdumiona. Sonda musiała oprzeć się o żelazne pudełko. Nie wiedziała, że Azur przed wyjazdem wykopał złoto z ziemi i wziął ze sobą. Nie chciał jej niepokoić, opowiadając o swoim zamiarze dalekiej podróży na południe, dla wyszukania azylu dla niej i dla siebie.

Gdy rewizja była skończona zawołano prezesa Domkomu. Opieczętowano drzwi. Zamknięto je i oddano mu klucz.

— Głową odpowiadasz za to mieszkanie! — rzekł do niego jeden z agentów.

Drżący ze strachu prezes Domkomu wziął klucze. Nie mógł mówić. I na niego padł cień Czerezwyczajki.

Mglistym rankiem auto wyjechało z podwórza w kierunku Cze-Ki. Marysia siedziała na tylnej ławce między dwoma agentami. Wyszepiała jedno słowo: „Żegnaj!”.

XI.

GALOWY WYSTĘP FILIPA ŁYSEGO

Po długiej i ciężkiej wędrówce, klucząc między wrogimi sobie politycznie obozami, Ażur przedostał się z południa Rosji do Moskwy. Wyminął wiele niebezpieczeństw i poznał dokładnie drogi, którymi zamierzał wywieźć Marysię z Mińska. Był bardzo niespokojny i zdenerwowany. Wiedział, że Marysia może mieć najgorsze przypuszczenia co do jego losu. Zawsze był bardzo punktualny, a teraz spóźnił się o dwa tygodnie. Lecz, nie bacząc na największe wysiłki i pośpiech, nie mógł wrócić wcześniej. Musiał przechodzić dziwne "granice", które „pływały” w różnych kierunkach. Trzeba było zmieniać ubrania i dokumenty. Raz przedarł się przez front między białymi a czerwonymi. Pod Moskwą pociąg uległ katastrofie w której zginęło sporo ludzi. Ażur został ranny, co prawda lekko, musiał jednak nosić bandaż.

Z zakupu papieru zrezygnował. Zająłoby mu to jeszcze najmniej tydzień czasu. Postanowił wrócić bez ładunku i oświadczyć władzom, że transport nadejdzie, a za wziętą zaliczkę obdzielić urzędy resztą papieru, posiadanego na składzie u Zapolskiej. Wartość jego wynosiła w przybliżeniu

wysokość wziętej zaliczki. W ten sposób zlikwidowałby swoje sprawy w Mińsku i wyruszył z Marysią na Kaukaz.

Azur jechał z Moskwy pociągiem „dalekiego przeznaczenia”. Składał się on ze starych towarowych wagonów. Ludzi było tyle, ile mogło się wtłoczyć. Dachy i bufory też były zajęte. Podróż z Moskwy trwała dwa dni.

Im bardziej pociąg się zbliżał do Mińska, tym większy niepokój i niecierpliwość ogarniały Azura. Wreszcie Mińsk. Zawalony ciałami ludzkimi peron i poczekalnia.

Był już wieczór. Azur pośpiesznie udał się z dworca do hotelu Noworosyjskiego. Rozebrał się, umył się cały, z trudnością posługując się dużą miednicą, bo kąpiel w mieście, ani w hotelu nie było. Poprawił opatrunek na ramieniu. Wdział czystą bieliznę i ubranie. Swoją podróżny garnitur i bieliznę wrzucił do kaflowego pieca w rogu pokoju. Podłożył kilka szczap drzewa i zapalił je. Wszystko roilo się od wszy, których masy oblażyły go w podróży. Potem pośpiesznie wyszedł na miasto.

Azur niczego się nie obawiał. Miał dobre dokumenty, które chroniły go wśród czerwonych w każdej sytuacji. Był pewien swej wprawy fizycznej. Dobrze mówił po rosyjsku. Posiadał nawet pozwolenie na broń i miał dobry, wypróbowany pistolet. Jednak dręczył go jakiś niepokój. Miał przeczucie, że stało się jakieś nieszczęście. Szedł coraz prędzej.

Wstąpił do bramy, na dziedziniec, do korytarza. W ciemności zapukał lekko — jak zwykle — klamką do drzwi. Zawsze natychmiast słyszał wewnątrz lekkie, prędkie kroki. Teraz było cicho... Za bardzo cicho... Zapukał mocniej... Bez skutku...

Wówczas zaświecił latarkę. „Może Marysia gdzieś wyszła i zostawiła kartkę na drzwiach?”

Lecz zamiast kartki zobaczył dwie czerwone pieczętki, a między nimi sznurek. Po raz pierwszy w życiu Ażur stracił panowanie nad sobą. Patrzył zdrętwiały na te straszne oznaki przemocy — jakby patrzył na grób swego kochania, na grób Marysi. Latarka elektryczna świeciła bez przerwy.

Ażur szedł dziedzińcem i gwizdał walczyka. Pierwszy raz od miesiąca znów gwizdał. Otworzył drzwi do mieszkania dozorca kamienicy. Ażur umiał łatwo zdobywać sobie serca prostych ludzi. Robił to wszędzie bez wysiłku. Prosto i szczerze podchodził do tych ludzi, i tym, oraz osobistym wdziękiem, a poniekąd hojnością, zjednywał ich sobie. Dozorca zawsze bardzo serdecznie odnosił się do niego i do Marysi. Chętnie im pomagał we wszystkim i był bardzo życzliwy.

Dozorca był zdziwiony wejściem Ażura.

— Panie! U nas takie nieszczęście!

— Co takiego?

— Panią Zapolską aresztowali czekiści. W nocy przyjechali i zabrali.

— Dawno?

— Trzy dni temu. Mieszkanie zapieczętowali, a klucz oddali prezesowi Domkomu. Powiedzieli, że głową za tamto mieszkanie odpowiada. Może to niedobrze, że pan tu przyjechał. Ale czemu pan nie siada?

Ażur usiadł.

— Może wiadomo za co ją aresztowali?

Dozorca rozwiódł ciemne, spracowane dłonie.

— Nikt nic nie wie... A biorą byle za co... Wiadomo jaki teraz czas. Jak nie będzie zmiany wszystkich wywiozą i pomordują. Życ się nie chce. Mnie dwa razy wołali do Cze-Ki, że mam meldować —

jak tam coś zauważę w kamienicy. Powiedzieli, że jak nie zamelduję, to i mnie zabiorą. Ale ja tam nie skory do tego. Za późno mi być Judaszem. Nie nawykły ja do tego.

Ażur słuchał i cicho gwizdał. A w głowie przewijał się rój myśli. „Przede wszystkim dowiedzieć się gdzie jest Marysia... A jeśli nie żyje... Nie. Na pewno żyje... Tak prędko oni nie likwidują. Najmniej tydzień posiedzi”.

Powstał i mocno uściśnął dłoń dozorca.

— Dziękuję bardzo.

— Może chcecie jeść, albo przespać się. Proszę. Teraz późno. Strach chodzić po mieście.

Lecz Ażur nie mógł spokojnie usiedzieć. Musiał gdzieś iść, coś robić, aby ratować Marysię. Przychodziła mu do głowy Cypa, właścicielka truszczoży, Żaba i Filip Łysy. Wszyscy mieli swoje „chody” i mogli mu dopomóc. Na Gorispołkom nie liczył. Wyczuwał, że to stało się słabym oparciem jeśli Marysię aresztowano.

Ponieważ Filip Łysy mieszkał najbliżej Ażur pośpiesznie poszedł do hotelu „Europa”, gdzie był już dwa razy. Na szczęście zastał blatnego w domu. Leżał na dobrze zasłanym łóżku w zabłoconych butach i ubraniu, i spał. Był pijany. Ażur obudził go.

— Jakiej cholery i tak dalej... — były pierwsze słowa Filipa.

Ale wnet poznał Ażura, ziewnął i, podrapując łysawą czaszkę o wyniosłym czole, usiadł na łóżku. Ażur zaczął spokojnie i dokładnie opowiadać mu wszystko o założeniu sklepu, umowie z Gorispołkomem, wyjeździe dla zakupu papieru, powrocie, opieczętowanym mieszkaniu i rozmowie z dozorcą. Filip znał Marysię i bardzo szanował. Ogromnie się przejął tą sprawą.

— Wiesz co — rzekł do kolegi. — Coś mi przychodzi do głowy, ale myśleć nie mogę: łeb pęka i tak dalej. Muszę wypić. To mi pomoże. Wyjął z szafy flaszkę wódki. Zwrócił się do Azura:

— Wypijesz?...

— Nie chcę. Nie piłem już miesiąc i teraz nie chcę.

— Za zdrowie Marysi!

Filip wypił sam, zmarszczył się, zapalił papierosa i przez chwilę milczał. Potem, uśmiechając się, zaczął mówić:

— Wiesz co, kolego? Mnie chłopaki szanują, lubią, ale uważają, że, hyzia mam i tak dalej. A ja tylko powiedzieć do rzeczy nie umiem nic, a każdą sprawę tu mam — pokazał na dłoń. Twoja sprawa też jest dla mnie jasna. Całej złożyć nie umiem ale pod hajrem ci mówię, że ja twoją Marysię wydobędę i tak dalej... Ot co!

Filip liczył na swoją znajomość z Kriwoszeinem. Był pewien, że jeśli go przycisnie to uzyska zwolnienie Marysi. Więc teraz chciał się „poindeyczyć” trochę i popisać swoimi możliwościami przed poważanym przez niego firmowym blatnym. Zresztą rzeczywiście nie wiedział jaki sposób działania będzie najlepszy.

Zacząła się narada. Rozważano wszechstronnie każdy szczegół. Zrobiono następujące wnioski. Pierwszy: Marysia była zupełnie czysta, w mieszkaniu nie było nic, co by ją kompromitowało. Drugi: sklep i towar był do dyspozycji władz miejskich a Marysia pracowała na użytek bolszewickich urzędów. Trzeci: należało bezwzględnie ustalić, czy Marysia żyje i gdzie jest? Na czyj rozkaz ją aresztowano? Jaki był powód aresztu?

Trzeci wniosek wyjaśniłby całą sprawę i wówczas dopiero można było obrać sposób ratowania

Marysi. Filip, trochę podпиты, uderzył się w pierś i z patosem rzekł:

— Kolego, kochany! Ja komendanta trzymam za gardło i tak dalej. Co chcę z nim zrobić. A dla ciebie i Marysi nawet życia, i tak dalej, nie pozwalę. Zróbmy tak. Zatelefonuję do tego sukinsyna komendanta i zażadam sprawozdania dlaczego została aresztowana Marysia? Niech pies poskacze poszczeka. Co, jak mam szukać?

Filip Łysy wziął słuchawkę telefonu, który przed dwoma tygodniami zainstalował mu wdzięczny komendant.

— Połączyć z Komendanturą!

—

— Mówię ja, delegat Ciku.

—

— Dać gabinet komendanta... Nie ma?... Połączyć z mieszkaniem...

Czekam...

Filip Łysy skinął głową Ażurowi i pokazał zacisniętą pięść. Potem odchrząknął i podniósł w górę brwi.

— Tak... Ja... Azja...

—

— To wszystko mnie nie interesuje i tak dalej. A Rodina, jak mnie znudzisz, znów tu sprowadzę i tak dalej... Inna sprawa... Tu u ciebie prawdziwy burdel i tak dalej! To mi się zaczyna nie podobać. Tak!

—

— Czekaj! Ja nie skończyłem. Proszę natychmiast dowiedzieć się w Czerezwyczałce kto wydał rozkaz aresztowania Marii Zapolskiej i tak dalej, która miała sklep materiałów piśmiennych, przy ulicy Zacharzewskiej i tak dalej. To sprawa wielkiej wagi!... Czekaj!... Ja nie skończyłem... Gdzie

obecnie jest?... Czekam przy telefonie...Linia zajęta...

Kriwoszejn struchlał. Słuchawka omal nie wypadła mu z rąk. Oczami ducha zobaczył triumfująco wracającego na swoje stanowisko Rodina, a siebie za kratami.

— W tej chwili... Przepraszam, towarzyszu delegacie, ja zaraz. Już. To chyba nieporozumienie. Zaraz się dowiem.

Powiesił słuchawkę. Chwycił się za głowę. Potem brutalnie wywinął w powietrzu pięciopiętrowym soczystym rosyjskim przekleństwem. Dotyczyło i Marysi, i Rodina, i delegata Azji, i jego samego. Zbiegł na dół do Komendantury i przez polowy telefon, poprosił natychmiast o połączenie z gabinetem naczelnika Wydziału Politycznego. Koleżka zaraz odezwał się. Kriwoszejn odetchnął.

— Towarzyszu, kiepsko! Wisimy! Rodin zdaje się „świnię” nam podłożył. Trzeba się ratować

—

— Chodzi o tamtą burżujkę, Zapolską, co z tamtym Żydem interesy robiła. Gdzie jest teraz?

—

— Żyje?... Dobrze... Na Archirejskim zaułku?... Dobrze...

—

— Proszę nie wychodzić z gabinetu. Natychmiast jadę do „Europy”, osobiście do tego drania Azji. Ot, cholera go przyniosła na naszą głowę. Może coś zrobię! On mnie trochę lubił. Spróbuję. Przecież tamtej małpie nie się nie stało. Rzeczy można zwrócić. Naturalnie... Więc czekaj! Do widzenia... Tak, zatelefonuję.

Przy Archirejskim zaułku, w narożnym domu, należącym do bloku domów cerkiewnych, urządzono jedno z licznych, zaimprovizowanych przez bol-

szewików więzień — przedśionków śmierci. Więzienie mieściło się w olbrzymich, ciemnych piwnicach. Tu nawet latem panowały chłód i wilgoć. W więzieniu tym ludzie nie długo gościli — zaledwie od dwóch dni, do dwóch tygodni. Lecz stąd była tylko jedna droga — w zimne objęcia Śmierci. O kolejce wyjścia na stracenie decydował przypadek i fantazja komendanta aresztu.

Do tego więzienia wrzucano przeważnie tych, których nie trzeba było badać. Sprawa była jasna: zlikwidować dla zabrania łupów i zniszczenia poszkodowanych. Z nich nie można było nic wydoستاć, bo nic nie mieli na sumieniu.

Wąskie okienka sączyły słabe światło spod wilgotnego sklepienia. Jeść prawie nie dawano. I po co? Nie zależało tu przecież na życiu. A męki głodowe nikogo nie obchodziły. Tylko od czasu do czasu przynoszono wodę w blaszankach. Kobiety siedziały tu razem z mężczyznami. To nikogo nie raziło. Ani strażników, ani aresztowanych. Tu panowała Śmierć, a cele odwiedzał obłęd. Dwa razy na dzień wypuszczano aresztowanych, po dwóch, z celi, do ustępu. Był to ustawiony na korytarzu duży drewniany kubeł, który cuchnął ohydnie.

Zapolska siedziała już cztery dni. Dwa razy w tym czasie zabierano z jej celi więźniów. Pierwszy raz wzięto, według spisu, trzech mężczyzn. Drugi raz — z dwudziestu ośmiu ludzi wzięto 17-tu. Zatrzymano się tuż przed jej miejscem na ziemi, gdzie leżała skulona z zimna.

Spokój, który ogarnął ją w chwili rewizji trwał dalej. Czula, że jest poza życiem. Przypuszczała, że Ażur też jest „tam”, myślała nawet..., że na nią czeka. Śmierć zdawała się jej wyzwoleniem. Nie bała się wcale. Przez te cztery dni nic nie jadła. Z początku czula głód, lecz gdy przy-

niesiono zupełną i 150 gramów chleba, nie mogła tego jeść. Tak wstrętne były naczynie i ręce, które rozdawały chleb. W trzecim dniu głodu już nie czuła. Tylko zaczęła się lekka gorączka i nogi słabły. Więc leżała lub siedziała na ziemi.

Z początku patrzyła zdziwionymi oczami na towarzyszy swej niedoli, którzy zatracali godność ludzką, błagając żołdaków o jedzenie lub o życie. Była świadkiem dwóch wypadków obłądzenia. Potem nie zwracała uwagi na nic. Zamknęła się w sobie. Straciła poczucie czasu i rzeczywistości. Nawet pić przestała.

Gdy Kriwoszejn dowiedział się od kierownika Wydziału Politycznego, że Zapolska żyje i że jest w areszcie, to nieco się uspokoił. Kazał szoferowi wieźć siebie wprost do „Europy”. Było tam nawet bliżej, niż do Komendantury. Zresztą wolał osobiście sprawę załatwić, niż polegać na porozumieniu telefonicznym. Popatrzył na zegarek. Była godzina 10-ta. Mozolnie kombinował jakby wykręcić się z tej sytuacji. Zaczął kłaść. Szofer, myśląc, że to dotyczy jego, przyspieszył jazdę.

Stanęli przed „Europą”.

— Czekaaj tu! — rzucił komendant szoferowi. Podążył w kierunku pokoju Filipa Łysego. Zapukał nieśmiało. Wewnątrz rozległ się znany mu, obojętny, pewny siebie głos:

— Właż!

Kriwoszejn westchnął głęboko i wszedł. Stał przy drzwiach.

— Dzień dobry. Przepraszam: dobry wieczór.

— Fajnie! Co dalej?

Kriwoszejn zaczął się uśmiechać.

— Donoszę uwrzejmie, że żyje, tylko z powodu

nieporozumienia siedzi przelotnie w areszcie. Ale to mogę zaraz odrobić. Bardzo przepraszam. Taki nawał spraw, że nie można wszystkiego dopilnować.

— Proszę odpowiadać na pytania, przerwał mu Filip Łysy i — przypominając sobie „styl” pewnego prezesa Sądu Okręgowego w Płocku, który mu ogromnie zaimponował, chociaż wlepił sześć lat więzienia — ściągnął brwi i przybrał poważną, „kamienną” minę.

— Proszę — rzekł pokornie komisarz.

— Za co została aresztowana?

— Za... za... nieporozumienie...

— Aha... Pięknie!... A z czyjego rozkazu?

— Przypuszczam... właściwie... — plątał się komenant.

Lecz pomyślał: „Wszystko jedno się dowie! A może już wie, tylko bawi się mną”.

— Pytam: z czyjego rozkazu?

— Z mojego... Przepraszam... tylko... nieporozumienie...

Filip Łysy zbliżył się do komendanta, wparł się rękami w boki i, milcząc, tak uważnie go oglądał, jakby zamierzał wziąć miarę na garnitur... Komendantowi wydawało się, że na trumnę...

Blatny podszedł do siedzącego w pokoju Azura i rzucił jeden wyraz: sabotaż. Potem dodał: i tak dalej. Zdanie „i tak dalej”, zawsze ogromnie niepokoiło komendanta, który nie wiedział, co za nimi się kryje.

Azur siedział przy stole poważnie, spokojnie, obserwując tę scenę.

„Może jeszcze jeden delegat Ciku, Afryka” — pomyślał komendant, gdy padł wyraz „sabotaż” — jeden z najstraszniejszych w terminologii bolszewickiej — który Śmierć nosił w zębach, po-

czuł, że się poci, a nogi słabną. Gotów był ukleknąć.

Filip Łysy wsadził ręce w kieszenie i chodził po pokoju. Udawał zdenerwowanego i złęgo. Wreszcie stanął przed komendantem.

— Czy w mieszkaniu i sklepie Zapolskiej była rewizja?

— Nie wiem.

— Ale ja wiem! Była! Mieszkanie opieczętowane i pewnie obrabowane! Otóż masz natychmiast zwolnić z aresztu Zapolską i bardzo przeprosić w imieniu władz i tak dalej. To pierwsze. Drugie: odwieźć do domu; wziąć paru ludzi i sprzątnąć mieszkanie; zwrócić wszystko co jej zabrano i tak dalej. Trzecie: daję na to dwie godziny. Gdy to będzie załatwione, proszę zatelefonować do mnie i powiedzieć. Teraz jest 10.15. Najpóźniej o 12.15 wszystko musi być załatwione i tak dalej. Będę czekał na telefon.

Komendant wyprostował się:

— Już leczę.

— Czekać! Jutro o dziesiątej masz tu u mnie się zameldować i tak dalej. A teraz — jazda!

Kriwoszejn trzasnął obcasami i ulotnił się. Na korytarzu lżej odetchnął. „Może się wykręcę... Ale kto mnie wsypał?”.

Komendant pognął do Czerezwyczajki. Tam wciąż czekał na jego telefon kierownik Wydziału Politycznego, również zdenerwowany. Komendant rzucił się na fotel i otarł dłonią czoło.

— No, bracie, użyłem ja! Niech go cholera weźmie! Ale nie ma czasu do stracenia. Ani minuty! Może jeszcze wybrniemy. Ot piekielna baba! To ktoś ze szpicłów Rodina podprowadził nas. Ale kto?

— Więc co mamy robić?

— Właśnie. Dał rozkaz uporządkowania w ciągu dwóch godzin mieszkania Zapolskiej. Wie nawet, że jest obrabowane i opieczętowane. Kazał mi natychmiast ją zwolnić i przeprosić w imieniu władz. I to bardzo przeprosić, potem odwiedzić do domu. A jutro, o godzinie 10 rano, muszę u niego się zameldować.

— Narobiłeś kaszy!

— Trudno. Trzeba odrabiać. Ty się zajmij mieszkaniem. Ci sami dranie, co tam byli, niech wszystko sprzątną. Co wzięte: niech oddadzą. Powiedz, odpowiednio, ażeby wszystko było w porządku. Rozumiesz??... Pieniędzy tam dużo było?

— Nie pamiętam. Chyba nie wszystko mi oddali. Wiem, że rzeczy żadnych nie zabrali, tylko pieniądze.

— Zwrócić... Ja lecę na Archirejski, a ty zajmij się mieszkaniem.

Znów popędziło auto komendanta ulicą Zacharzewską. Zatrzymało się przed aresztem. Komendant wbiegł na wartownię.

— Gdzie karnacz?!*)

Żołnierze porwali się z miejsc. Nawet ci, co spali. Obudzono karnacza. Stał przed groźną władzą i wyprostował się.

— W której celi Zapolska?

Karnacz nie mógł sobie przypomnieć. Komendant zirytował się.

— Co u ciebie, sukinsynie, spisu nie ma?

— Był gdzieś, ale ktoś sprzątnął. A to wszystko jedno. Bez spisów biorą!

Komendant trzasnął karnacza w twarz.

— Zabiję, draniu. Spisy muszą być. Rozumiesz? Bo ja ciebie bez spisu wyślę na Komarówkę. Prowadź do cel! Żywo!

*) Karaulnyj naczałnik — komendant warty.

Karnacz chwycił ze stołu wartowni naftową latarnię, bo w celach światła nie było. Komendant pośpiesznie poszedł do piwnicy.

Wstąpili do pierwszej celi. Latarnia wyrywała z mroku wąskie pasma przestrzeni. Więźniowie zamarli bez ruchu. Z ciemności lyskały przerażone oczy.

— Czy jest tu obywatelka Zapolska? — donośnie zawołał Kriwoszejn.

Nikt się nie odezwał. Jakaś kobieta zaczęła lkać, ale było to podobne do śmiechu.

Wówczas Kriwoszejn zaczął obchodzić wszystkich, świecąc kobietom w twarz. Przeszli do następnej celi. Na pytanie komendanta z ciemności rozległ się głos, który napelnił go radością.

— Jest... To ja...

Komendant z latarnią w ręce poszedł pośpiesznie w kierunku głosu. Marysia podnosiła się z miejsca. Nagle zatoczyła się i upadła. Kriwoszejn pośpiesznie pomógł jej wstać.

— Proszę obywatelkę na wartownię. Proszę.

Marysia szła z trudnością. Nie rozumiała sytuacji. Komendant prowadził ją jak mógł najostrożniej. W wartowni kazał dwóm żołnierzom wynieść ją do auta. Pokazał karnaczowi pięść, a potem palcem — ziemię i rzucił:

— Spisy! Bo cię spiszę!

Marysia odetchnęła świeżym powietrzem. Orzeźwiło ją trochę. Komendant wiedział, że kobieta jest bardzo słaba. Nie wiedział czy z głodu, czy ze strachu. Kazał szoferowi jechać w kierunku komendantury. „Trzeba jej dać koniaku” — myślał. W drodze mówił błagająco:

— Ja was, obywatelko, bardzo przepraszam. Przepraszam w imieniu moim i władz miejskich.

To było tylko nieporozumienie. Proszę bardzo wybaczyć. Dobrze?

Marysia słyszała jego słowa, lecz dalej nie nie rozumiała.

Kriwoszejn widząc to rzekł:

— Was aresztowano przypadkowo. Teraz zwalniamy. Zaraz zawiozę do mieszkania. Wszystko zwrócimy. Tylko bardzo proszę wybaczyć.

— Ja nic od was nie chcę — odparła Marysia. Nigdzie skarżyć się nie będę.

Auto stanęło przed Komendanturą. Kriwoszejn poprosił Zapolską by zaczekała i pobiegł na górę do swego mieszkania. Wyjął z kredensu flaszkę koniaku, dodał flaszkę wina. Wyjął kilka pudełek szprotek i chleb. Wszystko to wrzucił do teczki i zbiegł w dół. Kazał szoferowi pędzić do mieszkania Zapolskiej. Wjechali na dziedziniec. Auto stanęło.

— Proszę poczekać, rzekł znowu.

Komendant odnalazł tylne wejście do mieszkania Zapolskiej. Było otwarte. Wewnątrz krzątało się trzech cywilnych agentów tych samych, którzy byli przy rewizji, żona dozorkcy domu i kierownik Wydziału Politycznego. Mieszkanie było doprowadzone do porządku. Dozorczyzni zamiatają podłogę.

— Jak tu idzie? — spytał komendant.

— Zaraz skończymy.

Dozorczyzni zamiotła podłogę. Kriwoszejn dał jej sturublowy banknot i wskazał na drzwi:

—Możesz iść!

Kobieta, trochę przestraszona, pośpiesznie opuściła mieszkanie. Wróciła do stróżówki i przez ciemne okno obserwowała stojące na dziedzińcu auto. Szeptem rozmawiała z mężem.

Kriwoszejn zwrócił się do agentów:

— Proszę powiedzieć otwarcie co stąd zabrano? Uprzedzam, że to sprawa poważna i pachnie Komarówką.

— Żadnych rzeczy nie wzięto — powiedział starszy agent.

— Nie było co brać. Tylko papier i te lachy.

— Na pewno? Pamiętajcie: będzie źle!

Starszy agent rzekł szczerze:

— Rozumiem, że żartów nie ma... Ale zapewniam, że wszystko zostało. Byliśmy trzeźwi i zmęczeni. Wzięliśmy tylko pieniądze. Lustro samo spadło i stłukło się.

— Ile było pieniędzy?

— Oddaliśmy wszystko kierownikowi.

— Obliczyłem pieniądze — wtrącił się kierownik — są wszystkie.

Zwolniono agentów. Wyszli z mieszkania. Komendant skinął głową kierownikowi Wydziału Politycznego.

— Chodź!

Podeszli do auta.

— Może obywatelka wyjść sama?

— Tak.

— Proszę.

Marysia wyszła z auta. Było jej słabo, ale mogła iść bez pomocy. Jednak komendant z szacunkiem prowadził ją pod rękę. Kolega jego niósł teczkę. Posadzono Zapolską na krzesło przy stole. Komendant wyjął z teczki wiktuały i flaszki. Znalazł szklanekę i nalał wina.

— Proszę się napić. To wzmocni. Proszę.

Zapolska wzięła szklanekę i powoli wypila wino. Piła automatycznie. Po prostu chciało się jej pić. Wino prędko podziało. Policzki zaróżowiły się. Poczula ciepło w całym ciele. Komendant mówił:

— Obywatelka jest wolna. Tu są zarekwirowa-

ne pieniądze. Mieszkanie uporządkowaliśmy jak się dało. A tu zostawiam dla obywatelki trochę jedzenia. Teraz obywatelka nigdzie nie kupi. Czy obywatelka ma jakieś pretensje, co do braku rzeczy lub pieniędzy?

— Nie... Proszę zostawić mnie... Jestem strasznie zmęczona...

— W tej chwili. Tylko jeszcze raz przepraszamy, w imieniu władz miejskich, za wyrządzoną przykrość. Bardzo żałujemy. Do widzenia.

— Do widzenia.

Zapolska została sama. Słyszała jak odjeżdżało auto. Miała dziwne uczucie powrotu z tamtego świata, czy przebudzenia się z okropnego snu. Wino silnie podziałało na osłabiony organizm. Ciepła fala załała jej pierś, a do oczu cisnęły się łzy...

Siedziała długo bez ruchu.

Na dziedziniec znów wjechało auto. Nie zatrzymało to Zapolskiej. Potem poruszyła się klamka u otwartych drzwi kuchennych. Do pokoju cicho wszedł Azur. Stał i patrzył w oczy Marysi. Uśmiechnęła się i wstrząsnęła głową, strącając łzy.

— Jak to dobrze, Janku...

Zbliżył się do niej i położył dłoń na głowie.

— Teraz zawsze będzie ci dobrze, biedactwo. Zawsze...

Było cicho...

I „Czarny Kruk” mniej krążył tej nocy...

Gdy Filip Łysy wysłał komendanta by zwolnił Zapolską i uporządkował mieszkanie, Azur wstał z miejsca, i podszedł do kolegi. Mocno uścisnął mu dłoń. Był wzruszony. Wiedział, że Marysia jest uratowana, że wkrótce ją zobaczy. Nie wiedział jak się wywdzięczyc koledze. Lecz Filipowi to

wystarczało. Nie mógł zachować swej powagi, tak rozsądzało go zadowolenie. Trzasnął palcami, zakręcił się na obcasie i porwał flaszkę.

— Teraz musisz wypić ze mną. Za fart i tak dalej.

— Dobrze. Nalewaj!

Wypili... Czekali na telefon Kriwoszeina. Azur, który miał teraz zupełne zaufanie do Filipa, zwierzył mu się ze swego zamiaru opuszczenia Mińska i wyjazdu z Marysią na Kaukaz. Opowiedział o swoim pobycie w Rostowie i naradach z chłopakami.

— Czekaj, bracie! — Filip uderzył dłonią w stół. — Mam dobrą kombinację i dla was i dla mnie. Rozumiesz?

— Nic nie rozumiem.

— Zaraz. Ja też Mińska mam dość. Wszystko jedno mnie tu „zwiążą” i tak dalej. Mam na to dobrego „czuja”. I wam będzie trudno przez całą Rosję przejechać i tak dalej.

— Więc co kombinujesz?

— A to. Wy musicie wyjechać, ja też. Ty znasz drogi, a ja mam auto i tak dalej. I nie tylko auto; będę miał i dokumenty. Wszędzie gdzie są czerwoni — możemy sypać jak Lenin z Trockim i tak dalej.

Filip Łysy chciał ziewnąć, ale niecierpliwość i zadowolenie tak go rozpierały, że mu się nie udało. Więc zatarł dłonie i zrobił oko do kolegi.

— Jutro przycisnę tego komendanta i wezmę dokumenty na podróż i jazda! Już ja go wezmę za hals i tak dalej.

Koledzy zaczęli omawiać plan podróży. A o godzinie 11.30 zadzwonił telefon. Filip wziął słuchawkę... Robił komiczne miny. Wreszcie rzekł:

— Ja to sam sprawdzę... Zobaczymy... Tak...

Jutro o dziesiątej... Teraz proszę przysłać swoje auto... Nie chcę dzwonić do garażu.

Położył słuchawkę i zwrócił się do Azura:

— Mogę odwiedzić ciebie do Marysi i tak dalej.

Tym razem zdobył się na ziewnięcie. Odwiózł kolegę do mieszkania i, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, pojechał komendantem autem na Nowokrasną do dziewczynek. Chciał dobrze się zabawić przed jutrzejszą eskapadą. Żegnał Mińsk.

Azur i Marysia, zgodnie z powziętym przez obu błatnych planem, spakowali nazajutrz najpotrzebniejsze i najdroższe rzeczy. Azur zlikwidował od dawna zajmowany w hotelu „Noworosyjskim” pokój. Teraz siedzieli w stołowym pokoju i czekali na Filipa. Wiedzieli, że ma dużo spraw do załatwienia, więc byli cierpliwi. Zresztą, czas im się nie dłużył.

O godzinie drugiej po południu przyjechał Filip. Postawił na dziedzińcu dużą limuzynę, odprawił szofera i wstąpił do mieszkania.

— Witam szanowną panią. Całuję rączki i tak dalej. Winszuję ocalenia.

— Dziękuję. Panu to zawdzięczam.

Filip z zadowolenia dostał wypieków. Spróbował ziewnąć. Przywitał się z Azurem i, przybierając uroczystą minę, położył na stole dokument podróży „in blanco”. Można go było wypełnić na dowolną ilość osób. Właśnie tym się zajęli. Filip dodał:

— Mam dwie zapasowe opony i benzyny na 1.500 kilometrów. Potem kupimy...

— Jak ci poszło z komendantem?

— Tak jak z każdym złobem. Zrobiłem z niego balona i już!

— Ale co powiedziałeś?

— Że odwiozę Zapolską autem do szpitala w Moskwie, bo zachorowała na nerwy. Obiecałem wrócić za dwa tygodnie. Błagał o przebaczenie. Wybaczyłem draniowi. A warto było mordę skuć! Ale to go nie minie.

Zjedzono na prędce przygotowany obiad i ułożono rzeczy w aucie. Ażur usiadł przy kierownicy, Filip obok niego. Marysia wygodnie ułożyła się z tyłu.

Ażur wstąpił do stróżówki, dał dozorecy klucz od mieszkania i plik banknotów.

— Wyjeżdżamy na dłużej. Do widzenia.

— Szczęśliwie!

Auto z gwiazdami po bokach, powiewając czerwoną chorągiewką wyjechało na ulicę.

...Żegnaj kochane mieszkanko!

Marysia skinęła dłonią.

XII.

SERCE SŁODKIEJ PAULINKI.

Oddział Monicza drugi miesiąc wymykał się ścigającym go karnym oddziałom. Kilka razy był już w pierścieniu bolszewickim, lecz zawsze się wyrwał, zostawiając trupy za sobą.

Była to „podwodna” wojna*). Karne oddziały rekwirowały chłopom furmanki, które następnie pełne uzbrojonych ludzi, jeździły po drogach i wsiach, ścigając „białych bandytów” i kontrrewolucjonistów. Tak nazywano wszystkich, którzy z różnych względów uszli w lasy przed rządami bolszewickimi, aby ocalić życie lub wolność.

Oddziały te składały się z dezertarów z bolszewickiej armii, chłopów ze wsi, mieszczan i robotników z miast. Inteligentów było w nich mało. Ginęli jak owce pod bolszewickim nożem, niezdolni do opuszczenia miast i pójścia na dzikie, wolne, choć niebezpieczne życie. Siłę tych oddziałów stanowiły: doskonała znajomość terenu, przychylny stosunek ludności i szybkość ruchów. Natomiast bolszewicy, obciążeni taborami i nadmiarem bro-

*) Podwoda — furmanka.

ni, wlekli się tygodniami obok puszczy, w których łatwo lawirowali partyzanci.

Niektóre oddziały utrzymywały łączność między sobą, aby — w razie potrzeby — skupiać większe siły. Zasadniczo były to małe grupki od 20 — 50 ludzi, lecz było i kilka większych partii.

Zasłynęły wówczas pseudonimy białoruskich dowódców partyzantów: Kruka i Dziergacza, których prawdziwych nazwisk nie podam. Monicz utrzymywał z nimi luźny kontakt, lecz trzymał się sam. Zbyt był śmiały i zbyt cenił swobodę, aby podlegać jakimkolwiek ograniczeniom. Przerzucał się ze swoimi ludźmi z powiatu do powiatu. Ślizgał się po granicach województw i grał w szachy ze Śmiercią. Ludzi miał pewnych, wybranych z setek, więc oddział jego, liczący około 50 ludzi, stanowił zwartą, koleżeńską, gotową na wszystko grupę. Byli lekko lecz dobrze uzbrojeni. Tylko część ludzi miała kawaleryjskie karabinki. Reszta uzbroiła się w pistolety i granaty. Cała partia posiadała tylko jeden lekki karabin maszynowy. Prowiantów nosili mało. Mieli dość pieniędzy z bolszewickich kas i urzędów, więc woleli wszystko kupować po wsiach, niż obciążać się zapasami.

Przed tygodniem otoczono ich obóz dużymi siłami. Z tyłu mieli bagna, z przodu silne oddziały bolszewików. Dopiero w dzień zorientowano się, że są w pułapce. Zrobiono naradę. Zadecydowano, że muszą nocą się przerwać, bo nazajutrz można było oczekiwać ataku dłużych oddziałów bolszewickich. Monicz miał 47 ludzi. Zostawił na wartach 10-ciu, a resztę zwolnił dla wypoczynku.

— Kładźcie się chłopcy spać, bo wieczorem będzie gorąca robota i daleka droga.

Sam z dwoma kolegami poszedł badać teren. Bagna z tyłu tworzyły łuk. Teren przed nimi

„ciąciwę” tego luku... Zostali ostrzelani przez bolszewickich żołnierzy, zamykających wyjście. Odpowiedzieli kilku strzałami i wrócili do obozu. Teraz zbadano na sztabowej mapie okolicę i wytyczono kierunek marszu.

Postanowili uderzyć przed północą w środek „ciąciwy” i przedrzeć się ku odległym o trzy kilometry lasom, prowadzącym na Borysów.

Monicz spał krótko. Obudził się pod wieczór i zmienił warty, wzmacniając je wypoczętymi ludźmi. Resztę zapędził do roboty. Kazał z lewej strony „ciąciwy” ułożyć rzędem siedem stosów drzewa na ogniska. Gdy nadszedł wieczór zapalono je. Zebrano chór, który śpiewał różne pieśni rosyjskie i białoruskie.

Nadeszła cicha, letnia noc. Monicz kazał partyzantom zabrać się do kolacji — nie oszczędzając jedzenia. Potem zebrał wszystkich. Ściągnął nawet warty i przemówił:

— Koledzy! Jesteśmy odcięci. Ale wyjście mamy tu! — Wskazał na swój pistolet. — Za pół godziny ruszamy w drogę. Wszyscy mają zdjąć buty i przygotować broń. Czeterech ludzi zostanie przy ognisku przez krótki czas. Śpiewać i hałasować jak najgłośniej. Gdy zajmiemy pozycję, to ściagniemy ich i przerwiemy granatami oblawę. Nie pierwszy raz!... Trzymać się razem!

Ogniska płonęły coraz silniej. Płomienie grały w wierzchołkach drzew. Dość dobry głos śpiewał z uczuciem:

Pójdziemy bracia w las zielony!
Ziemiankę wykopiemy tam,
Noc — matka będzie nam osłoną.
Las — ojciec da swobodę nam!

Kilka głosów przyłączyło się do refrenu i pieśń hardo, śmiało płynęła nad ziemią, po której czołgali się nędznie ich przeciwnicy. Gdy skończono tę pieśń, zaczęto grać na ustnej harmonijce. A tymczasem 43 uzbrojonych ludzi, bosu posuwało się naprzód. Monicz prowadził z dwoma pistoletami w rękach. Szli ostrożnie, bez szmeru — tak, jak niektórzy szpiedzy i mało który z przemytników, przy przekraczaniu granicy.

Monicz czuł, że są blisko linii bolszewickiej. Posłyszał nawet ciche głosy. Coś brzęknęło o kilkanaście metrów od niego. Stał. Potem cicho poszedł wzdłuż szeregu. Mówił szeptem każdemu:

— Siadaj i wkładaj buty!

Gdy szereg się skończył, poszedł pośpiesznie ku ogniskom, skąd dolaływały dźwięki harmonijki.

— Chłopy, prędko za mną!

Pieśń ustała. Wracali do partii. Monicz kazał im też usiąść i prędko włożyć buty. Sam siadł przy nich i po chwili był gotów. Teraz wracał powoli... Ludzi miał pewnych. Przeszedł z nimi wiele ciężkich sytuacji.

Posuwano się małą kolumną, po 4-ch ludzi w rzędzie. Między szeregami były metrowe odstęp.

Ogniska płonęły nadal... Granaty ważyły się w dłoniach... Monicz i jego kilku bliższych kolegów, w liczbie około 10, nieco się rozeszli i razem rzucili granaty... Raz i drugi... A po wybuchach rzucili się naprzód. W biegu strzelali od czasu do czasu przed siebie i na boki, gdy spostrzegali ludzkie sylwetki. Monicz dwa razy przeskoczył ciała ludzkie — zabitych, rannych lub ze strachu tułących się do ziemi.

Dość prędko przebyli około 200-tu metrów terenu. Potem czoło zmniejszyło bieg. Po 300 metrach

stanęli. Nadbiegła reszta. Z tyłu nie było słycać strzałów. Tylko z boku nerwowo czekał karabin maszynowy i padały strzały karabinowe... W pobliskiej wsi też strzelano. Pewnie tam rozmieściło się dowództwo karnej ekspedycji.

Monicz wywołał jednego z partyzantów, który dobrze znał tę okolicę, i rzekł:

— Poprowadzisz na Kuleszowo. — Dobrze znasz drogę?

— Jeszcze jak! Tyż po ścieżkach dojdziemy.

Monicz celowo skierował partię na północ, aby ukryć istotny kierunek swego marszu. Zamierzał zostawić w tamtej wsi „śląd”. Wiedział, że tam jest „Wolispółkom” i jako ochrona urzędu gminnego, stacjonują dwie sekcje żołnierzy.

Po godzinnym marszu przeszli 5 kilometrów i dotarli do Kuleszowa. Ulice wsi były puste. Sta-
nęli. Odbyła się krótka narada i partia ruszyła dalej — ulicą.

W połowie wsi, na ławeczce przed Wolispółkomem, siedział krasnoarmiejec. Była to warta przed urzędem. Monicz i dwóch partyzantów szli pierwsi. Piasek tłumiał ich kroki. Posterunkowy dostrzegł ich dopiero wówczas, gdy stanęli przed nim. Zdjęto mu karabin i dotknięto lufą nosa.

— Jedno słowo powiesz: dostaniesz w łeb! Prowadź do komendanta sekcji.

W kilka minut potem wyluskano z legowisk całą ochronę Wolispółkomu. Zabrano im broń i amunicję. Wzięto produkty i duży miedziany czajnik.

— Kto jest naczelnikiem ochrony? — pytał Monicz trzęsących się ze strachu ludzi, stojących z podniesionymi w górę rękami w samej tylko bieleźnie. Wszyscy milczeli. Lecz łatwo to ustalono.

Monicz kazał naczelnikowi iść naprzód i pro-

wadzić do mieszkania prezesa Wolispołkomu. We-
szli tam i zrobili „porządek”.

Kazano oddać broń, akta Wolispołkomu i pie-
częcie. Zrobiono pobieżną rewizję. Zabrano około
puda cukru i sporo machorki. Monicz zwrócił się
do prezesa Wolispołkomu i wskazał mu palcem
naczelnika ochrony:

— Wal go w mordę!

Tamten się zawahał.

— No! — Monicz uniósł w górę pistolet.

Prezes uderzył podoficera.

— Nie tak! Porządnie!

Prezes uderzył mocno.

— Teraz ty go wal!

Podoficer tak machnął w zęby cywilną władzę,
że ta siadła.

— Teraz ty jego!

Rozprawa była skończona. Monicz poszedł do
urzędu gminnego i zakręcił rączkę polowego tele-
fonu. Połączył się z wsią w pobliżu której byli nie-
dawno. Wiedział już, że stoi tam karny batalion.
Kazał wywołać natychmiast do telefonu dowódcę
— w ważnej sprawie. Wkrótce mówił:

— Donoszę, że Monicz z oddziałem wpadł do
Kuleszowa, rozbroił żołnierzy, zabrał żywność i
zbił pośrednio mordy naczelnikowi warty i prze-
sowi Wolispołkomu.

— Kto mówi?... Mówię ja... właśnie Monicz...

Przybliżył lufę pistoletu do telefonu i wystrze-
lił obok słuchwaki.

— To mój podpis!

Monicz trzasnął z siłą pudełko telefonu o po-
dłogę i wyszedł z urzędu. Zebrał ludzi. Skierowa-
li się dalej na północ.

Za godzinę miało się rozwidniać.

O kilometr drogi od wsi, partia skręciła na wąską miedzę, a z niej na łąkę. Nie zostawiając śladów zapadli w lasy.

Monicz zamierzał zmienić teren działania. Postanowił iść na Mińsk. A ponieważ miał u siebie kilku ludzi z tamtych okolic, a miasto sam znał, uważał, że będzie mógł w nim dobrze operować. Wiedział, że z zachodu idą Polacy. Na południu wrzała wciąż domowa wojna. Spodziewano się zmian.

Partyzanci kilkoma forsownymi marszami wydostali się pod Mińsk. Nie byli teraz agresywni, lecz, maskując istotną siłę oddziały, ukrywali się w lasach, korzystając z pomocy przyjaźnie ustosunkowanej do nich ludności.

Monicz miał w Mińsku swego informatora, z którym nieregularnie się kontaktował. Pochodzili z jednego miasta i od wielu lat się przyjaźnili. Był nim mniej inteligentny, lecz z „żelaza” ukuty monter Wiktor Umieński. Czytelnik pamięta zapewne, że Umieński był jednym z trzech „mistrzów” Jasia. Monter przyjaźnił się z chłopcem, grał z nim na instrumentach muzycznych, pomagał trochę materialnie w okresie kryzysu. Wówczas Umieński — jak i kieszonkowiec Czesiek Swoboda — był ślepym zwolennikiem bolszewików. Uważał, że niosą wolność i chleb, że zniosą wyzysk i niewolę. Gdy Mińsk zajęli bolszewicy konsekwentnie oświadczył się za ich rządami i wstąpił do partii komunistycznej. Od razu dano mu stanowisko kierownika elektrowni, w której poprzednio był monterem. Lecz Umieński nie był ślepym narzędziem w rękach czerwonych władz. Gdy zobaczył różnicę między tym, co głosili bolszewicy, a istotą ich działania, stał się ukrytym wrogiem

bolszewizmu. Nie mogąc wystąpić otwarcie przeciw nim, stosował sabotaż i czekał sposobności — by wziąć za gardło „wybawicieli proletariatu”.

Wówczas Monicz, który od czasu do czasu odwiedzał Mińsk, wszedł z nim w kontakt. Szczerze omówili sytuację. Umieński chciał zniszczyć elektrownię i iść z kolegą w lasy. Lecz Monicz — o wiele sprytniejszy — odradzał mu to.

— Nie opłaci się. O wiele mądrzej zrobisz, jeśli zostaniesz na miejscu. Lepiej nasolisz bolszewikom tu, niż w lesie. Tam ludzi śmiałych dużo, tu brak. Będziemy pracować na dwóch frontach. Może niedługo przyjdzie czas, gdy trzeba będzie się zabrać do gorącej roboty. Wtedy, bracie, możesz wielkich rzeczy dokonać. Tymczasem uważaj na wszystko. Dobieraj odpowiednich ludzi. Zbieraj informacje dla „zielonych”. Ja mam łączność z kilku grupami. Ludzi mamy; informacji z Mińska brak. Będiesz tu dla mnie nieoceniony.

Od tego czasu minęło kilka miesięcy. Umieński poważnie zabrał się do roboty. Zbierał informacje. Przesyłał je przez łączników Moniczowi. A jednocześnie uprawiał sprytnie sabotaż, który dotkliwie dawał się we znaki władzom miejskim.

Bolszewicy umieli zdobywać sobie zwolenników na dystans, lecz tam gdzie się zjawiali, zdobywali wrogów. Jedni nienawidzili ich skrycie, znosząc wszelkie upokorzenia. Inni, nieliczni, którzy umieli pokonać w sobie strach śmierci, których duma przerastała instynkt, walczyli z nimi jak mogli, z ukrycia.

Na pozór wszystko było dobrze w domku przy ulicy Zacharzewskiej, pod numerem 157. Baran czuł się względnie bezpieczny. W istniejącym obecnie bałaganie jego sprawa — ucieczka z więzienia

nie zainteresowała ani policji, ani Urzędu Śledczego. Olkowi było tu wygodnie. Panicza (Jasia) miał obok. Dla zwiększenia bezpieczeństwa, zrobiono obok pieca, wąskie, osłonięte ubraniem, przejście. Tędy, w razie niebezpieczeństwa, Baran mógł łatwo wymknąć się do mieszkania Jasia, a stamtąd na dziedziniec.

Rano Paulinka zwykle zamykała mieszkanie na klucz, zostawiając otwarte okiennice na jedynym tylko oknie — dla światła. Okno to od wewnątrz osłaniała firanka. Wówczas Baran mógł opuszczać mieszkanie tylko przez otwór, prowadzący do kuchni mieszkanca Jasia. Obiady gotowała dla niego Nastka.

Baran zmienił powierzchowność. Zgolił wąsiki, które w więzieniu urosły. Ubierał się inaczej, niż zwykle. Nogawki u spodni spuszczał na buty. Nawet styl chodzenia przybrał inny. Dokumenty miał autentyczne, lecz na nazwisko, człowieka, który od dawna opuścił miasto. Były zupełnie pewne.

Teraz Olek robił wycieczki na miasto. Parę razy wziął udział w zbiorowych wypadach błatnych. Raz okradli transport kolejowy, zabierając sporą ilość produktów. Pieniądze ze sprzedaży oddawał prawie wszystkie Paulince, która zaraz kupowała za nie złoto. Dał jej nawet swoje dwie złote dziesięciorubłówki, które kiedyś jej pokazał. Jednak ani słówkiem nie wspomniał o skarbie, ukrytym pod budą Miłego. Wciąż nosił się z myślą opuszczenia Mińska i chciał z tamtymi pieniędzmi rozpocząć nowe życie w Wilnie.

W tydzień po opuszczeniu więzienia Baran w czasie śniadania powiedział do kochanki:

— Pawciu! Wyjedźmy stąd!...

Kobieta spojrzała na niego zdumionymi oczami:

— Dokąd?

— Do Wilna. Tam z forszą można dobrze żyć, a tego ci nie zabraknie. Zobaczysz!

— A jak sklep?

— Sprzedaj. W Wilnie też można sklep otworzyć.

Paulince przyszedł na myśl Siemieńcow. Agent lekceważył ją jako kobietę, lecz Pawci to raczej imponowało. Uważała to za wyraz jego godności, a grzeczność, delikatność i namiętność Olka, uważała za objaw szewsko - złodziejskiej prostoty. Wstrząsnęła głową i powiedziała stanowczo:

— Ja stąd nie wyjadę. Ty myślisz tylko o sobie. Chcesz tego, bo boisz się że ciebie zaaresztują. A ja chcę zarabiać, żeby dobrze żyć.

— Niczego się nie boję, lecz o tobie tylko myślę. Przecież i ciebie mogą tu obedrzeć. Zobacz ile sklepów pozamykano! I jak pozamykano: właścicieli do ziemi, a forszę do kieszeni! Do ciebie też mogą się dobrać!

Paulinka pomyślała o opiece agenta, którego uważała za bardzo ważną figurę. „Przecież może każdego aresztować! Sam to powiedział”.

— Ja mam tu ojca, siostrę, brata — powiedziała Paulinka stanowczo. I nigdzie stąd nie pojedę. Chcesz, to jedź sam! Nie trzymam ciebie.

Baran w milczeniu patrzył w jej oczy... Patrzył i czuł... że ginie...

Paulinka pośpiesznie ubrała się, wzięła klucze od sklepu i opuściła mieszkanie. Baran długo siedział przy stole. Potem wstał i zaczął chodzić po małym pokoiku, jak po celi więziennej. Kilka kroków: od drzwi do pieca, od pieca do drzwi...

Chodził coraz prędzej, jako „stary” więzień nie widząc zakrętów ...i myślał, myślał, myślał.

Ale myśli były ciężkie. Przygniatały go jak glazy.

Po dłuższym rzucaniu się po klatce, którą zbudowały mu miękkie kobiece dłonie, stanął przy stoliku toaletowym Paulinki. Przed lustrem leżał duży grzebień. Baran bezmyślnie wziął go do rąk i patrzył, prawie nie widząc. Potem zauważył, że na grzebieniu są włosy. Oplotły się na zębach i zostały. Baran patrzył na te włosy. Powiedział cicho: „Źle jest Pawciu!” Potem pocałował tkwiące na grzebieniu włosy. Położył grzebień na miejscu. Lecz zaraz znów go wziął. Ściągnął włosy z zębów grzebienia, złożył je, zawinał w kartkę papieru i schował w kieszonce od zegarka. „Źle jest, Pawciu!” — myślał wciąż.

Nie wiedział, że całował i schował nie włosy Paulinki, a agenta Siemieńcowa, który przed dwoma tygodniami tu nocował i czesał się. Złodziej, którego wzroku nie uszło nic, któremu oczy służyły wiernie, „oślepl” tak gruntownie, że nie zauważył nawet tego, że włosy — chociaż też jasne — mają inny odcień.

Baran poszedł na melinę do Kazika Moreckiego. Błatny żył teraz u Kasi Złotej Trąby. Tamże był nadal Miły. Baran nie sprowadził psa z powrotem do budy obok mieszkania Paulinki. Wiedział, że kochanka nie lubi psa i łatwo dostrzegł, że i pies ją znienawidził, więc wolał, aby byli z dala od siebie.

Miły nie siedział teraz na łańcuchu. Miał locum pod schodkami na ganek. Był dobrze karmiony i traktowany. Poprawił się bardzo. Sierść lśniła jak aksamit. Zawsze z zachwytem witał Barana. A złodziej brał go na ręce, huśtał jak dziecko, rozmawiał jak z człowiekiem. Jemu zwierzał wszystko, czego nikomu by nie powiedział.

— Podła jest Pawcia, piesku mój... Zginę ja z

nią... Nie ma mi z nią życia... Co zrobić piesku?...

Miły milczał. Może i wiedział co trzeba zrobić, lecz — jak powiedzieć. Dygotało w sobaczej pierśsi wierne serce. Oczy mówiły. Nerwy dygotały, ale cóż mógł zrobić dla swego pana, ponad którego nic dla niego na świecie nie istniało.

— Co ty hyzia dostał? Ze skowrem gadasz? Chodź do chaty — zawołał Olka Kazik Morecki.

Baran z psem na rękach wstąpił do mieszkania. Puścił Miłego na podłogę. Przywitał się z Kasią.

— Wiesz co, Olku — zaczął Morecki — ja wracam do Wilna. Tu teraz ani żyć, ani zarobić nie można. Co ty na to?

Baran milczał.

— Chcesz ze mną?... Zawsze razem lepiej. A tu wszystko jedno związą. Moserów pełne miasto! Na jednego blatniaka dziesięć hintów. Ilu już chłopaków rozwalili!

Baran milczał. Zamarło w nim serce. Opuszczenie Mińska było od miesiący jego pragnieniem. Wiedział, że nie ma żadnego sensu tu żyć. Dlatego namawiał Paulinkę do wyjazdu. Propozycja Kazika była dla niego potwierdzeniem własnych myśli. Lecz Paulinka tak mile i czule go przywitała po ucieczce z więzienia, że dała mu szczęście. Nie wiedział, że był to tylko strach przed nim. Łapówka.. Dziś rozumiał, że ona nie ma dla niego ani odrobiny ciepłego uczucia.

A Kazik nalegał:

— Więc jak?... Rypniemy do Wilna?

Baran nagle, niespodzianie dla siebie, powiedział cicho:

— Dobrze.

— Daj grabę, brachu! Na fart!

I Kazik mocno uściskał dłoń Barana. Potem

Baran, który rzadko występował z propozycją picia, powiedział:

- Jest wódka?
- Hamity ile chcesz!
- Dawaj!

Baran pił prawie nie przegryzając. Pił, jakby się śpieszył... jakby obawiał się, że nie zdąży. A Kazik rozwijał przed nim plan podróży i urzędzenia się w Wilnie. Baran słyszał jego głos, ale nie wszystko rozumiał. Jednak umówili się, że wieczorem wyjdą z miasta. Baran spojrział na zegarek. Była godzina 11-ta. Pomyślał, że Paulinka wraca do domu o 7-ej wieczór. Powiedział zachrypniętym głosem:

— Dobra jest... O dziewiątej ruszamy... I ty Miły z nami... Pies z aprobatą chwycił zębami jego dłoń.

Paulinka prawie biegła do sklepu. Ze złością odmykała klódki i zamki. Propozycja Olka wydała się jej bezczelną. „Mam opuścić Kostka, dobry interes i jechać w daleki świat na poniewierkę? Niedoczekanie twoje”. Kilka razy głośno powtórzyła ostatnie słowa i pogroziła pięścią. Myślała, że Baran na zawsze zwiąże ją ze sobą. Że zabiera jej szczęście. Nie rozumiała, że wystarczyłoby jej powiedzieć mu poważnie kilka słów i znikłby na zawsze z jej życia. Choćby serce pękło.

Orientowała się w jego miłości, lecz uważała ją za poniżanie siebie. A jego siła charakteru i odwaga, przerażały ją — jak każdą nędzną, słabą i pustą duszyczkę. Nie umiała iść prostą drogą, szukała wykrętów. Była z gatunku ludzi fałszywych, tehórzliwych, zakochanych w sobie, lecz zdolnych zamordować łatwo — jeśli to można zrobić bezkarnie — dla drobnej nawet swojej wygody.

Handel w sklepie szedł dzisiaj marnie. Parę razy omyliła się przy wydawaniu reszty. Myślała wciąż o Baranie i agencie. Porównywała ich ze sobą — zawsze na niekorzyść Olka.

Paulinka po powrocie Barana tylko raz widziała agenta. W trzy dni po umówionej randce. Wykorzystała tę okoliczność, że Baran pod wieczór zapowiedział, że nie wróci do domu na noc. Miał iść z blatnymi na „robotę”. Dziewczyna poszła wprost do mieszkania Siemieńcowa. Nie zastała go w domu. Czekala godzinę, a gdy przyszedł, rzuciła mu się na szyję i przepraszała, że nie przyszła na randkę.

— Tatusz choruje. Mam na głowie i sklep, i mieszkanie, i chorego ojca.

Agent przyjął to obojętnie. On też nie przyszedł na randkę, lecz, uprzedzony oświadczeniem Paulinki, nie powiedział jej tego.

Paulince obojętność agenta i jego chłód imponowały. Przyniosła mu sporą sumę pieniędzy, z tych, które Olek zostawił. Wręczyła je kochankowi.

— Weź, Kosteczku, kochany. Tobie się przydadzą.

Wziął i nawet nie podziękował. Cierpliwie znośił gorące pieśszoty i przymilania się Pawki.

Wychodząc z mieszkania Pawka powiedziała:

— Teraz, Kosteczku, najdroższy, przyjdę nie prędko. Ale może tatusz wyzdrowieje. Nie nudno ci beze mnie?

— Nie...

— A mnie strasznie smutno. Do widzenia.

Teraz myśl o Kostku coraz więcej ją opanowywała. Zostawiła w sklepie pomocnicę. Zabrała większe banknoty i pobiegła do domu. „Powieм szewcowi, że zawołano mnie do ojca”. Ale Barana nie zastała w domu. Był właśnie u Kazika More-

ckiego. Paulinka pięknie się ubrała i podążyła do śródmieścia. Nie zamierzała mówić agentowi, że Baran jest złodziejem. Po prostu chciała się narodzić: co robić? Zamierzała opowiedzieć, że Baran ją tyranizuje, wyzyskuje, że chce ją stąd wywieźć. Przypuszczała, że Siemieńcow ją trochę kocha, tylko że jest zbyt wielkim panem, aby to okazać. „On na pewno doradzi co zrobić?!”

Agent w mieszkaniu nie było. Paulinka jednak tak przejęła się swym planem i myślami, że wbrew zakazom agenta poszła do niego do urzędu. Tam czekała na korytarzu, bojąc się trochę wstąpić do kancelarii, i doczekała się, że wyszedł na korytarz.

Akurat w tym okresie Siemieńcow potrzebował pieniędzy. Zgrał się w karty, a o łapówkę od razu było trudno. Więc, widząc Paulinkę na korytarzu, nie rozgniewał się. Podszedł do niej, przywitał się i powiedział:

— Dobrze że ciebie widzę. Potrzeba mi pieniędzy na ważną sprawę.

Paulinka radośnie, pośpiesznie wyjmowała z torebki pieniądze i wpychała je do ręki agentowi. Potem rzekła:

— Kosteczku, kochanie, znajdź dla mnie trochę czasu. Mam ogromnie ważną sprawę!

Agent, udobruchany grubszą sumą pieniędzy, zgodził się, choć niezbyt chętnie. Wyszedł z nią na ulicę. Płacząc się nieco i śpiesząc, zaczęła opowiadać mu dość chaotycznie o Baranie. Zapalała się coraz więcej. Traciła wątek. I tak się zagalopowała, że zaczęła przesadzać. Wplątała i Jasia i Nastkę...

Agent, który początkowo słuchał nieuważnie, nagle się zainteresował. Parę razy padło znane mu nazwisko: Baran. Z początku nie skojarzył tego z nazwiskiem znanego włamywacza. Lecz,

gdy Paulinka nadmieniła, że śpi z pistoletem pod poduszką, zaczął z wielką uwagą jej się przysłuchiwać. Dawał chytre pytania. I wreszcie zrozumiał, że wpadła mu do rąk dobra sprawa i okazja do wyróżnienia się. Kazał Paulince iść ze sobą do Urzędu Śledczego. Paulinka zaniepokoiła się. Agent to dostrzegł i powiedział fałszywie:

— Ja nie pozwolę, żeby ten cham tak ciebie traktował! Ty jesteś przecież moją kochanką! A może będziesz żoną. — Wiedział na czym jej zależy.

Znów znaleźli się w Urzędzie Śledczym. Agent kazał Paulince poczekać na korytarzu, a sam udał się wprost do kierownika Urzędu Śledczego. Logicznie przedstawił mu sprawę. Kierownik się zainteresował. Kazał zawołać Paulinkę. Przywitał się z nią, kazał usiąść w fotelu i, w obecności Siemieńcowa, szczegółowo ją przesłuchał. Potem rzekł.

— Pani się orientuje, że to jest niebezpieczny złodziej i bandyta. Dziwne, że dotąd pani poważnie nie skrzywdził. Dobrze, że pani o tym zameldowała. Inaczej groziłaby pani surowa kara.

— Ja nie wiedziałam... Myślałam, że szewe... A jak dowiedziałam się, że ma broń, to sama przyszłam...

— Dobrze. Rozumiem to. Ale pani musi pomóc nam pochwyć go. Wówczas nie będzie pani winna, a nawet zasłuży na wdzięczność i pochwałę. Nie ma co go żałować!

— Ależ ja go nie żałuję wcale!

— To dobrze...

I kierownik Urzędu Śledczego kazał jej być tego dnia szczególnie miłą dla Barana. W nocy miała wyciągnąć mu spod poduszki pistolet, a o godzinie

5-ej rano otworzyć cicho drzwi i potem znów położyć się do łóżka.

Paulinka zgodziła się. Czuli się dumną, że rozmawiała z samym kierownikiem, który traktował ją jak wielką damę. Nawet odprowadził do wyjścia na korytarz. A Kostka zwołał do wieczora i kazał mu się zameldować potem, dla zorganizowania pochwylenia Barana i Jasia.

Kostek poprowadził swą bogdanę na obiad. Potem poszli razem na spacer. Dawał jej szczegółowe instrukcje. Powtarzał je. Wreszcie upewniony, że Paulinka wykona wszystko dokładnie, pożegnał ją. Paulinka poszła do sklepu. Po zakończeniu targu udała się do znanej sobie spelunki i kupiła litr spirytusu. Miała, w myśl danych jej wskazówek, spoić Barana mocną wódką.

Olek, dobrze „zawiany”, siedział na melinie Kazika. Powiedział koledze, że o siódmej pójdzie pożegnać Paulinkę, a o ósmej wróci. Chciał ostatni raz zobaczyć kochaną kobietę.

— Nie radzę ci — powiedział Kazik — będzie ci potem trudniej. Serce nie da odejść. Nie idź, bracie. Wypij jeszcze i zostań. Za cztery godziny ruszamy w drogę.

Olek, tępo patrząc w ścianę, powiedział cicho, sennie:

— Pójdę... nie mogę... Ostatni raz...

Kazik nie przekonywał go więcej. Zrozumiał, że nie ma słów, które odwiodłyby kolegę od tego zamiaru.

Przed godziną 7 wieczór Olek był już w mieszkaniu Paulinki. Długo chodził, nieco slaniając się na nogach. Potem usiadł. Spojrzał na zegarek. Siódma. Paulinka wracała zawsze pięć minut po 7-ej, bo sklep był blisko. Lecz nie przyszła i kwa-

drans po 7-ej. Poszła po spirytus. Dopiero o godzinie pół do ósmej Olek posłyszał na dziedzińcu trzaskanie furtki i pospieszne kroki.

Paulinka prędko otworzyła drzwi i weszła do pokoju. Baran siedział na krześle przy ścianie. Miał czapkę na głowie. Uważnie patrzył w twarz Paulince. Zdziwiło go, że ma na sobie nie tę sukienkę w której poszła do sklepu, a nowy, elegancki kostium. Jego dawny prezent.

— Dobry wieczór, Olku. Spóźniłam się... Przeszłam się.. Poszłam odwiedzić tatusia.

— W nowym kostiumie?!

Paulinka zaczęła tłumaczyć mu, że chciała dobrze się zaprezentować rodzinie. Baran prawie nie słyszał. Patrzył chciwie w jej twarz. Sledził ruchy.

Po kilku minutach wstał. Paulinka zauważyła, że ma niezwykle wyraz twarzy. A Baran głucho wypowiadał:

— Do widzenia, Pawciu... Na zawsze... Jeśli cię skrzywdziłem, to wybacz... Nie chciałem nigdy...

Paulinka przeraziła się. „Chce zaraz odejść, a przecież obiecałam Kostkowi i naczelnikowi, że pomogę go pochwycić”.

— Olusiu! Co ty mówisz? Ja nie rozumiem!

— Wyjeżdżam z Mińska... Dzisiaj... na zawsze...

— Olusiu, ja nie chcę! Zostań! Jak można! Co ci się stało?

— Nic, Pawciu. Do widzenia.

Podszedł ku drzwiom. Czuł, że nie wytrzyma, jeśli przewlecze swą obecność. Za kwadrans będzie godzina powrotu na melinę Kazika. Bał się nawet dotknąć jej dłoni na pożegnanie.

Pawka rzuciła się ku niemu.

— Czekaj Olku! Czekaj! Jedno słowo tylko!

Jadę z tobą! Nie chcę bez ciebie żyć. Chciałeś, żebyś jechała z tobą do Wilna. Jadę. Wszystko rzucę dla ciebie!... Pokłóciliśmy się, to cóż z tego. Widzisz, o! Rozwinęła z papieru flaszkę spirytusu.

— Kupiłam dla ciebie, żeby wypić razem i przeprosić. Ja ciebie też kocham. Tylko nie mówię tego.

Baran stał bez ruchu i patrzył zdumiony na kochankę. Potem powiedział wzruszony:

— Co ty ze mną robisz, Pawciu?

— Nie, Olusiu, kochany. To, co słyszysz. Jedziesz stąd i ja jadę. Ot, zaraz... Zostawię wszystko i idę z tobą...

— Naprawdę?!

— Naprawdę.

— Czekaś... Jakże to zrobić?... Musisz przecież zebrać się... Po cóż tak wszystko rzucać!... Czy zdążysz załatwić wszystko w dwa dni?

— I w jeden zdążę. Aby z tobą...

Baran zdecydował się i... — odetchnął radośnie.

— Dobrze. Idę do kolegi i umówię się by jechać za dwa dni.

— Idź, Olusiu, ale prędyutko wracaj, bo będę niespokojna. A ja tu zrobię kolację... Jak wtedy, gdy wyszedłeś z więzienia.

Podbiegła do Olka i mocno ucałowała w usta.

— Idź i zaraz wracaj!

Baran szedł prędko na Komarówkę. Niosła go radość. W piersi szalała burza szczęścia. Wpadł wesóło na melinę Kazika i pośpiesznie zaczął tłumaczyć:

— Przyjacielu, drogi... Wszystko inaczej poszło... Paulinka też jedzie z nami... Rozumiesz, druhu?... Ja teraz wiem, że żyję!... Musisz zaczekać dwa dni... Pojutrze wieczorem... Rozumiesz sam —

nie można rzeczy rzucić na ulicę... Posprzedajemy wszystko i jazda!

Morecki zgodził się, choć nie było mu to przyjemne. Miał wszystko przygotowane do podróży. Teraz musiał zmienić plan. Nie wypadało odmówić koledze i nie chciało się samemu wyruszać w drogę.

W dziesięć minut potem Olek pośpiesznie wracał na Złotą Górkę. Wszedł radośnie do mieszkania i zobaczył ładnie ubraną Paulinkę i zastawiony do kolacji stół.

Wódka była bardzo mocna i niezbyt dobra, Olkowi smakowała ogromnie. Jedzenie również. A Paulinka wciąż mówiła o tym, co i jak będzie likwidować. Starła się przeciągnąć kolację jak najdłużej, żeby Olek zmęczony mocniej spał. A gdy, około godziny 12-tej poszli spać, wybuchnęła tak wulkanicznym temperamentem, że zdziwiła znajdującego ją od dawna kochanka. Była w tym nie tylko chęć wyczerpania go pieścotami, lecz i pewna perwersja. Wynagradzała go „hojnie” za zdradę i wyżywała się sama z bandytą, który na pewno ostatni raz w życiu pieści kobietę, którego, może dziś jeszcze, śmierć czeka.

Baran usnął około godziny 2-iej w nocy. Paulinka uważała, że jest dość zmęczony. Nastawiła budzik na piątą. Postanowiła, że nie będzie spać, lecz zaasekurowała się na wypadek, gdyby sen i ją zmógł. Wywnioskowała, że jeśli budzik wyrwie kochanka ze snu, powie, że idzie na dwór, bo chce wcześniej przygotować drzewo na opał i uporządkować wszystko w składziku, aby potem mieć więcej czasu na przygotowania do podróży.

Godziny pęły. Paulinka wieczorem zauważyła, że Baran wyjął pistolet i — jak zwykle — położył go pod poduszkę. Około godziny 3-ciej za-

częła powoli wsadzać dłoń pod poduszkę. Dotknęła palcami stali. Ujęła koniec lufy i wolniutko wyciągnęła pistolet. Opuściła rękę w dół i położyła broń na podłodze obok łóżka. „Jeśli obudzi się i zauważy, że pistoletu nie ma, powiem, że był w łóżku i przeszkadzał.

Czwarta.

Baran zaczął zgrzytać zębami. Potem coś prędko mówił. Nasłuchiwała. Lecz słowa były zbyt niewyraźne. To ją irytowało. Ostrożnie wzięła budzik i przesunęła wskazówkę tak, aby budzik nie dzwonił o piątej. Wiedziała, że teraz nie zaśpi umówionej godziny.

Duża wskazówka zegarka pelzła powoli, lecz nieustannie ku wyznaczonemu terminowi.

Za dziesięć piąta.

Paulinka ostrożnie, powoli, zsuwała się bokiem z łóżka. Dotknęła stopą podłogi. Potem wyslizgnęła się cała spod kołdry. Cichutko, boso dotarła do drzwi. Obróciła dwa razy klucz w zamku. Otworzyła drzwi. Zdawało jej się, że na dziedzińcu ktoś ostrożnie chodzi. „Może Kostek?”

Przez pewien czas stała bez ruchu, nasłuchując oddechu Barana i szmerów na zewnątrz. Potem powoli, cicho odemknęła drzwi i, w koszuli tylko, wyszła na dziedziniec. Było ciemno i chłodno. Zza rogu budynku wyłoniła się postać człowieka. Paulinka zamierzała się cofnąć. Ale w tej chwili człowiek poświecił sobie latarką w twarz. Poznała Siemiencowa. Zbliżył się do niej.

— Śpi? — spytał szeptem.

— Tak-ak...

— A pistolet?

— Zabrałam mu.

— Dobrze... Idź z powrotem i kładź się do łóż-

ka. Za kwadrans wejdziemy... Drzwi tylko przykniij...

— Ja się boję.

— Bo głupia jesteś!

Popchnął ją ku wejściu.

Paulinka przyknęła drzwi i cicho zbliżyła się do łóżka. Olek mocno spał. Powoli wślizgnęła się do łóżka.

Olek spał od strony pokoju i drzwi. Paulinka od ściany, lecz łóżko, aby było jej wygodnie wstać, odsunięto.

Paulinka znów leżała obok zdradzonego kochanka. Była zdenerwowana. Serce jej mocniej tłukło się w piersi.

Olek, zapewne odczuł przez sen jej powrót i zmienił pozycję. Zarzucił rękę na jej ramię i znów zaczął pośpiesznie mówić. Odróżniała słowa:

...Paulinko... kochanie... Masz złoto... wszystko dobrze... Pawciu... słodka Paulinko...

Pawcia spostrzegła, że drzwi powoli się uchylają. Było to tak straszne, że zadygotała z przerażenia.

Drzwi były już otwarte, a w nich zarysowały się sylwetki kilku mężczyzn, ubranych po cywilnemu. Mieli w rękach pistolety. Wyglądali upiornie. Kobieta chciała krzyknąć ze strachu.

Wchodzili bez szmeru do pokoju, przy nikłym świetle nocnej lampki. Po chwili łóżko zalał silny wachlarz promieni elektrycznej latarki. Baran poruszył się, lecz i teraz nie obudził się. Może czuł się pewny nawet we śnie, w pobliżu swej ukochanej kobiety.

Pięciu ludzi stanęło przy łóżku. Jednym ruchem zdarto koldrę z Barana i wszyscy rzucili się na niego. Uderzono go kolbą pistoletu w głowę. Pawka krzyknęła i zsunęła się z łóżka na podłogę. Ten

krzyk wyrwał z piersi Barana rżenie. Próbował się wyrwać, lecz nie zdołał. Krzyknął głucho:

— Pawko, nie bój się! Nic ci nie...

Znów uderzono go kolbą pistoletu i zwleczono na podłogę. Krew spływała mu z głowy. Wiązano mu nogi i ręce. Baran już się nie opierał. Stracił przytomność.

Dom był obstawiony dokoła. Jasia też wzięto z łóżka. Agenci wiedzieli o przejściu do kuchni. W czasie gdy jedni załatwiali się z Baranem, inni przedostali się do jego pokoju. Jaś nie opierał się. Tylko z nienawiścią patrzył na krzątających się po pokoju i wiążących mu ręce agentów. Nastka była zupełnie spokojna. Oczy jej lśniły ostro i zimno. Spojrzała na stojącą w kącie siekiere. Lecz wiedziała, że tym Jasiowi nie pomoże. Przecież słyszała, że w domu pełno ludzi.

Wkrótce przed bramę zajechało ciężarowe auto. Poprzednio umyślnie zatrzymano je dalej.

Wyprowadzono Jasia i wyniesiono Olka, który nie odzyskał przytomności. Dano im silną eskortę. Część agentów została w mieszkaniach dla dokonania dokładnej rewizji.

Auto ruszyło z miejsca.

W dali, za nim zostały marzenia Barana o szczęściu; mały dom na Zacharzewskiej, krzak bzu ze zwędzłymi kwiatami i od dawna pusta budka Miłego.

XIII.

LOS SIĘ BAWI

Jasia przewieziono do pierwszego komisariatu — w centrum miasta. Zrobiono to w tym celu, aby odłączyć go od Barana, którego osadzono w areszcie przy Urzędzie Śledczym. Olka wrzucono do ciemnej separatki. Tam zdjęto mu więzy z rąk i nóg, i wezwano felczera. Był to ten sam esku-lap, który go przewiózł z więzienia na Sierpu-chowskiej, do więzienia na Gruszewskiej. Poznał swego pacjenta i ze złością starał się doprowadzić go do przytomności. Spalił Olkowi ostrym spi-rytusem błony śluzowe w nosie, lecz Baran nie ocknął się z ciężkiego zamroczenia... Panicza dla-tego osadzono w pierwszym komisariacie, że z aresztu tego była niemożliwa, ucieczka i skontakto-wanie się ze spółnikiem. Zamierzano badać każde-go osobno i skonfrontować zeznania. Wiedzano, że są to poważne ptaszki i chciano wydobyć z nich jak najwięcej materiału dla Ekspozytury Śledczej.

W 1-szym komisariacie były dwie cele. Jedna dla kobiet, druga dla mężczyzn. Jasia wsadzono do pustej celi kobiecej. Lecz był tam krótko. Po po-ludniu przyprowadzono kilka aresztowanych ko-biet i Jasia przerzucono do męskiej celi. Zastał

tam jednego więźnia. Był nim mały, szczupły Żydek — Dawidka. Z zawodu fryzjer. Wsadzono go na skutek oskarżenia o kradzież brzytwy w Spółdzielni Fryzjerskiej przy ulicy Zacharzewskiej. Był trochę blatny i przejął się sprawą Jasia. Z początku chłopiec odniósł się do niego nieufnie, lecz wkrótce wyczuł, że to jest pewny towarzysz niedoli, zaś fryzjer odnosił się do Jasia jak do dawnego przyjaciela. Ponieważ fryzjer siedział już kilka dni, poinformował Jasia o wszystkim co sam wiedział. A wiedział sporo, gdyż w Spółdzielni Fryzjerów, do której uczęszczała czerwona elita miasta, dużo się nasłuchał.

Szczerze powiedział Jasiowi — po wysłuchaniu okoliczności w jakich został aresztowany — że sprawa jego jest beznadziejna. Poinformował Jasia, że stąd często zabierają na Komarówkę bez badania. Natomiast z Ekspozytury Śledczej biorą w wyjątkowych wypadkach.

— Musisz grać na zwłokę — radził fryzjer. Może w tym czasie coś się zmieni.

— Ale jak?

— Nie wiem — rzekł smutnie Żydek. — gdybyś dostał się do Ekspozytury byłoby lepiej. Tu zginiesz! Ja mam drobną sprawę. Siedzę pierwszy raz i też nie jestem pewien, czy mnie nie zabiorą pod ściankę. Mongoła nie prędko „rozbijają”. Będą badać i badać. Stawiać na „opoznania”, a tobie trzeba tylko nawiewać, albo dostać się stąd do psiarni na Sierpuchowską.

— A jak uważasz: można stąd plitować?

— Sam widzisz: pełna sala „barbosów”. Nawet okna nie ma... Do wygodki nie puszczają. Ustawili kubel... Stąd nie dasz rady plitować.

Rzeczywiście było to niemożliwe. Areszt zbudowano prowizorycznie, oddzielając jeden koniec

podłużnej sali mocnym przepierzeniem z desek. A ponieważ nie było tam światła, wycięto nad drzwiami okienko i okratowano je... Przez wąskie szpary w drzwiach można było dostrzec, na przeciwległym końcu sali, drzwi do kancelarii, a na lewo od nich długi stół, przy którym siedzieli milicjonerzy. Inni chodzili po sali. Jeden z nich pełnił dyżury przy areszcie i miał klucze od drzwi.

O godzinie 12-tej więźniom dano po 150 gramów wilgotnego chleba. Wieczorem otrzymali gotowaną, ciepłą wodę w bańce od konserw.

Nadeszła noc. Jaś leżał na pryczy obok przepierzenia, za którym była cela kobiet. Słyszał ich rozmowy. Jedna wciąż płakała. Druga pocieszała ją. Inne rozmawiały mało.

Dawidka przyszedł do Jasia i usiadł na pryczy obok niego.

— Jak noc przyjdzie to taki strach!... Oni zawsze nocą biorą.

Zapalili wé dwóch jednego papierosa. Jaś również nie mógł usnąć, chociaż był bardzo zmęczony. Wciąż wracał myślami do tego, co się z nim stało. Nie mógł zrozumieć powodu swego aresztowania. Poza tym bardzo niepokoił się losem Nastki. Nie wiedział czy dziewczynę aresztowano i to go bardzo męczyło. Czuł zresztą, że rzeczywiście jego sytuacja jest okropna. Mógł być niepotrzebny do dochodzeń i zbędny jako więzień. Wtedy „zlikwidowano by” go w w parę dni. O możliwości zwolnienia nawet nie marzył, chociaż siedział bez żadnego oskarżenia. Wiedział, że rozstrzeliwano nawet zupełnie niewinnych ludzi.

Godziny nocy były długie, trwożne, męczące. Dolatujące z rzadka dźwięki aut zapierały oddech, serce niespokojnie tłukło się w piersi. „Może tu się zatrzyma. Zabierze w ostatnią podróż... Na

Komarówkę... na śmierć". Tak minęła noc... Nie spali obaj...

Rano Żydek powiedział z ulgą:

— Mamy szczęście: jeszcze jeden dzień wygraliśmy na loterii! Zapalmy!

Wypalili znowu jednego papierosa i położyli się spać. Fryzjer zaraz usnął, Jaś jeszcze długo leżał z otwartymi oczami.

Rano dano im znów ciepłej wody. To nie zaspakajało głodu, lecz napili się obaj. Potem siedzieli ponuro na pryczy, albo chodzili pojedynczo wąskim przejściem między pryczą, a ścianą. Prócz pryczy mieli w celi tylko niski, drewniany stółek, na którym stawiano kubek.

Fryzjer przeważnie leżał. Był wyczerpany kilkodniowym głodem. Jaś chodził po celi. Chciało mu się palić. Wiedział, że Żydek ma jeszcze kilka papierosów, które udało mu się przenieść do aresztu, lecz myślał, że fryzjer śpi i nie chciał go budzić. Wtem, skulony w kłębek fryzjer poruszył się i zwało usiadł na pryczy. Skinął dłonią Jasiowi, który zbliżył się do niego.

— Wiesz co? — zaczął cicho mówić Żydek. — Ja wiem co zrobić, żeby ciebie zabrali do Ekspozytury.

Jaś słuchał go z zainteresowaniem.

— ...Trzeba tak zrobić, że niby się powiesiłeś. Ja ciebie oberwę i narobię krzyku. Wtedy na pewniaka zabiorą ciebie stąd.

Jaś zastanawiał się, a fryzjer mówił dalej:

— Co tobie szkodzi to? Może tej nocy zabiorą ciebie na Komarówkę, a tak to jeszcze masz szansę... Rób jak chcesz... To moja rada, bo mnie ciebie szkoda...

— Masz rację — rzekł Jaś. — Zastanawiam się jak to zrobić, żeby nie wyglądało na puc...

Zacząli naradzać się nad realizacją tego planu. Zamierzali przeprowadzić go w następujący sposób. Postawić stołek po drzwiach i przewrócić go, do kraty nad drzwiami umocować linkę, przetrwaną w połowie długości. Jaś musiał zaciągnąć mocno na szyi pętlę i położyć się na ziemi. Fryzjer miał wówczas wszczać alarm i krzyczeć, że aresztowany powiesił się.

W południe otrzymali znów chleb. Zjedli go i przystąpili do realizacji swego planu. Jaś zdjął z siebie koszulę i darł ją po cichu na wąskie paski. Zwijali potem strzepy koszuli w cienką, lecz mocną linkę. Wymierzono odległość pętli — po włożeniu na szyję — od dolnego prętu kraty nad drzwiami. W tym celu Jaś stanął na stołku. Następnie przetrwano linkę o dłoń nad głową Jasia. Właściwie wszystko było gotowe do działania. Fryzjer był wzruszony. Jaś też się denerwował.

Zapalili. Potem nasłuchiwali i obserwowali, przez wąskie szpary między deskami wartowni. Dyżurny milicjoner siedział przy stole. Grał w warcaby z kolegą.

Jaś włożył pętlę na szyję. Pożegnał się mocnym uściskiem dłoni z towarzyszem niewoli. Potem zaczął zaciągać pętlę na szyję. Gdy była silnie zaciśnięta, wielokrotnie okręcał ją po skórze, aby wystąpiło zaczerwienienie. Robił to mocno. Czuł ból, lecz nie zważał na to. „Może uratuję sobie tym życie” — myślał.

Potem usiadł na ziemi przy drzwiach i silnie zaciągnął pętlę. Poczul, że w uszach mu dzwoni, w oczach robi się ciemno, a krew uderza do uszu i nosa... Prawie tracił przytomność.

Wówczas fryzjer przewrócił stołek. Skoczył na miejscu udając, że skacze z pryczy i uderzył pię-

ścią kilka razy we drzwi. Krzyknął naprawdę przerażonym głosem:

— Więzień się powiesił Prędeej otwórzcie!

Na sali zatupotały kroki. Rozległy się głosy:

— Zerwij go! Zerwij!

Milicjoner pośpiesznie otwierał kłódkę na drzwiach i zamek. Dawidka udał, że zrywa linkę. Potem sam ciężko usiadł na podłodze, pozorując, że to runęło ciało Jasia. Powstał. Jaś leżał oparty głową o drzwi i framugę. Twarz miał sinawą, linka głęboko wcinała się w szyję.

Drzwi otwarto szeroko. Głowa Jasia ciężko opadła na podłogę. Cicho charczał zdławionym gardłem. Wszystko wyglądało prawdziwie: i wiszący nad drzwiami koniec zerwanej linki, i przewrócony stół, i pętla na szyi Jasia, jego wygląd i przerażony Żydek, który, niby płacząc się i dygocząc ze strachu, mówił:

— Ja sobie śpię i śpię... A tu: bach!... Patrzę, on wisi!... Oj, tak ja się bałem... A drzwi zamknięte!... Pote oberwałem go!... Taki wielki strach!...

Milicjonery wyciągnęli Jasia na środek sali. Chłopiec był zmęczony, szyja strasznie go bolała, lecz zachował przytomność. Rozluźnił mięśnie, aby ciało było wiotkie.

— Trzeba zaraz doktora! — słyszał, jakby z dala płynący głos.

— I zatelefonować do Ekspozytury Sledczej!

— Przyprować doktora. Jest tu naprzeciw. Pewnie jeszcze żyje.

Jaś zaczął mocniej charczeć i poruszył głową w lewo. Wtem chluśnięto mu w twarz wodę. Poruszył się. Słyszał rozmowę telefoniczną:

Przerwa...

— Dyżurny?... Co?... Pierwszy komisariat...

Aresztowany, którego wczoraj osadzono tu, powie-
sił się... Tak...

— Nazwisko Nacewicz... imię Jan... osadzony
do dyspozycji Ekspozytury... Proszę zaraz zamel-
dować kierownikowi...

Przerwa...

— Tak. Posłałem po doktora... Może ocuci go...
Dobrze... Czekam...

Przerwa...

Jaś leżał i myślał. Był zadowolony mimo bólu.
Wkrótce posłyszał zły głos:

— Czemu nie zdjęliście mu pętli!

— Rzeczywiście!

— Durnie! Psiakrew!

Czyjeś dłonie niecierpliwie szarpały głęboko
wciętą wierówkę. Zabolało to bardzo. Jaś jęknął.
Linę zdjęto mu z szyi. Ból jeszcze się zwiększył.
Poczuł, że trudno mu łykać ślinę. Ucieszyło go to,
gdyż obawiał się, aby doktor nie skonstatował sy-
mulacji. Udawanie nadal nieprzytomnego uważał
za niebezpieczne.

Znów zadzwonił telefon.

— Słucham... Pierwszy komisariat... Tak... Tak.
Nacewicz Jan... Doktora jeszcze nie było... Nie-
przytomny... Tak...

Przerwa...

— Dobrze... Prześlemy do Ekspozytury natych-
miast... Właśnie czekamy na doktora... Tak...

Radość rozsadzała Jasia, lecz leżał bez ruchu.
Potem znów poruszył głowę. Uniósł ramię i opu-
ścił. Po chwili otworzył oczy i popatrzył w sufit.

— Co, żyjesz?

Jaś spróbował podnieść się, lecz opadł z po-
wrotem.

— Dać mu wody!

Wtem na salę wszedł doktor.

— Gdzie ten wasz wisielec?

— Tu... ocknął się... zerwali go...

Doktor stanął przy pacjencie. Potem kucnął. Na szyi Jasia była szeroka, sina pręga. Gardło spuchnięte.

— Otwórz usta!

Jaś poczuł na szyi dłoń lekarza. Jęknął.

— Przenieście go na ławkę!

Lekarz zbadał Jasia. Orzekł:

— Będzie żył. Gardło ma zaognione, ale to przejdzie.

— Czy nadaje się do przeprowadzenia do Urzędu Śledczego?

— Możecie go przewieźć.

— Lekarz odszedł. Jaś leżał na ławce.

— Możesz iść? — spytał go zastępca kierownika komisariatu.

— Nie wiem.

— No, usiądź!

Jaś usiadł.

— Dojdiesz... to blisko... dać dwóch eskorty. Zróbcie protokół. Dołączyć linkę... I prędko...

Wkrótce Jasia wyprowadzono z komisariatu. Wyglądał okropnie. Miał zlane wodą ubranie. Ręce związane mu z przodu kawałkiem sznurka. Obawiano się, że więzień, który zdecydował się powiesić, może uciekać, bez względu na wszystko, chociażby w tym celu, żeby go zastrzelono. Jeden milicjoner prowadził go, trzymając pod lewe ramię. Drugi szedł z tyłu, mając przygotowany do strzału pistolet. Jasiowi — przez złośliwość, że narobił kłopotu — powieszono na szyję linkę (dowód rzeczowy) i szelki. W ten sposób posuwali się brzegiem jezdnii, centralnymi ulicami miasta. Tworzyli dziwną i przykrą grupę. Przechodnie ze

strachem i współczuciem patrzyli na więźnia. Wdzieli idącą za nim Śmierć.

Gdy wyszli na ulicę Gubernatorską, w pewnej chwili minęło ich powoli jadące auto. Nagle donośny, kobiecy głos krzyknął:

— Stój!

Okrzyk ten skierowany był do szofera, który zaraz zatrzymał auto. Jaś nie patrzył. Miał oczy bezmyślnie skierowane przed siebie lub pod nogi. Na razie uratował sobie życie. Ale może tylko na krótko. Uciekać nie zamierzał. Był zbyt wyczerpany ostatnimi przeżyciami i dzielnica miasta zupełnie temu nie sprzyjała. Wolał w przyszłości uciekać z drogi do więzienia. Jednak okrzyk kobiety pobudził jego uwagę. Z auta wysiadła smukła, ładna kobieta. Była w skórzanej, czarnej kurtce. Na głowie miała czerwony szal, spod którego wymykały się ciemne pukle włosów. Za nią kroczył — starszawy jegomość, elegancko — jak na zubożałe miasto — ubrany. Auto lśniło błękitnym lakierem na którym wikwitały czerwone gwiazdy. Z przodu powiewała czerwona chorągiewka.

Kobieta ruchem ręki zatrzymała Jasia i eskortę. Chłopiec zdumionymi oczami patrzył jej w twarz. Poznał Marusię Łobową. Zdziwiona eskorta stała w milczeniu.

— Dokąd wy go prowadzicie?

— Do Urzędu Śledczego... To kryminalista...

— O to nie pytam. Dlaczego ma na szyi te sznurki? Co to jest?

— Wieształ się w areszcie... Zerwano go... To dowód...

Łobowa zdjęła z szyi Jasia linkę i szelki. Dała je milicjantowi. W tym czasie podeszedł jej towarzysz. Jaś poznał w nim starego aktora Sępkowskiego, który mu stręczył kiedyś aktorkę

operetkową. Tamten również go poznał. Chciał odruchowo podać mu rękę, lecz Jaś miał dłonie związane. Podniósł je obie razem.

— A to co?... Kto to zrobił?

— Naczelnik komisariatu dał rozkaz, żeby aresztowany nie uciekł.

— Tak-ak! Naczelnik komisariatu! Będzie miał za to dobrą nagrodę! Mógł dać pięciu, czy dziesięciu eskorty, ale rąk wiązać nie wolno! Siadajcie do auta wszyscy! Pojedziemy do ekspozytury.

Przestraszeni milicjonerzy i Jaś weszli do otwartego auta. Łobowa usiadła obok kierowcy. Sęp-Serkowski umieścił się również z tyłu, naprzeciw więźnia. Łobowa rzuciła szoferowi:

— Na Sierpuchowską! Ekspozytura Śledcza!

Auto ruszyło. Na chodniku zostały grupki gapiów, którzy ciekawie, lecz nieśmiało przyglądali się tej dziwnej scenie.

Sęp-Serkowski zwrócił się do Jasia:

— Coż to, królewczu kochany, za przygodą!... Jak z filmu!

Łobowa odwróciła się:

— Zna go towarzysz?

— A jakże! Najmilszy chłopak, jakiego znam na tym padole nędzy, i płaczu, zgrzytania zębami i tarcia tyłem o podłogę. Najmilszy!

— A to dobrze się składa. Wasza opinia dla mnie ważna.

Zwróciła się do Jasia:

— Za co ciebie aresztowano?

Jaś zastanawiał się jak przedstawić jasno i krótko sprawę.

— Mów tylko prawdę!

— Prawdę mówiąc — nie wiem za co. Byłem kiedyś aresztowany, zwolniła mnie Komisja z braku dowodów. A teraz aresztowano bez żadnej spra-

wy i oskarżenia. Może dlatego, że w tymże domku aresztowano szewca, który wynajął u mnie mieszkanie. On zbiegł z więzienia. Może dlatego?

— A tamten szewc też aresztowany?

— Tak.

— Słowem: nic poważnego u ciebie nie ma? jakiegoś zabójstwa, przechowania broni, działalności politycznej, napadu?

— Absolutnie nie!

Marusia wstrząsnęła głową.

— Ja im pokażę jak postępować!... Doprowadzić do samobójstwa!

Sęp-Serkowski klapnął dłonią po kolanie Jasia:

— Będziesz wolny, królewiczu! Jak ona powiedziała, to tak jakby już zrobiła! Jej słowo — to skała, żelazo, stal!

Jaś był oszołomiony tym wszystkim. Nie wierzył swoim oczom i uszom. A jednocześnie czuł się upokorzony tą sytuacją, w jakiej się znalazł wobec dawnej swej kochanki! Przykro mu było przyjmować od kobiety dary, za które nie wiedział czy i jak będzie mógł się wywdziękzyć.

Marusia wystarała się w Moskwie o skierowanie jej do Mińska w charakterze kierowniczkii Wydziału Kulturalno-Oświatowego Gorispolkomu. Mogła otrzymać lepsze stanowisko, nawet w Moskwie, gdzie pracował jej mąż-komunista, lecz nie chciała mieszkać z nim w jednym mieście, a do Mińska wabiła ją tęsknota za wspomnieniami o krótkim szczęściu z Jasiem i sentyment do miłego szczerzego chłopca, którego kiedyś nazywała swoim dzieciakiem. W drugiej fazie ich romansu miała dla niego więcej uczuć „macierzyńskich”, niż jakichkolwiek innych. Nie opanowała Jasia jako kochanka, więc stała się dla niego tkliwym, dobrym

i szczerym przyjacielem. W przyjaźń wkładała nie kobiecą ambicję, a matczyną troskę.

Do Mińska Łobowa przyjechała poprzedniego dnia. Natychmiast objęła stanowisko. Zamieszkała w hotelu „Europa” pod Nr 34, w dawnym pokoju Filipa Łysego, przeznaczonym przez zarząd dla lepszych gości... Sęp-Serkowski był w jej Oddziale kierownikiem Sekcji Teatralnej. Intuicją starego wygi wyczuł, że Łobowa ma duże stosunki w Moskwie, więc z miejsca padł przed nią plackiem i oświadczył gotowość do wszelkich usług. Rzeczywiście — jako dobry znawca „terenu” i ludzi — od razu przydał się bardzo Łobowej.

Marusia miała chęć odwiedzenia Jasia, lecz chciała mieć do tego więcej wolnego czasu. Zresztą nie wiedziała, czy Jaś jest na wolności, czy jeszcze w więzieniu.

Widok chłopca, wleczonego ulicą jak na rzeź z wierówkami na szyi i przyłożonym do pleców pistoletem wstrząsnął nią.

„Do tego doprowadzili!” — pomyślała ze złością „komisarsza”, mając na myśli właśnie tych teoretyków, którzy opanowali Rosję i trzymali ją w terrorze, rękami najgorszych kanalii, degeneratów i zbrojnych. Od razu postanowiła, że wyrwie chłopca z opresji. Wiedziała, że rozporządza potężnymi środkami. Nawet zbyt potężnymi. W pewnych wypadkach mogła rozkazywać bardzo wysokim osobom z „góry” partyjnej. A była zdecydowana na wszystko... Jeśli Łobowa dla Jasia stała się kobietą-matką, tkliwą i dobrą, to wobec kanalii była silną, o żelaznym sercu despotką... To właśnie było jednym z powodów rozejścia się jej z mężem.

W Ekspozyturze Śledczej Łobowa sucho i władczo — kazała dyżurnemu zameldować siebie natychmiast do kierownika Urzędu Śledczego. Podała

nazwisko i funkcję. Potem usadowiła się w fotelu, w którym dwa dni temu siedziała Paulinka.

Łobowa już dawniej, gdy Jaś nabrał zaufania do kochanki-frajerki — słyszała od niego dużo opowiadań o blatnych, o robotach, o hintach. Wiedziała, że agenci śledczy często żerują na przestępcach, że są pośrednicy, którzy za „ciężkie” pieniądze umarzają nawet bardzo poważne sprawy. Chłopiec operował wielu przykładami nadużyć i krętactw policji i tajniaków. Wiedziała, że jeśli zajdzie potrzeba potrafi zebrać dla niej w parę dni mnóstwo, obciążających stróżów bezpieczeństwa publicznego, faktów, które w jej rękach mogą obrócić się w nóż na gardle dla wielu, może nawet dla wszystkich dygnitarzy policyjnych i śledczych.

Kierownik Urzędu Śledczego bardzo uprzejmie przyjął Łobową.

— Słucham, towarzyszeko — rzekł po paru stereotypowo grzecznościowych zdaniach.

Łobowa zaczęła prosto:

— Zależy mi osobiście na natychmiastowym zwolnieniu aresztowanego, Jana Nacewicza. Gdyby nie brak czasu, to zrobiłabym to inną drogą. Wówczas dla wielu osób wynikłyby z tego niezbyt przyjemne konsekwencje. Lecz chcę, aby go zwolniono natychmiast. Widziałam go i przywiozłam wraz z eskortą. Jest wycieńczony. Wygląda okropnie. Prowadzono go ulicą ze związanymi rękami i sznurem na szyi, na którym wieszal się w areszcie.

— Aha! Znam ten wypadek.

— A sprawę jego towarzyszek zna?

— Nie.. Nie bardzo...

— To poproszę zaraz się zapoznać i zwolnić Nacewicza. Nie mam dużo czasu do stracenia.

Naczelnika ta władczość i bezceremonialność Łobowej zirytowała i wyprowadziła z równowagi.

Dostał wypieków, a oczy przybrały zły, uparty wyraz. Nie był przyzwyczajony do wysłuchiwania rozkazów, szczególnie, jeśli chodziło o sprawę aresztowanych. Słyszał w tych wypadkach błagania, prośby, widział łzy... Powiedział sucho, nieco podniesionym głosem.

— Nie mogę zaraz tego zrobić, bo mam inne, ważniejsze sprawy. Może towarzyszka zechce się pofatygować do mnie jutro, od godziny dziewiętej rano. Zobaczę co mogę zrobić dla tamtego waszego Nacewicza.

Łobowa wstała z krzesła.

— A ta-ak! To wy nie tylko nie umiecie porządnie spełniać swych obowiązków, lecz nawet grzecznie rozmawiać. Otóż ja do was więcej się nie zgłoszę. Nacewicza zwolnię inną drogą. A wami obiecuję dobrze się zająć. Postaram się, żebyście z tego gabinetu przeszli, ze związanymi rękami, tam gdzie się należy!

W tym, co powiedziała Łobowa była taka pewność siebie — bo rzeczywiście mogła łatwo tego dokonać — że mężczyzna zbladł. Gdyby nawet był zupełnie w porządku, osobie ustosunkowanej łatwo było go zrzucić ze stołka. A Łobowa wyglądała właśnie na osobę ustosunkowaną i nie mającą skrupułów przy osiągnięciu swych celów, lub dla zemsty.

Kierownik stchórzył i nie wiedział jak wybrnąć z przykrewj sytuacji. Zaczął miękko:

— Przepraszam. Nie ma o co się gniewać. Wca-
le nie powiedziałem, że nie zamierzam zwolnić Nacewicza, tylko, że w tej chwili nie mam czasu.

— A ja nie mam czasu potem. Wam łatwiej załatwić sprawę zaraz, niż mnie potem tu się fatygować.

— Więc załatwię sam... Na pewno to się da zrobić.

Łobowa zrozumiała, że kierownik robi wszystko czego ona zapragnie, nawet nie ze strachu przed odpowiedzialnością za jakieś nadużycia czy uchybienia, lecz dla swego spokoju. Powiedziała twardo:

— Proszę zwolnić Nacewicza natychmiast!

— Za waszym poręczeniem.

— Bez!... Nie zarzucono mu żadnego przestępstwa... Aresztowano, bo w mieszkaniu, które odnajmował, pochwycono jakiegoś typa!

Kierownik zadzwonił. Do gabinetu wszedł wysoki, szczupły urzędnik. Kierownik powiedział do niego:

— Proszę zaraz dać mi wszystko co macie w sprawie Nacewicza. Eskortę zwolnić!...

Urzędnik wyszedł pośpiesznie. Kierownik rzekł do Łobowej.

— To zajmie tylko parę minut.

— Dobrze.

Łobowa wyjęła z kieszeni skórzanej kurtki papierosnicę i zapaliła papierosa. Zapanowało milczenie. Kierownik chciał przerwać przykry nastrój, lecz bał się odezwać, aby nie rozdrażnić czymś Łobowej. Czekał niecierpliwie na przyjscie urzędnika. Tamten wkrótce wrócił. Niósł protokół rewizji z pierwszego komisariatu i odebrane Jasiowi w czasie rewizji osobiste rzeczy. Kierownik przejrzał pośpiesznie papiery, odnotował coś u dołu protokołu i podpisał. Podał świstki urzędnikowi i powiedział:

— Proszę zaraz napisać kartę zwolnienia Nacewicza Jana z aresztu, a potem umorzenie sprawy. Zwolnić Nacewicza natychmiast!

Urzędnik wyszedł. Kierownik wskazał na leżące na stole drobiazgi.

— To można zabrać i wręczyć Nacewiczowi. Jest wolny.

— Więcej nie ma żadnych formalności?

— Nie ma. Kartę zwolnienia otrzyma dla własnego zabezpieczenia. To kwestia minut.

— Dobrze.

Łobowa wstała i skierowała się ku drzwiom. Z czerwonym szalem na głowie szła jak ze sztandarem. Kierownik powiedział:

— Do widzenia, towarzyszeko!

Lecz Łobowa, nie odpowiadając, otworzyła energicznie drzwi i wyszła z gabinetu. Niedługo potem zapukano do drzwi. Wszedł znowu urzędnik.

— A co zrobić z dziewczyną, która była aresztowana po rewizji w mieszkaniu Nacewicza?

— Powód aresztowania?

— Mieszkała razem z Nacewiczem.

— Głupstwa robią, a ja muszę wykręcać się i mieć nieprzyjemności! Cóż to za powód?? Też zwolnić!

W ten sposób Łobowa za jeden zachodem, zwolniła nie tylko Jasia, lecz i Nastkę. Gdy urzędnik wyszedł z gabinetu kierownik rzucił ze złością obiadkę na biurko:

— I ma być dobrze w Rosji, gdzie takie kurwy rządzą!

Splunął.

W kilka dni po zwolnieniu, Jaś zupełnie niespodzianie zobaczył idącego po drugiej stronie ulicy Zacharzewskiej dawnego mistrza swego i przyjaciela, Wiktora Umieńskiego. Pośpiesznie przeszedł jezdnię i stanął przed nim, radośnie uśmiechnięty. Dawny monter — obecnie kierownik Elekrowni

Miejskiej — rozjaśnił posępną twarz.

— Dawno, dawno nie widziałem ciebie!

— Oj, dawno — potwierdził Jaś. Nie ma dużo czasu, ale chciałbym pomówić...

— Dobrze. Chodź do mnie.

Wprowadził Jasia na dziedziniec elektrowni, a stamtąd do swego mieszkania. Zajmował cztery pokoje i kuchnię, lecz mieszkał tylko w jednym pokoju. Na ścianie — jak dawniej — wisiały gitara i mandolina. Z boku stał warsztat slusarski i tokarenka. Monter wygłądał tak samo ciężko i posępnie. Mówił powoli, z namysłem, jakby przymocą wydobywał z siebie tkwiące w gardle słowa. Tylko jedna zmiana była dla Jasia niewątpliwa. Nie posłyszał żadnych demagogicznych frazesów ani pochwał bolszewizmu. Przeciwnie.

Jaś słuchał, zdumionymi oczami patrząc w szarą, jakby ołowianą twarz montera. W głębi jego spojrzenia zapalały się błyski nienawiści. Głos był niski, charczący.

— ...Popłynęli dranie po morzu krwi ...I utoną w nim. ...Ale trzeba tak robić, żeby przędziej...

I Jaś, zawsze apolityczny, czuł, że nienawiść technąca z całej osobowości montera, ogarnia go i jemu się udziela. Już nie jako wyraz protestu, lecz jako motor czynu. Sam zaczął mówić o gwałtach, zbrodniach i grabieży obecnych władców miasta. Opowiedział o swym życiu w ostatnich miesiącach i o aresztowaniu. Dodał, że życie zawdzięcza jedynie ustosunkowanej kobiecie.

Umieński słuchał, uważnie i ponuro. Na policzkach grały mu mięśnie. Gdy Jaś skończył opowiadać o sobie, powiedział:

— W mieście, chłopcze, nie uchowasz się długo. Może chcesz iść w lasy, to cię skieruję tam gdzie będziesz potrzebny i gdzie znajdziesz swo-

bodę. Ja muszę być tu! Tu chyba i zginę. Nikomu nie jestem potrzebny. A ty młody. Machaj do lasu!... Jak zechcesz — powiedz.

Jaś pożegnał go; śpieszył się do Łobowej. Na pożegnanie monter powiedział:

— Jak co trzeba: przychodź!... Powiedz w bramie, że do kierownika elektrowni!...

— Przyjdę na pewno!

— Będę czekał. Wieczorami jestem zawsze w domu.

Jaś szedł pośpiesznie ulicą Kreszczewską. Był zamyślony. Od chwili zwolnienia z aresztu trawiła go chęć opuszczenia miasta. Czuł, że powietrze tu jest zatrute. Nie mógł swobodnie nim oddychać. Nocami niespokojnie spał. To, co przeżył w areszcie, oczekując wywiezienia na Komarówkę męczyło go nadal. Był przygnębiony swoim położeniem, owcy czekającej na rzeź. Miał pogardę dla idących ulicami tchórzliwych, przygnębionych ludzi. Nie chciał należeć do tego społeczeństwa. Pragnął odetchnąć wolnym powietrzem. Poczuci się swobodnym. Mieć możliwość walki w razie potrzeby. Mieć obok siebie śmiałych, wiernych towarzyszy. Bronić ich i być bronionym.

— Dzień w dzień, noc w noc potworna łapa Czerezwezajki wyrывała setki ofiar. Rzuciała je w obydney lochy. Miażdżyła. Mordowała. Nie wiadomo za co... Bez sensu... Dla statystyki... Dla wykazania swej gorliwości... Dla grabieży mienia i trupów... Dla przyjemności zabijania.

Dwie rozmowy z monterem, z których Jaś dowiedział się, że Umieński utrzymuje stałą łączność z partyzantami i pomaga im, jeszcze pogłębiły w nim tęsknotę za wolnym życiem i obrzydzenie do tego, co się działo w mieście.

Nie miał już dawnych kolegów. Wyginęli wraz

z tysiącami innych, zupełnie niewinnych ludzi, wielu znikło z miasta — porzucając tereny, na których grasowała czerwona cholera. Wielu poszło do zorganizowanych lub anarchistycznych oddziałów partyzanckich. Rosła sława słynnych watażków i jak magnes ściągała z miast, miasteczek i wsi wszystkich skrzywdzonych, niezadowolonych, a odważnych ludzi.

Jasia przykuwała do miasta jedynie wdzięczność i przyjaźń do Łobowej. Lecz mimo wszystko nie mógł tak żyć dalej. Chłopiec chciał jeszcze dopomóc Baranowi. Prosił o to Łobową. Ofiarował na ten cel wszystko co mógł zdobyć. Łobowa rozwinęła energiczną akcję. W Urzędzie Sledczym Barana nie było. Sprawę jego przekazano — jako bardzo poważną — do Kolegium Czerezwyuczajnej Komisji.

Marusia dwa razy była u prezesa Czeki, Micina. Obiecał jej rozpatrzyć sprawę. Za drugim razem dał jej do przejrzania akta Barana. Potem rzekł stanowczo.

— Nie mogę absolutnie nic zrobić dla niego. To recydywista. Zawodowy przestępca. Uciekał z więzienia. Stawiał opór w czasie aresztowania. Znalaziono przy nim broń. Zresztą sprawa ta jest przekazana do Kolegium. Może spróbuje towarzysza pomówić ze Starcowem, ale uprzedzam, że nie z tego nie wyjdzie. Owszem, mogę postarać się wpłynąć na niego... Uzyskać łagodniejszy wyrok. Lecz za powodzenie nie ręczę.

Łobowa nie chciała używać wszelkich środków dla zwolnienia kolegi Jasia, którego sprawa rzeczywiście była ciężka. Uzyskała jednak przyrzeczenie Micina, że wstawi się za Baranem do Starcowa.

O wyniku starań szczerze powiedziała Jasiowi. Nie łudziła go nadzieją zwolnienia Olka, lecz przypuszczała, że prośba prezesa Czerezwyczajki, skierowana do prezesa Kolegium, może odnieść skutek. Wiedziała, że uparty zwykle, mało inteligentny kolejarz, wyniesiony do godności prezesa Czerezwyczajki, jest nieprzekupny. Lecz słowa danego zawsze dotrzymuje. Więc na pewno ujmie się za Baranem. Natomiast jak postąpi Starcow, wysubtelniony inteligent, prawnik, ideowy komunista — nie wiedziała.

Jaś nie więcej nie mógł zrobić dla Olka. Zorganizował regularne przesyłanie mu jedzenia i wysłał za łapówką, przez dozorcę więziennego dwa grypsy. Pisał, że stara się o jego zwolnienie, lecz, że nadzieja mała, prawie żadna. Nie chciał wprowadzać w błąd Barana. „Może będzie próbować ucieczki podczas drogi” — myślał.

Minęły dwa tygodnie od czasu zwolnienia Jasia z aresztu. Jego sytuacja materialna była marna. Sprzedawał resztki rzeczy, których nie ograbiono w czasie rewizji. Nastka to załatwiała, lecz uzyskiwała śmiesznie małe sumy. Całe miasto wysprzedawało się, aby zdobyć choć trochę jedzenia. Kraść u obywateli Jaś nie chciał. Dość byli niszczeni przez bolszewików. Zresztą przyrzekł Marusi Łobowej, że wstrzyma się od wszystkiego, co by dało prawną podstawę do jego aresztowania. W tym wypadku trudno by było jej znów mu dopomóc. Chłopiec i tak miał szczęście, że rewizja nie wykryła trzech pistoletów i narzędzi do włamywań. Zawdzięczał to Nastce, która wszystkie „trefne” rzeczy natychmiast lokowała w zbudowanej przez siebie skrytce, w składziku na drzewo.

Jaś przyszedł do Łobowej późno. Zwlekał z za-

komunikowaniem jej swej decyzji opuszczenia miasta. Nosił ją w myśli od dawna. Po rozmowie z Umieńskim postanowił iść w lasy nieodwołalnie. Zwlekał jeszcze parę dni. Dziś zdecydował się ostatecznie, bo od Monicza przyszedł do Umieńskiego łącznik, który nazajutrz w południe zamierzał wracać do partii. Jaś umówił się, że spotka się z nim u montera i że razem wyruszą w drogę.

Łobowa czekała Jasia w pokoju.. Leżała w łóżku i przeglądała jakiś maszynopis. Gdy chłopiec wszedł, od razu wyczuła jego nastrój.

— Cóżes taki smutny?

— Przykro, że muszę cię pożegnać.

— Tak... Wyczuwałam to...

— Jutro idę w lasy. Nie mogę już żyć w mieście. Wiem, że tu zginę na pewno. Nie wiem gdzie i z jakiego powodu. Ale czuję to... Wszystko mi tu zbrzydło!

— I ja?

— Nie bądź zła. Żeby nie ty dawno by mnie tu nie było... Ja sam sobie wstrętny jestem!

Łobowa patrzyła Jasiowi uważnie w twarz. Potem powiedziała spokojnie, ale cicho:

— Naturalnie musisz iść. Nie można miazdzyć swej woli, zaniedbywać złego przeczucia...

Jaś nie przypuszczał że tak spokojnie przyjmie jego decyzję. Sprawilo mu to ulgę, a jednocześnie nieuzasadnioną przykrość. A Marusia mówiła dalej:

— Przecież jesteś moim głupim, małym synkiem, który udaje dużego mężczyznę, chce być bardzo mądry, a jest zupełnie głupiotki. Czyż mogą ci czegokolwiek zabronić!... Nęca cię kobiety, bo za głupi ~~nie~~ jesteś, aby zrozumieć, że to pustka — jeśli wabią cię tylko kształty i barwy

ciała... Leć za nimi, wyżywaj się, zbieraj przeżycia i doświadczenia. Zmęczycia cię szarzyzna miasta, chcesz swobody i przestrzeni lasów. Leć mój głupi ptaszku w lasy!... I tam nie znajdziesz spokoju. Ale pamiętaj zawsze o swoim przyjacielu, który uroił sobie, że jesteś jego synkiem. Może przylecisz kiedy do miasta — będę tu. Nie zmienię tego pokoiku na lepszy. Chcę, żebyś wiedział zawsze — gdzie jestem. Może znów trzeba będzie ci pomóc?

Jaś był wzruszony. Łobowa widziała to. Podeszła do niego i pogłaskała po policzku.

— A teraz pomówimy o czymś innym. Bardzo poważnym. Nastaw uszu i słuchaj. Ja mam możliwość dowiadywania się wielu ciekawych i w tajemnicy utrzymywanych rzeczy. Zorientowałam się, że masz kontakt z partyzantami i jeszcze z kimś solidnym tu, w mieście. Otóż, chcę przekazywać to co wiem na użytek ludzi, którzy walczą z takimi idealistami jak ja... No, nie marszcz się. Niech będzie: z takimi jak ci, co wyrwali Śmierci z rąk kosę i szaleją z nią teraz jak wariat z siekierą. Dobrze?

Jaś nie wahał się. Nawet ucieszył się tą propozycją. Wiedział, że dla Umieńskiego będzie to skarb olbrzymi. Powiedział, że jutro powie swemu przyjacielowi, który prowadzi tu sprytnie i wytrwale poważną pracę przeciw bolszewikom, o jej propozycji i skontaktuje ich.

— Doskonale — powiedziała Marusia. — I ja wyrwę się z nędzy tego bytowania. Znajdę się w tychże szeregach co i ty. Poza tym uzyskam pewną ważną dla mnie rzecz...

— Słucham.

— Możliwość legalnego przejścia na drugą stronę barykady. Tej mam dość. Mierzi mię już! Chcę

być i zostać tam, gdzie ty. Tylko nie wyobrażaj sobie, że chcę ci się narzucić. Nawet myśli takiej nie mam. Chcę, aby nasza przyjaźń przetrwała jak najdłużej. Ja wkładam w nią inne uczucia, niż ty, ale jesteśmy względem siebie uczciwi i szczerzy. To najważniejsze! Zgadzasz się ze mną?

— Zupełnie.

Bardzo serdecznie się pożegnali. Marusia była nawet wesola. Gdy Jaś szedł na Złotą Górkę było mu smutno. Nie wiedział, że po jego wyjściu Marusia zamknęła drzwi na klucz, rzuciła się na łóżko i długo płakała.

Nazajutrz rano Obywatel przyszedł do Jasia i dał mu brudną, zmiętoszoną kartkę. Jaś rozwinął ją. Z trudnością odczytał drukowanymi literami pisany list. Zorientował się, że to Baran pisał sam. Gryps był lakoniczny:

POD DOMEM MIŁEGO JEST TO CO AZUR
KUPIŁ W PUDLE. PODZIEL SOBIE I PAU-
LINCE. KARM MIŁEGO. MNIE ROZWAŁĄ.
ZEGNAJ

MONGOŁ.

Jaś wnet się zorientował o co chodzi. Lecz jedna myśl zatrzymała mu spokój ducha. Nie mógł się zgodzić na oddanie Paulince tego, co przeznaczył dla niej Baran. Jeśli nigdy jej nie lubił, to teraz patrzył na nią ze wstrętem. Pawcia zrobiła kilka prób nawiązania stosunków z Jasiem i Nastką, lecz oboje uchylił się od tego. Chłopiec nie przypuszczał nawet, że Paulinka zdradziła Barana. Wiedział, że rewizja była przeprowadzona u niej tak dokładnie, że została w pustym mieszkaniu. Znikły nawet lepsze suknie i palta. Znaleziono pieniądze, a ze sklepu zabrano cały towar.

Pawcia nazajutrz po rewizji poszła do Urzędu Śledczego. Uważała, że to nieporozumienie, że jej wszystko zwróca. Lecz tam Kostek, którego wywołała na korytarz, udał, że jej nie poznaje.

— W jakiej sprawie pani?...

— Kostku, kochany, mnie przecież obrabowali...

— Nie rozumiem, pani! Nie jestem żaden Kostek, a urzędnik. O co pani chodzi? Proszę mówić krótko i jasno! Nie mam czasu...

Pawcia speszona, blada, jękając się, zaczęła wnosić swe pretensje co do przeprowadzonej u niej rewizji.

—...Mnie nawet sukienki... I towar ze sklepu... Cóż ja pocznę?...

— Dość! Proszę słuchać! — uroczyście i wyniośle rzekł agent Siemieńcow. — Jako kochanka i współniczka bandyty powinna pani być aresztowana i siedzieć tam, gdzie i on! Jasne? Jeśli panią oszczędzono, to jedynie przez litość kierownika Urzędu dla pani głupoty! Jasne? Radzę zaraz stąd się wynosić i zapomnieć o wszystkim! Do widzenia!

Siemieńcow zostawił przerażoną Paulinkę na korytarzu i odszedł. Kobieta ledwo trafiła do domu. Tak była przestraszona. Płakała i wyla, zaciskała pięści i zęby.

— Wszystko to przez tamtego podleca!

Myślała jednak nie o Kostku, a o Baranie!

Jaś, po przeczytaniu grypsu, zostawił Obywatela na podwórku i poszedł do Nastki. Oderwał ją od gotowania obiadu. Pokazał kartkę Barana i opowiedział wszystko. Nie miał dla niej tajemnic. Zresztą był jej tak pewien, jak Baran Milego. A odchodząc do lasów nie chciał zabierać tej tajemnicy ze sobą, bo nie wiedział jaki los czeka go w przyszłości. Wreszcie — po naradzie — postano-

wili nie ruszać zakopanego przez Barana skarbu, bo może Olek jeszcze ocaleje. Gdyby zginął mieli wyjąć jego depozyt i wziąć dla siebie połowę. Postanowili, że Paulince nie dadzą nic. Nastka aż pięścią pogroziła w kierunku pokoju Pawki.

— Nic! Ani grosza! Olek przez nią zginął! Ja się nie oszukam! Rozdamy biednym! Ale nie jej. Tymczasem niech to leży.

— A poradzisz sobie beze mnie?

Nastka uśmiechnęła się.

— Nie bój się! Mam mieszkanie, drzewo; jest trochę rzeczy. Pracować mogę też... Sama wyżyję i Milego wykarmię. Dziś jeszcze zabiorę go. Na złość tamtej...

Nie chciała nawet wymawiać imienia Paulinki.

— Niech tak będzie — zgodził się Jaś.

Koniec czerwca 1919 roku w Mińsku był niepokojny. Bolszewicy szaleli. Wyczuwali, że dookoła nich, już w samym mieście rodzi się bunt. Że nad głowami zawisły groźne chmury. Więc ze strachu i wściekłości strumieniami krwi ludzkiej zalewali zarzewie buntu u swych niewolników. W obłędzie niszczenia chlustali nią na ślepo. Natomiast natura, jakby chcąc ułagodzić serca ludzkie, nasycić pełne strachu oczy idących na śmierć skazańców, wyczarowywała z siebie najcudowniejsze barwy.

Jaś głęboko i chciwie wchłaniał powietrze.

Szedł po wąskich, leśnych ścieżkach za swoim przewodnikiem. Był nim barczysty mężczyzna, mający około 50-ciu lat. Szedł tak lekko, prędko i wytrwale, że Jasiowi trudno było za nim nadążyć.

Zbliżał się wieczór. Po lesie pełzły cienie wysokich drzew. Podszycia zaczęły zatracać kształty i otuliły się mrokiem. Tylko niebo jeszcze błękit-

niało. Tylko wierzchołki sosen różowiła zorza.

Mimo zmęczenia Jaś czuł się doskonale. Po raz pierwszy od wielu miesięcy był zupełnie swobodny. Za pasem, na brzuchu, miał pistolet. Nie był już bezbronną ofiarą kaprysów bolszewickich komisarzy, lub ich sługusów. Miał możność obrony w każdej sytuacji.

Przewonik z zapadnięciem mroku szedł wolniej. Lecz mrok, w miarę przyzwyczajania się oczu, zaczął rzednąć. Rozpraszała go poświata gwiazd. A niedługo przed północą Jaś zauważył z odległości kilkuset metrów, żółtawe błyski między pniami drzew. Przewodnik stanął. Obrócił się do Jasia:

— Dalej iść nie można. Wpadniemy na zagrożenia.

Trzy razy świsnął. Potem zaświecił zapalną, przypalił papierosa i trzymał go tak, żeby był widzialny od strony obozu.

— Na kogo czekamy? — spytał Jaś.

— Zaraz przyjdą wartownicy.

Rzeczywiście posłyszeli ciche kroki. Błysnęła latarka. Z mroku rozległ się głos:

— Kto taki?

— Baryła.

Zbliżyło się do nich dwóch ludzi. Jaś i przewodnik ruszyli za nimi. Nie szli w prostym kierunku, widocznie omijali jakieś przeszkody. Wkrótce znaleźli się w pobliżu dużego ogniska. Paliły się w nim kłody i karczce drzew. Otaczały go wysokie ściany, uplecione z gałęzi, umocowanych do wbitych w ziemię pali. Osłaniały one ognisko, a jednocześnie chroniły miejsce wokół ogniska od chłodu. Na tej dość dużej przestrzeni rozlokowało

się około 50-ciu ludzi. Stanowili dziwną grupę. Nie stworzyłaby jej żadna fantazja.

Byli tam ludzie młodzi i w podeszłym wieku, lecz różnicę lat zacierał zarost od dawna niegolonych twarzy. Większość spała w dziwacznych pozach. Jedna grupa grała w karty. W innej grupie słuchano opowiadania jakiegoś mężczyzny z szeroką rudawą brodą i obandażowaną głową. Rozlegały się wybuchy śmiechu.

Błyskała broń. Lśniły oczy. Trzeszczał ogień. Sypały się skry. Jaś poczuł, że jest wśród naprawdę wolnych, śmiałych ludzi, niemożliwych do pokonania, zdecydowanych na wszystko, pewnych, którzy bez słów, bez hasła, będą do śmierci bronić swej swobody.

Od ogniska wstał szczupły, średniego wzrostu mężczyzna. Z lekka kulejąc omijał leżących na ziemi partyzantów. Jaś ze zdumieniem patrzył na niego. Mężczyzna ten miał oficerski płaszcz, buty i czapkę z czerwoną gwiazdą na otoku.

Przewodnik Jasia poszedł mu naprzeciw. Wymienili kilka krótkich zdań. Przewodnik wyjął z bocznej kieszeni cywilnej kurtki dość gruby pakiet. Potem wskazał ręką Jasia:

— Właśnie ten.

Mężczyzna w oficerskim płaszczu skinął Jasiowi ręką. Chłopiec pośpiesznie zbliżył się do niego. Uścisnął podaną mu dłoń.

— Jestem Monicz. Dowódca tego oddziału.

— Dużo o panu słyszałem — powiedział Jaś.

— Zobaczysz więcej! Jeść chcesz?

— Nie. Jestem zmęczony.

— To kładź się spać. Tu bez pierzyny ciepło. Pogadamy jutro.

Wkrótce Jaś leżał, na jodłowych gałęziach.
Patrzył w niebo. Myśli plątały mu się w głowie.

Pierwsza od dawna noc, w czasie której czuł się zupełnie bezpieczny.

Wysoko w górę pędziły z ogniska iskry i tam mieszały się z gwiazdami.

A w krąg cicho stał las i milczał.

XIV.

KONIEC POWIEŚCI, BLATNEJ KARIERY ALEKSANDRA BARANA I PRZYGÓD JASIA.

Kolację rozdawano wcześniej: o szóstej; zmierzch zapadał teraz około 9-tej. Więźniowie podstawiali miedziane baki i brali zupę.

Dziwiątkę załatwiono. Celę zamknięto.

— Na rosole nas trzymają — rzekł Szczupak, niosąc naczynie do stołu.

— O higienę dbają — dodał Fiśko.

Janek Złoty Ząb zamieszał drewnianą łyżką mętną lurkę i splunął. Położył łyżkę na stole i odszedł w kąć celi. Tam usiadł na „koźle” obok Barana.

— Cóżes w takim cytrynowym humorze. Nie warto finfy wieszać. Nas rozwała, ich cholera wydusi i wszystko będzie git.

Baran spojrział na niego — jakby nie słyszał, lecz po chwili powiedział:

— Aby prędzej!

— Nie rób wiatru: zdążymy.

Niektórzy więźniowie jedli, raczej pili, mętną, skąpo osoloną zupę. Inni, po wypiciu kilku łyżek

odchodzili od stołu. Tylko Kasia Śmieszna, wysoki, tęgi chłop, lat około 30, siorbał łyżką wodnistą lurkę i sam wypróżnił kociołek na 4-ch więźniów.

— Ten apetytu nie traci — zauważył Fiśko. — Machnij jeszcze jeden ceberek.

— Uważajcie, żeby kotła nie zjadł — wtrącił Knot.

Chłop roześmiał się wesoło i szczerze... W celi uważano, że jest głupawy. W rzeczywistości był to dobry, poczciwy chłopina. Nigdy się nie kłócił. Kpinki z siebie przyjmował z pogodnym uśmiechem i sam się śmiał najgłośniej. Zdawało się, że nie rozumie gdzie jest i co go czeka. Do więzienia trafił w taki sposób: na rogatce miasta zatrzymało go dwóch pijanych żołnierzy. Kazali oddać sobie pieniądze. Oddał to co miał — drobną sumę. Wówczas żołnierze chcieli zabrać konia i wóz.

— Nie dam — powiedział spokojnie chłop.

— I pytać nie będziemy.

Wyrwano mu z rąk lejce. Jeden z żołnierzy uderzył go kolbą karabinu w pierś. Wówczas chłop wyrwał mu z rąk karabin i spokojnie zabił obu żołnierzy. Rzucił karabin na ziemię i pojechał dalej. Wnet dopędziło go kilku konnych bolszewików. Oficer, kozak, nie pozwolił go bić i oddał w ręce milicji. Sprawę przekazano Czerezwyczajnej Komisji, a chłopą wsadzono do więzienia. Nie umiał nawet porządnie opowiedzieć więźniom za co go wsadzono.

— Czy ty rozumiesz, że ciebie rozbijają? — pytał go Szczupak.

— No to co? — Wesoło pytał chłop.

— Śmiały tuman! — powiedział Fiśko z uznaniem.

— Ze śmiałych szelki robią — wtrącił Knot.

Lecz wszyscy polubili chłopą i wnet otrzymał

przezwiśko: Kasia Śmieszna. Cela, do której go wsadzono, należała do tych, w których siedzieli więźniowie ze sprawami w „Kolegii”. Wyjaśniono to chłopu. Lecz on zapominał nazwy i mówił: „cielega”*)).

— Na tej „cieledze” daleko nie zajedziem. Trzeba było swojej pilnować — mówił Fiśko.

— I pilnowałem. Dwóch żołdatów skasowałem — odpowiadał wesoło Kasia Śmieszna.

— Nie martw się, dadzą ci skarbową, z motorem — rzekł Janek Żłoty Ząb. — „Czarny Kruk” się nazywa.

Chłop tylko się śmiał i jego zawsze równy, dobry nastrój, pogodna twarz i niezmienny spokój, wytwarzały dobrą atmosferę w celi.

Jeśli blatni tego wieczora wyszydzałi kolację, to nie dlatego, że byli głodni. Jedzenia było dość. Baran otrzymywał dwa razy w tygodniu „ogromne” wałówki. Jaś mu to zorganizował. Uważał swego mistrza za zgubionego, więc chciał, aby chociaż głodu nie zaznał i miał dość palenia w ostatnich dniach swego życia.

Nadeszła noc. Więźniowie układali się do snu, lecz długo w noc rozmawiali.

— Ot „pluski” gryzą! — z podziwem raczej, niż ze złością powiedział Kasia Śmieszna.

— A ty ją złap za tylne łapy — radził Janek Żłoty Ząb — i zębami o parapet.

— Pluskwy jak barany, a gryzą jak psy! — dodał Szczupak.

— Jeśli taką pół roku pohodować — to dość można; — wtrącił Fiśko.

A noc snuła się nad miastem.

*) Po polsku: wóz.

Po północy usłyszeli dźwięk motoru. Setki sere niespokojnie drgnęło w piersiach.

„Czarny Kruk...”.

Rzeczywiście auto wjechało na dziedziniec więzienny. Na zewnątrz było słycać okrzyki i rozmowy w rosyjskim języku. Potem po żelaznych schodach zadudniły ciężkie kroki. Sereca drgały w piersiach. Więzienie konało. Śmierć kładła na nie swą rękę. Potem usłyszeli tupotanie wielu nóg. Mijały cele, w których tłumiono oddechy, gdzie przeżalenie rozszerzało źrenice oczu, gdzie zęby szczękały jak w febrze.

Otworzono celę sąsiednią — dziesiątą.

Zachrypnięty, obojętny głos wyczytał kilkanaście nazwisk.

— „Wychodź! Żywo!”

Ktoś krzyknął. Potem słycać było hałas. Rozległy się jęki. Padł strzał. Potem jeszcze kilka, które głośnym echem rozniosły się po korytarzach.

Janek Złoty Ząb stał przy drzwiach... Odwrócił głowę w stronę celi:

— Warłama brali... Nie dawał się...

Rzeczywiście Warłam, który miał kolosalną siłę fizyczną, dawno mówił, że na Komorówkę nie pojedzie. Koledzy pokpiwali z tego. Wiedzieli, że oprawcy przychodzą w kilkunastu i łatwo sobie poradzą. Mieli karabiny, pistolety, a dla poskromienia opornych, ukrecone z miedzianego drutu grube, długości ramienia, baty... Łamali uderzeniami ich ręce, lub głowy opornych. Potem wsadzali na auta i wieźli na Komarówkę. Tam zakopywano ich do ziemi żywymi.

Buryga tak lawirował, żeby być ostatni. Potem też ociągał się z wychodzeniem. Wówczas oficer wskazał żołnierzom więźnia:

— Przyśpieszcie tego sukinsyna!

Dwóch krasnoarmiejców skoczyło ku Burydze. Więzień strzaskał pierwszymu szczękę ciosem pięści. Drugiemu wyrwał „miedziany” bat i skoczył ku oficerowi. Ciał go batem przez głowę i plecy. Zadał cios w twarz pięścią. Padło kilka strzałów i Buryga nie zdążył niczego więcej dokonać. Zabito go.

Po dziesięciu minutach „Czarny Kruk” odjechał. Więzienie odetchnęło... Do następnej nocy...

W wielu celach nie rozbierano się na noc. Lecz „dziewiątka”, gdzie siedziała sama złodziejska ferajna i Kasia Śmieszna, dbała o swój „honor”. Starali się żyć normalnie. Nawet żartowano, grano w karty. A przecież wszyscy mieli sprawę w „Kolegii”, więc lada noc Śmierć mogła złożyć im wizytę.

Janek Złoty Ząb nawet przesadzał: żartował, bawił Kasię Śmieszna, grał w karty ze Szczupakiem — pysznił się złodziejską togą.

A Baran mileżał...

Prezes Kolegium Czerezwyczajnej Komisji, jurysta Aleksander Starcow, brat Aleksandra Barana z jednego ojca, miał nawał pracy. Traktował swój obowiązek poważnie i zawsze starannie studiował akta więźniów, których sprawy przekazywano do rozstrzygnięcia „Kolegium Trzech”. Stworzono je na rozkaz Dzierżyńskiego, aby odciążyć pracę Rewolucyjnych Trybunałów i w szybkim tempie likwidować szczególnie ważne, lub trudne do rozstrzygnięcia w postępowaniu normalnym sprawy. Kolegia miały prawo zaocznie decydować o losie więźniów: skazywać na śmierć lub przekazywać ich Rewolucyjnemu Trybunałowi, a nawet pod Sąd Ludowy.

„Kolegia” były właściwie maszynami do ska-

zywiania ludzi na śmierć. Były to sieczkarnie, z jednej strony których włączano żywych ludzi, a z drugiej wychodziła krwawa miazga. Wytyczne, na których opierała się działalność Kolegii, była tego rodzaju, że kwalifikowali na śmierć prawie każdego obywatela, jeśli się znalazł za kratami. Najpoważniejszym dowodem winy w tamtych czasach był fakt aresztowania.

Dziś prezesowi, który przeważnie decydował za trzech, trafiła do rąk szczególnie ciekawa sprawa. Sprawa Obywatela. Był zatrzymany na ulicy. Znaleziono przy nim komplet złodziejskich narzędzi i zmiętoszone, postrzępione karty rękopisu. Odprowadzono go do Urzędu Śledczego. Tam pobieżnie zbadano. Narzędzia zatrzymano, a protokół, wraz z załączonym do niego rękopisem, przekazano do dyspozycji Czerezwyczajnej Komisji, która skierowała sprawę do rozstrzygnięcia Kolegium.

Uwagę Starcowa ściągnął rękopis powieści „MGŁA”. Powieść nie była skończona, lecz można było zorientować się, że jej autor zna doskonale życie przestępców. Postacie, które tam figurowały były żywe, prawdziwe. Treść pulsowała krwią. W każdym fragmencie wyczuwało się walkę o prawdę, o ból.

Starcow z początku przeglądał tylko kartki trudnego do odczytania rękopisu. Potem zatrzymał się na dłuższym fragmencie. Wreszcie zabrał całość do domu i przeczytał do ostatniej stronicy, urwanej w połowie zdania. Można było się zorientować, że jest to tylko część zamierzonej pracy, napisanej szczerze i śmiało. Starcow podkreślił czerwonym ołówkiem wiele fragmentów, część których podałem na początku tej powieści, jako jej motto. Lektura ta wywołała w nim wiele uczuć

— często sprzecznych ze sobą.

Powieść zainteresowała go jako prawnika, obraziła jako urzędnika i obywatela. Pewne zdania były podkreślone dwa razy. Na przykład: „...To nie są szakale ducha — chciwi i okrutni na wyżynach, podli i uniżeni w dole. To są ci, których lżąc i niszcząc — ze strachu przed nimi — podziwia cuchnący obłudą mieszczuch”.

Starcow kazał sprowadzić do siebie Obywatela na przesłuchanie. Takie polecenia wydawał rzadko, tylko wtedy, gdy sprawa była wyjątkowo ważna lub zawikłana. Po obiedzie przyprowadzono więźnia. Zameldowano o tym prezesowi Kolegium.

— Do gabinetu! — rzucił krótko Starcow.

Wprowadzono Obywatela pod eskortą dwóch żołnierzy z karabinami na pasach i podoficera z gotowym do strzału rewolwerem w dłoni. Starcow zobaczył starszego człowieka, o siwiejących, zmierzwiionych włosach, dawno niegolonym zarostie, w brudnym zniszczonym ubraniu. Z wycięcia marynarki było widać szarą od brudu, żółkłą od potu koszulę.

Rozwiązać mu ręce! — powiedział Starcow.

— Niebezpieczny, towarzyszu prezesie — odparł podoficer, nie spełniając rozkazu.

— Powiedziałem!

Podoficer pośpiesznie zdejmował głęboko wcięte w przeguby spuchniętych rąk sznurki. Nie podołał. Wyjął nóż i przeciął więzy. Zbyt się spieszył i niezdarnie to zrobił, więc skaleczył rękę więźnia.

— Proszę wyjść i czekać na korytarzu!

Podoficer wyprężył się.

— Eskortą też?

— Tak! Też! Czekać tam!

Żołnierze i podoficer pośpiesznie opuścili czyściutki, luksusowo umeblowany gabinet. Więzień stał pośrodku i spokojnie rozcierał dłonie.

— Jestem prezesem Kolegium...

— Bardzo mi przyjemnie — rzekł swobodnie i spokojnie Obywatel.

Zabrzmiało to ironicznie, chociaż więzień miał zupełnie poważną twarz.

— ...Mam pańską sprawę... Pewne rzeczy mnie zainteresowały, więc chcę osobiście pana przesłuchać. Dlatego właśnie pana tu wezwałem.

— To pan zawsze może łatwo zrobić! Służę panu prezesowi.

— Proszę usiąść.

— Dziękuję. Postoję. Nie chcę zostawiać wszy w miękkim fotelu. Siedzę dość długo, więc stanie jest mi przyjemne. — Obywatel przetarł dłonią oko i zostawił na policzku plamę krwi ze skaleczonej dłoni.

Starcow spostrzegł, że „plan” rozmowy jego z tym „pisarzem” stracił swe wytyczne. Miał chętkę bez „badania” odesłać tego człowieka do więzienia. Przykro mu było patrzeć na tę cuchnącą nędzę i niewolną postać. Przykre wrażenie spotęgowała wzmianka o wszach i ta krew. Wziął czysty skrawek papieru i, aby przerwać milczenie, spytał:

— Pańskie wykształcenie?

— Uniwersytet... Poza tym studia za granicą w zakresie agronomii.

Starcow napisał kilka wyrazów na papierze. Potem odłożył pióro.

— Bardzo mię dziwi — rzekł z udanym patosem — że człowiek z pańskim wykształceniem stoczył się tak nisko.

Obywatel uśmiechał się. Starcow patrzył surowo i z odpowiednim „zdziwieniem” na twarzy.

— A mnie dziwi to, że pana prezesa to dziwi. To jest po prostu przesunięcie się w hierarchii społecznej, o które starało się wielu ideowych ludzi przez wiele lat. Teraz właśnie się urzeczywistnia... Poza tym wcale nie uważam, że to jest „nisko”. Myślę odmiennie. Lecz to dość długa i zawiła kwestia. A pan prezes na pewno nie zechce dyskutować z człowiekiem z nizin.

Starcow ujął pióro i zaczął przeglądać akty Obywatela. A tamten ciekawie go oglądał i myślał: „Jaki podobny do Mongoła. Tamten zawodowy złodziej. A ten... zawodowy... morderca!”.

— U pana znaleziono komplet złodziejskich narzędzi?

— Tak.

— W jakim celu pan je miał?

— Interesowały mnie.

— Jako narzędzie do własnego, specjalnego użytku?

— Bynajmniej. Nie dokonałem w swym życiu pasożyta społecznego ani jednej kradzieży.

— A ostatnio?

— Ostatnio żyłem absolutnie uczciwie. Przedtem przez głupotę, narzuconą mi wychowaniem, nie protestowałem przeciw tępieniu nędzarzy przez sądy, policję, prokuratury i to uważam za największą swoją hańbę.

— To znaczy: należało przeszkadzać w zwalczaniu przestępstw?

Starcow z zainteresowaniem patrzył na Obywatela.

— Czy, aby zwalczać przestępstwa należy samemu je stosować? — odpowiedział pytaniem Obywatel; a po małej przerwie dodał:

— Przestępców nie można wyplenić rękami katów. Bo z ich krwi narodzą się inni zbrodnia-

rze: zimni, okrutni, którzy zbrodnię nazwą zasługą, a świat krwią zaleją. Są w „Międzynarodówce”, którą obrali sobie za hymn komuniści, piękne słowa: „Nikt nie da nam zbawienia: ni Bóg, ni car, ani bohater”^{*)}). I to słusznie. To sprawdza się teraz. Ich może zbawić jedna potęga! Najwyższa! — Obywatel patrzył ponad głową Starcowa. — Kultura! Tylko to!

Starcow, słuchając ściągnął brwi, lecz nie przerywał. „Popisuje się mądrością, a jest zgnitym inteligentem o wypaczonym mózgu!”.

— A czym można ich zwalczać obecnie? — spytał spokojnie.

— Rozumem i sercem.

— Panu tak się zdaje. Jeśli gnój zalega podwórze, to trzeba go wyrzucić tam, gdzie należy.

— A co zrobi robactwo, które na tym gnoju obecnie — na ostatnim wyrazie Obywatel położył nacisk — się tuczy?

Obywatel miał inne, dosadniejsze argumenty. Lawinę ich. Lecz uważał, że nie wolno nadużywać sytuacji bezbronno go więźnia, wobec człowieka, który go traktuje grzecznie i nie nadużywa swej władzy w trakcie rozmowy.

— Czy pan wie co pana czeka? — spytał poważnie Starcow.

Wiem: Komarówka — łatwo i spokojnie powiedział Obywatel.

— Dlaczego taka pewność? Przecież pan uważa siebie za niewinnego.

— Jestem aresztowany. Sprawa w Kolegium. Wszystko w porządku. Dalszy ciąg zna każde

^{*)} Początek drugiej strofy « Internacjonalp »; po rosyjsku: « Nikto nie dast nam izbawlenja. Nie Bog, nie car i nie gieroj! Dobjomsia my oswoboźdienja swojeju sobstwiennoj rukoj! ».

dziecko w mieście, nie tylko ja: więzień!

Starcow uważnie patrzył mu w oczy. Spojrzenie miało zimne. Nie można było wyczytać w nim żadnego uczucia. Po chwili milczenia powiedział:

— Czy ma pan jakieś specjalne życzenia, lub skargę?

Obywatelowi przewijały się w głowie różne myśli, od przestępczych dowcipów, do frajerskich próśb. Wreszcie powiedział:

— Pan nie będzie mógł ich spełnić.

— Pan tak przypuszcza?

— Wiem.

Wkrótce Obywatel wracał do więzienia. „Rzeczywiście jestem zgniłym inteligentem... Za wszelką cenę zachować pozory... Trzeba było poczarować go trochę. Bajer — zagnać... Może by i zwolnił, albo pod Rewtrybunał przekazał”.

Lecz nie miał żalu do siebie. Odpędził praktyczne myśli i ciekawie oglądał miasto.

„Ale jaki podobny do Mongoła!”.

Nie mógł sobie nawet wyobrazić, że był to właśnie brat Barana.

Gdy Obywatela wyprowadzono z pokoju, Starcow wziął jego akty i u góry, z prawej strony, czerwonym ołówkiem położył twardo czerwony krzyż: wyrok śmierci. Pod nim postawił datę — o tydzień naprzód — i twardo przybił pieczęć Kolegium Czerzwyczajnej Komisji. W ten sposób sprawa Obywatela została załatwiona. Czerwony krzyż zamknął zwycięsko i łatwo dalszy ciąg powieści Obywatela „MGŁA”. Znikła w czerwonej mgle.

A w kilka dni potem Starcow przyszedł rano do biura z opóźnieniem. To zdarzyło się pierwszy raz od wielu miesięcy. Był zawsze punktualny co do minuty.

Lecz poprzedniego dnia musiał wziąć udział w przyjęciu, które urządził Kriwoszejn, z okazji przyjazdu z Moskwy Kontrolnej Komisji. Poszedł tam niechętnie. Nie lubił komendanta i jego faworytów. Pokłócił się z żoną, która nie chciała mu towarzyszyć. A na niej, raczej na jej śpiewie, najwięcej zależało komendantowi.

Na przyjęciu toastów było za dużo. Towarzystwo nudne. Wrócił do domu ze wstrętem do wszystkiego co go otaczało. Do tego doszła kłótnia z żoną. Żądała, aby się starał o powrót do Moskwy. Nie chciała mieszkać w nudnym wyjąłwionym z życia i radości Mińsku, gdzie nie miała żadnego towarzystwa.

— Możesz i tu występować... Śpiewać w teatrze...

— Dla kogo? Dla bydła? Widziałam, kto chodzi do teatru: żołdacy, szpicle, prostytutki i pijani partyjnicy.

— Po co ty tak się wyrażasz?

— Ach jaki subtelny!... Nadzwyczajnie!...

Wytknęła mu pracę prezesa Kolegium, i powiedziała, że rzuci wszystko i wróci do matki.

Rano Starcow wstał z bólem głowy. Śniadania nie było. Zjadł kanapkę i pojechał do biura. Tam czekał go stos aktów do rozpatrzenia.

Palił papierosa i myślał wciąż o żonie, którą mimo wszystko kochał bardzo. Wreszcie zabrał się do załatwienia aktów. Czerwone krzyże kładł się na papier jeden po drugim.

Otworzył kolejną teczkę. Zobaczył przypięty po środku blankiet tymczasowego paszportu. Ze zdumieniem patrzył na swoją własną fotografię.

„Co za dziwo!”. Zaczął czytać personalia.

Aleksander Baran... szewe...

„Aha, Baran!”. Przypomniał sobie prośbę pre-

zesa Czerezwyczejki, Micina, aby zwrócił uwagę na sprawę Barana i, jeśli można, przychylnie do niej się odniósł. Micina Starcow — w głębi ducha — nie lubił, jako tępego fanatyka i karierowicza, więc starania Łobowej pośrednio pogorszyły sprawę Barana.

Przejrzał uważnie wszystko. Recydywista... włamywacz... wielokrotnie karany... ucieczka z więzienia... posiadał broń...

Zrobił ruch dłonią. Czerwony ołówek zawisł przez chwilę nad papierem, aby zrobić na nim znak śmierci; aby wykreślić człowieka z liczby żywych. Lecz cofnął się.

Prezesowi zdało się, że tym ruchem wykreśliłby siebie samego. Ściągnął brwi.

„Aleksander... Aleksander... Aleksander... Pierwszy, drugi, trzeci... tyrani... Aleksander Macedoński... gordyjski węzeł...”.

Dłoń wisiała w powietrzu.

„Z zawodu szewc... I takie podobieństwo... szewc...”.

Ołówek dotknął papieru i zrobił twardo czerwony krzyż.

Starcow uczciwie spełnił swe przeznaczenie i pozbył się szewca, który odważył się być do niego podobnym, a nawet nosić to samo imię.

16 lipca do celi dziewiątej wsadzono trzech nowych więźniów. Byli to swoi: Żaba, Dawidka i Obywatel. Więc tylko Kasia Śmieszna nie należał do ferajny blatnych.

Żabę ujęto tydzień temu. Wzięli go hinty z ulicy. Bronił się, lecz miał mało kalibrowy brauning „szóstkę”. Naszpikował dwóch „psów” kulami, jednak nie uszedł. Sam został ranny w ramię i bark.

Dawidka siedział dawno. Sprawa jego zagubiła się w Rewtrybunale. Dopiero przy końcu czerwca wydobyto ją i skierowano do Cze-Ki. Tam akta ozdobił czerwony krzyż, a Dawidkę przeznaczono do celi 9-tej. Żydek wiedział co go czeka, lecz trzymał się dzielnie. Jeśli płakał ze złości po nieudanej ucieczce, to teraz godnie czekał na śmierć. On i Janek Żłoty Ząb bawili chłopaków rozmowami z Kasią Śmieszna, którego pobudzali do opowiadania różnych wiejskich historii i kawałów.

Dawidka siedział po obiedzie na oknie i śpiewał:

Żebym ja wiedział, kiedy ja umrę:
To bym se zrobił ze złota trumnę.
Ze złota trumnę, ze srebra wieko —
Żeby świeciło wszystkim daleko!

Hej dygu — dygu! Hej, rachuciachu!
Żeby świeciło wszystkim daleko!

— Ja ci powiem: kiedy umrzesz — rzekł Fiśko.

Dawidka uniósł w górę brwi:

— No, kiedy?

— Tej nocy.

— Pies ich drapał. Ja nie „drefię”. Ich też mogiła nie minie. Może będą dłużej zdychać.

A Fiśko chodził brawurowo po celi. Pociągał na środek Kasię Śmieszna i pogwizdując polkę tańczył z nim.

— Nie rób wiatru! — mitygował go Janek Żłoty Ząb.

— Ma wiatr w głowie — rzekł Szczupak.

A Fiśko z Kasią Śmieszna tańczyli jak na zabawie.

Baran poprawiał Żabie opatrunek. Obywatel grał w karty, w „tysiąc”, ze Szczupakiem i Knotem. Zabijali czas, którego zostało im tak mało, a może skracali oczekiwanie...

Nadszedł wieczór. Wszyscy w celi czuli niezawodnie, że „to” będzie tej nocy. Lecz nikt tego nie objawiał. Nikt nie wykazywał strachu. Wytworzył się nastrój zdecydowania na wszystko i zaciętość. Nie mówiąc o tym postanowili umrzeć z godnością. Zresztą dobrali się tu ludzie rzeczywiście śmiali. Prawdziwie śmiali. W których siła ducha panowała nad odruchami strachu. Jednak nikt w celi nie spał i nie rozbierał się. Nawet obuwia nie zdjęto... Nie zamierzali stawiać oporu, bo to nie miało sensu, a dawało jedynie oprawcom okazję państwa się nad skazańcami.

Noc mijała. Baran, leżąc na „legiemacie” trzymał w ręku włosy Paulinki. Ostatnia — fałszywa — pamiątka po jego ukochanej dziewczynie: Życie i tu z niego zadrwiło.

Niektórzy cicho rozmawiali. Kasia Śmieszna zasnął. Myślano, że i tej nocy Śmierć ich ominie. Lecz nad ranem zawarzał motor.

„Czarny Kruk” wpełzł na dziedziniec.

Gdy celę otwarto, wszyscy byli gotowi do wyjścia. Dziś wzięto tylko jedną celę: dziewięciu ludzi. Oprawcy uważali, że tu będą musieli pokonywać opór. Dziewiątka miała złą opinię. Więc spokój więźniów i obojętność zaskoczyły ich. Wszyscy w milczeniu zeszli na dziedziniec więzienny. Tam miękkim drutem związano wszystkim z tyłu przeguby rąk. Potem wtłoczono ich do auta. Siedzieli, stali, i leżeli, jak komu się trafiło. Razem z nimi jechało 12-tu krasnoarmiejców — eskorta-

dwóch czekistów i jeden oficer.

„Czarny Kruk” wypełził z bramy więziennej na miasto. Pognał ulicami, — wielu ludzi zerwało się ze snu w pobliskich ulicach na dźwięk motoru.

Na Komarówce, pod lasem, ogrodzono dużą przestrzeń terenu koleczastym drutem. Był to prostokąt, mający jedną przerwę dla wjazdu aut. Z początku rozstrzeliwano na otwartym terenie.

Lecz kilka razy skazańcy uciekali bez względu na ryzyko. Kilku nawet udało się uratować życie. Wówczas zabezpieczono miejsce kaźni zasiekami z drutu koleczastego.

Trupy zakopywano płytko. Nieraz okrywała je cienka warstwa ziemi. W wielu miejscach wystawały kończyny trupów. Odór rozkładu czuć było z dużej odległości.

Było już jasno, gdy „Czarny Kruk” wtoczył się na miejsce straceń. Eskorta pierwsza opuściła auto. Kazano wysiąść skazańcom. Rozkrecono im druty na przegubach rąk, by mogli się rozebrać. Stali kupą w zupełnym milczeniu.

Janek Złoty Ząb badawczo obrzucił teren wzrokiem.

„Uciec żadnej możliwości”.

Z wozu zrzucano trzy łopaty.

— Ołódźcie we trzech kopać dół — powiedział jeden z żołnierzy do więźniów.

Kasia Śmieszna pierwszy z przyjemnością wziął dło rąk łopateę. Lubił pracę, a tak dawno był jej pozbawiony.

— Jeszcze dwóch!

Knot i Szczupak też wzięli łopaty. Krasnoarmiejec, o piętnaście kroków od nich kantem łopaty wyznaczył miejsce na mogiłę.

— Kopać prędko!

Pod łopatami zgrzytały kości ludzkie.

Jeden z czekistów kazał reszcie więźniów rozebrać się. Skazańcy wiedzieli o tym. Nawet te łachmany i obuwie stanowiły łupy dla ich katów. Baran rozbierając się wyjął z kieszeni spodni włosy Paulinki.

Stali w marnej, brudnej, pełnej robactwa bieliźnie i tworzyli nędzną grupę. Zimno poranka chłodziło ich ciała. Dawidka drżał z zimna, a obawiał się, żeby tego nie zauważono i nie wzięto za objaw strachu. Żaba stał nieruchomo, twardo, spokojnie. Na bandażach jego wystąpiły czarne plamy krwi. Obywatel uśmiechał się. Jakby przeproszał „towarzystwo”, że jest w tak zaniedbanym stroju. A w głowie przewijały mu się myśli: „Nie skończyłem „Mgły”... Szkoda!... Bo ja, cóż wart?” Baran myślał wciąż o Paulince. „Pewnie teraz śpi! Dobrze, że Jaś wie gdzie jest blit!... Będzie miała z czego żyć”.

A niebo na wschodzie różowiła zorza. Odbłysek jej padł na drzewa i ciepło rozjaśnił zieleń. Wkrótce złoto i czerwień strzeliły w górę i zmieniając barwy, grając nimi, uroczyście stroiły niebo w ładne tęcze kolorów.

Zorza padła i na grupę skazańców. Lecz nie ozdobiła ich. Jeszcze wyraźniej ukazała nędzę ludzką... Szare, martwe za życia twarze, błyszczące gorączkowo oczy... Spieczone wargi...

Dawidka zaczął kaszleć. Potem kichnął.

— Sto lat! — powiedział Janek Złoty Ząb.

— Pęknij! — dodał Fiśko.

Reszta milczała ponuro.

„To też byłby rozdział do powieści” — z zalem pomyślał Obywatel.

Krasnoarmiejcy palili machorkę. Pluli. Dwóch pokłóciło się o buty Barana. Czarny Kruk zatoczył koło na placu i stanął gotowy do wyjazdu. Przed

jego zatrzymaniem się czekista krzyknął szofe-
rowi:

— Trrrr!

To ubawiło Kasię Śmieszłą. Wyprostował się i roześmiał wesoło, szczerze. Ten śmiech był dziwny: śmiech dziecka w rzeźni.

— Dość!

Mogilę wykopano po kolana. Z ziemi sterczały kości ludzkie. Widać było strzępy bielizny. Kazano rozebrać się i tym skazańcom, którzy kopali grób. Skierowano wszystkich ku nasypowi obok mogiły. Szli powoli naprzód, wiedząc, że nadchodzi koniec...

Pierwszy strzał padł w drodze. Potem poszły następne, wszystkie odcelowano spokojnie w czaszki idących ludzi. Dotykano ich lufami.

Obywatel runął pierwszy. Żaba chwycił się za bolący, raniony poprzednio bark. Osunął się na kolana. Baran odruchowo chciał pomóc mu wstać. Otrzymał strzał w nasadę czaszki. Padł ciężko na bok. Szczupaka i Knota zabito na brzegu mogiły.

Żołnierze i czekisci szli półkolem za skazanymi i strzelali. Janka Złotego Zęba zabito wielu strzałami na nasypie.

Dawidka nie dostał dotychczas ani jednej kuli. Może dlatego, że był najmniejszy. Nie zwracano na niego uwagi. Zabijali okazalszych. Żydek szedł z kurczowo zaciśniętymi w pięści dłońmi. Potknął się o leżący na ziemi trup Barana. Omal nie upadł, to ochroniło go od kuli czekisty, która przeleciała nad czaszką. Czekista wówczas kopnął go z całych sił w tyłek:

— Ty, żydowskie ścierwo!

Nagle Dawidka obrócił się i plunął mu w twarz. Chciał uderzyć, lecz padł od dwóch celnych strzałów na raz.

A w mogile stał Kasia Śmieszna i oczami zdziwionego dziecka patrzył na krwawą masakrę. Słońce, które teraz ukazało się zza horyzontu, zaróżwiło ciepło jego twarz. Patrzył bez ruchu. Kilka wystrzałów złało się w jeden dźwięk. Większość kul trafiła w głowę. Jedna w oko. Kasia Śmieszna pośpiesznie rzucił dłonie w górę, zakrył twarz, jakby chciał osłonić ją od bólu, albo otrzeć krwawe łzy. Potem osunął się w dół.

Słońce weszło ciche, łagodne, promienne, dobre. Niosło ludziom ciepło, światło, życie...

Tak zginął Baran i pamięć o nim zginęła. Zostały tylko martwe akty w wielu sądach i więzieniach. I została dożgonna tęsknota za nim w biednym psim sercu Miłego.

Bolszewicy uciekali z Mińska.

Pierwsi drapnęli komisarze i władze. Planowa ewakuacja do Smoleńska wzięła w łeb.

Szara, koloru wszy, masa żołdactwa, rwała wszystkimi drogami na Wschód, — tam skąd przyszła.

Polacy nacierali z Zachodu.

Monicz skoczył na trakt Borysowski. Wciągnął się w walkę z dużymi oddziałami bolszewickimi i, chociaż sprawił im dobre lanie, sam też dostał w skórę. Z oddziału, mającego około 50-ciu ludzi, zabito mu 11-tu a raniono około 20-stu. Sam był postrzelony w lewą dłoń.

Oddział wycofał się w lasy.

Monicz wysłał Jasia do miasta. Chłopiec miał jak najprędzej doręczyć list Umieńskiemu. Jaś kilka razy spełniał takie zlecenia. Chętnie udał się w drogę. Dawało mu to okazję zobaczenia Nastki i załatwienia swoich spraw.

Chodziło o pośpiech i Jaś nocą wyruszył w drogę.

Nad ranem pukał do mieszkania Umieńskiego. Monter otworzył mu drzwi. Weszli do środka. Umieński zaraz przeczytał list. Widocznie zdenerwował się. Patrzył ponuro przed siebie i zaciskał żelazne pięście. Potem wstał. Zrobił kilka kroków ku drzwiom. Zawrócił.

— Rozumiesz — zaczął chrapliwie. — Wariat! RzUCA się na płotki, a tu szczupaki płyną! Teraz co?... Przecież pisałem mu: podejść pod miasto, dać łącznika i czekać! Wszystko byłoby nasze.

Ciężko zakrążył bez sensu po pokoju. Jaś nie wiedział dobrze o co chodzi. Domyślał się, że Monicz niepotrzebnie wdał się w walkę, zamiast iść pod Mińsk i według wskazówek Umieńskiego, odciąć większe siły bolszewickie. Nie pozwolić taborem na wywiezienie łupów.

— Siedź tu! Ja ciebie zamknę. Wrócę za dwie godziny — rzekł monter. Jedzenie w szafce.

— Położę się spać!

— Dobrze.

Monter wyszedł. Jaś, zmęczony przedwczorajszym nocnym marszem, dniem walki i dłuższą drogą potrzebował wypoczynku. Po wyjściu montera położył się i wnet usnął.

Obudził się około południa. W pokoju był monter. Nie wyglądał na zdenerwowanego, lecz gdy zaczął mówić, Jaś zrozumiał, że w piersi jego szaleje burza.

— Sam pójdę!... Nie mogę na to patrzeć!...

Ruszył ciężko ku szafie w kącie pokoju i odsunął ją od ściany. Z tyłu, w górną listwę szafy były wbite gwoździe, a na nich wisiało kilka niemieckich karabinów i kilkanaście ładownic z nabojami. Pośpiesznie naładował karabin. Wziął cztery

ładownice. Podszedł do okna i otworzył je. Pchnął okiennice. Słońce zalało pokój.

Ulicą jechały tabory bolszewickie. Rozlegały się krzyki. Popędzano konie. Na wozach, wypełnionych cywilnymi rzeczami — „zdobyczą wojenną” — jechali krasnoarmiejcy.

Jaś zbliżył się do montera.

— Co ty chcesz zrobić?

Umieński nie odwrócił głowy. Jaś posłyszał:

— Czekam przerwy... Zatrzymam resztę...

„Zwariował chyba!”.

Jaś ciekawie patrzył na ulicę. Turkot kół zmniejszył się. Zbliżał się koniec taboru. Z góry jechały wozy następnego taboru. Przypadkowo wytworzyła się przerwa.

Nagle monter — zdawałoby się ciężki i niezdarny — lekko skoczył na parapet, a stamtąd na ulicę. Z karabinem i ładownicami cofnął się w bramę.

Jaś poszedł ku szafie. Wziął również karabin i kilka ładownic. Kucnął z bronią na parapecie i patrzył w lewo, w górę ulicy Zacharzewskiej. Tam wynurzało się czoło następnej kolumny. Chłopiec zeskoczył na ulicę. Poczul, że jest mu gorąco... Dzień był upalny, bezwietrzny. Pochylając się Jaś pobiegł na drugą stronę ulicy. Stał we framudze wejścia do żeńskiego gimnazjum. Była to spora kamienica na rogu ulicy Sadowej i Zacharzewskiej. Prawie naprzeciw była brama, prowadząca na dziedziniec elektrowni.

Z góry toczyły się wozy. Jaś posłyszał okrzyk montera:

— Bij do koni!

Jaś miał dobrą zaprawę w strzelaniu u Monicza, w lasach. Uważnie celował i strzelał. Prawą stronę jego ciała osłaniał mur framugi. Z drugiej

strony ulicy monter, nie śpiesząc ładował karabin, celował, strzelał.

Pierwszy wóz, zjeżdżającej z góry kolumny, potoczył się w dół po stromej pochyłości. W połowie drogi koń skoczył w lewo na chodnik i padł. Wóz się wywrócił. Żołnierze pospadali z niego. Drugi wóz wyminął pierwszy — który zatarasował pół ulicy i gnał w dół. W szalonym pędzie wyminął montera i Jasia, i z hukiem wpadł na most przez Świsłocz. Tylko on uszedł.

Teraz ulicę zagrodziło kilka przewróconych furmanek i trupy koni. Dalszy ciąg taboru zatrzymał się. Ludzie biegali. Wozy zawracano w prawo aby ująć spod obstrzału.

Obok głowy Jasia kula uderzyła w tynk i zasypała mu twarz wapnem. Otarł dłonią mokre od potu czoło i lepiej ukrył się we framudze. Z góry rozlegały się coraz częstsze wystrzały. Bolszewicy, pod ich osłoną, próbowali usunąć barykadę z wozów i trupów końskich. Jaś i monter bili do nich, starając się przeszkodzić w tym.

W pewnej chwili Jaś zauważył, że monter oparł się plecami o ścianę domu, zza rogu którego strzelał. Powoli osuwał się w dół: potem runął na bruk i został tak bez ruchu. Leżał z rokrzyżowanymi ramiionami. Nie poruszył się więcej.

Jaś chciał przebiec ulicę, dzielącą go od Umieńskiego. Lecz zrozumiał, że nic mu nie pomoże, że i drugi jego mistrz nie żyje.

Jeszcze uważniej kryjąc się we framudze, strzelał w kierunku „barykady”. Celował do ostrożnie krzątających się tam ludzi, którzy starali się ją usunąć. Nie orientowano się z kim, z jaką siłą mają do czynienia. Część taboru zawróciła w prawo, aby niespodzianą przeszkodę objechać, przez ulicę Wesołą. Inni czekali na usunięcie barykady.

Jaś strzelał. Nie przychodziło mu do głowy, że nie poradzi sam, że musi się wycofać póki to jest możliwe... Pot zalewał mu twarz, gardło wyschło. Był pochłonięty celowaniem. Porwała go hazardowa gra. „Nie dam rozebrać barykady”! — myślał.

Kule coraz częściej świstały obok jego stanowiska. W pewnej chwili gdy celował — poczuł, że go uderzono z tyłu. Drgnął. Obrócił się. Nikogo za nim nie było. Lecz zrobiło mu się słabo. Poczul, że się ślania. Dopiero po pewnej chwili zrozumiał, że jest ranny. Chciało mu się wymiotować. Zostawiając karabin, kulejąc, poszedł. Skręcił za róg kamienicy, na ulicę Sadową.

Dzwoniło mu w uszach. Przed oczami latały ciemne plamy. Upadł na chodnik. Pełzł w kierunku bramy. Instynktownie chciał się ukryć jak najdalej.

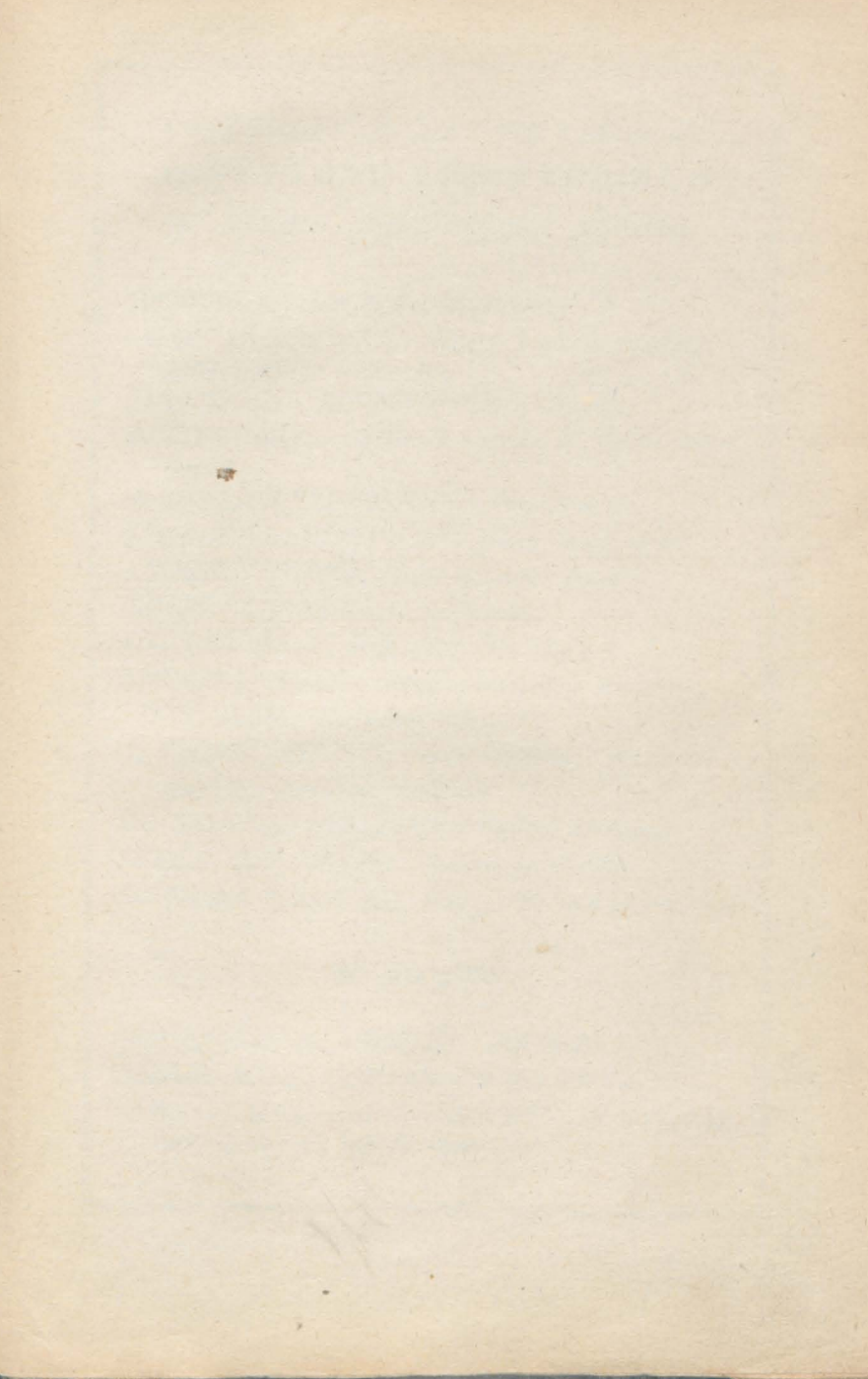
Wezłgał się do piwnicy. Tam panował chłód — który sprawił mu ulgę. Lecz straszne pragnienie męczyło coraz więcej i bolała ranna noga, stanowiąc nieznośny ciężar.

Jaś położył się na plecach. Nasłuchiwał. Starał się zrozumieć co się dzieje na zewnątrz.

Tegoż dnia — dziewiątego sierpnia 1919 roku — w południe — wojsko polskie wyparło bolszewików z Mińska.

Miasto odetchnęło...





1

10